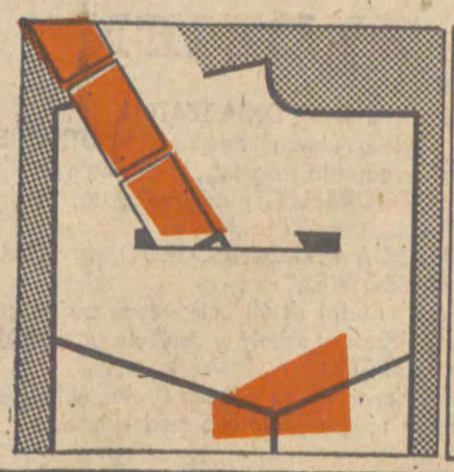

nasi kandydaci ŁÓDŹ - 76

WĘDRUJĄC Z TECZKĄ PO PIETRACH

SAMOCHÓD JEGO MARZEŃ

macki olbrzymów

perfidny testament milionera

ODGŁOSY

ROK XIX NR 12 18 MARCA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NASI KANDYDACI

ROZMOWA Z PROF. DR MIECZYSŁAWEM SERWIŃSKIM, PRZEWODNICZĄCYM ŁK FRONTU JEDNOŚCI NARODU.

Panie Profesorze, najbliższa niedziela będzie dniem wyborów do Sejmu i wojewódzkich rad narodowych. Spełniając swój obywatelski obowiązek głosowania pragniemy jednocześnie poznać bliżej program, który proponuje nam Łódzki Komitet Frontu Jedności Narodu.

Zgodnie z uchwaloną niedawno Konstytucją Front Jedności Narodu jest tą płaszczyzną działania społecznego,

TRZEBA PATRZEĆ DALEKO

która zespala wszystkich obywateli w pracy dla rozwoju i dobra naszego kraju. Jego znaczenie staje się szczególnie wielkie w okresie kampanii wyborczej. I nie ma chyba w Polsce nikogo, kto nie chciał by się podpisać pod programem rozwoju kraju, umacniania siły moralnej, gospodarczej i kulturalnej naszego państwa. Łódzki Komitet Frontu Jedności Narodu jest jednym z ogniw OK FJN. Mówię to nie przez skromność, tylko aby podkreślić, że nasz łódzki program współbrzmi z tymi dążeniami, które są reprezentowane w całym kraju, godzi interesy państwa jako całości z potrzebami naszego regionu.

Dalszy ciąg na str. 4

NOWOCZESNOŚĆ

RYSZARD BINKOWSKI

SMOK

Połączyłem się z sekretariatem **Zakładu Budowy i Naprawy Maszyn Drogowych „Madro"**. Pani o miłym głosie oznajmiła, że naczelnego nie ma. Ale są zastępcy.

— **To którego pan chce?** — zapytała.

— Technicznego — powiedziałem.

Po chwili z tamtej strony doleciał młody, dźwięczny głos:

— **Waprzko, słucham.**

Rzuciłem swoim nazwiskiem i powiedziałem:

— Podobno budujecie coś wielkiego, czego jeszcze w Polsce nie było. Moglibyśmy pogadać, co to jest i jak to się robi?

— **Dobra. Jutro o dziewiątej.**

1.

Siedziałem w sekretariacie, paliłem papierosa, zza dyrektorskich drzwi dobiegał głos interesantki. Byłem cholernie ciekaw twarzy faceta, który miał wyjść zza tych dźwiękoszczelnych drzwi. Minęły dwadzieścia dwa lata, nie byłem pewny co do imienia, ale nazwisko dyrektora mocno siedziało mi w pamięci.

Przeczucie nie zawiodło: twarz była znajoma, rozjaśniona uśmiechem, z szeroko rozstawionymi brązowymi oczyma. Zrobiłem rzecz najgłupszą w świecie: wlazłem do gabinetu, odwróciłem się plecami do dyrektora i powiedziałem:

— Ja, panie dyrektorze, wypisuję różne marne kawałki, a pan buduje wielkie maszyny, lecz traktować się z góry nie pozwolę. Będę mówił do pana „Radek".

I odwróciłem się. Zobaczyłem, jak z jego twarzy znika zdumienie, ustępując miejsca radosnemu olśnieniu. Zgadza się: nazywa się **KONRAD WAPRZKO**. Użyłem zdrobnienia znanego tylko w szkole.

Dalszy ciąg na str. 5

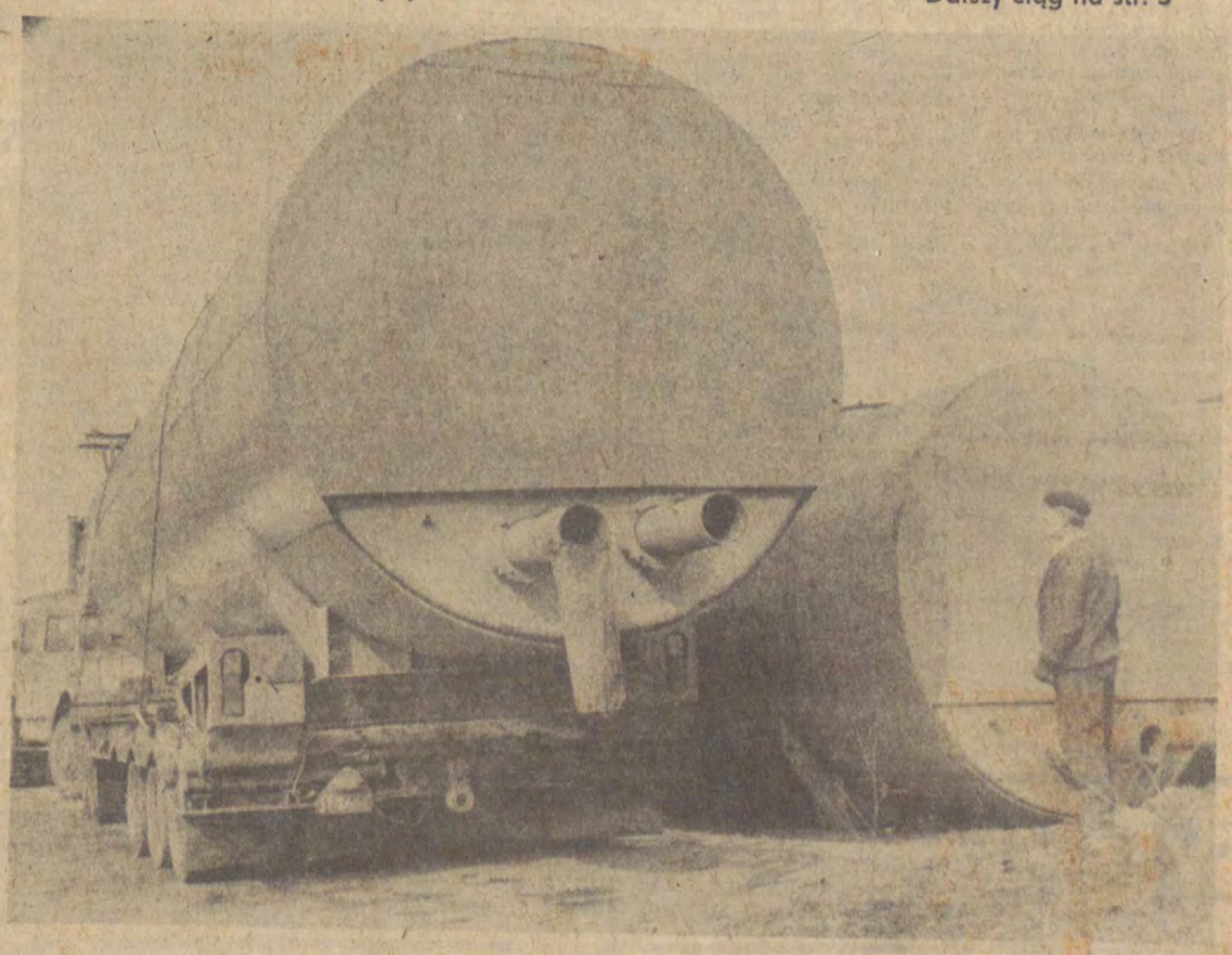

1980

Pamiętam taki czas, kiedy plan perspektywiczny opracowywało się do 1980 roku. Dziś rok ten jest naszym najbliższym celem. Kończy bieżącą pięciolatkę, a perspektywiczne plany sięgają roku 1990. Staramy się jednak patrzeć dalej. Oduczyliśmy się już „doraźności" myślenia w skali kwartału, półrocza, roku najwyżej. Zrozumieliśmy, że to co dziś robimy będzie funkcjonowało również w przyszłości, że dziś tworzymy jutro.

W lutym 1974 roku Komitet Centralny PZPR dokonując oceny trzydziestu lat istnienia Polski Ludowej, nakreślił ogólne cele dalszego działania:

„Czterdziestomilionowy naród polski ostatnich lat XX wieku będzie społeczeństwem socjalistycznym o wysokiej dynamice rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, o najwyższych aspiracjach ideowych i moralnych.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PERSPEKTYWA

Sięgamy myślą w tę przyszłość dlatego, że od trafności podejmowanych dziś decyzji zależy kształt naszego kraju w najbliższych dziesięcioleciach."

VII. Zjazd PZPR skonkretyzował tę ogólnie sformułowaną myśl, stawiając cel zbudowania rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Oceniając osiągnięcia naszego narodu w budownictwie socjalistycznym, uchwała VII Zjazdu PZPR stwierdza, powstały warunki, aby **„wkroczyć w nowy i wyższy etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego"**. Zjazd stwierdził też, że **„realizacja ustalonego na lata 1976 — 1980 programu rozwoju społeczno-ekonomicznego będzie doniosłym krokiem na tej drodze"**.

Mamy więc do wypełnienia nie tylko określone zadania na lata 1976 — 1980, ale wypełniając te zadania, mamy przyczynić się do osiągnięcia celu perspektywicznego. W okresie budowy podstaw socjalizmu mówiliśmy, że poprzez niezbędne wyrzeczenia tworzymy lepszą przyszłość następnym pokoleniom. Patrząc dziś, z perspektywy historycznej na naszą trzydziestoletnią przeszłość, widzimy wyraźnie, że nie było wówczas innej drogi. Socjalizm dopiero się stawał i trudno było wybiegać planami w przyszłość, rysując choćby kontury tego, do czego zmierzaliśmy, a co stało się już dniem dzisiejszym. Ten dzień dzisiejszy zbudowano w trudzie i dzięki wielu wyrzeczeniom. Może on być teraz zarysem przyszłości, wizją wyrastającą z istniejących konkretów.

1.

Proces przebudowy Łodzi odbywał się wolniej niż proces przemian w kraju. Zaważyły na tym dwa czynniki: pierwszy — żywiołowy rozwój miasta w drugiej połowie XIX wieku, kiedy sprzeczność interesów między posiadającymi środki produkcji a wytwórcami rozwiązywana była na

Dalszy ciąg na str. 5

WYBORCZY BILANS KULTURALNY

W poniedziałek w Łódzkim Domu Kultury odbyło się spotkanie przedstawicieli środowisk kulturalnych z kandydatami na posłów i radnych z terenu Łodzi.

W spotkaniu udział wzięli: kandydaci na posłów — **Stanisława Świderska**, prządka z Widzewskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego 1 Maja i **Jan Kielan**, kierownik Zespołu Adwokackiego nr 7 w Łodzi oraz kandydaci na radnych — **B. Chrzczonowicz, J. Jankowski, G. Górtowski, W. Pilarski, K. Pogorzelec, I. Sikirycki.** W spotkaniu brali również udział przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych Łodzi.

W trakcie dyskusji padło wiele cennych uwag na temat spraw kultury i sztuki naszego miasta. M. in. tow. **H. Pabianowa** z Domu Kultury ZPB im. Juliana Marchlewskiego podniosła niezwykle istotny problem kształcenia kadr dla placówek kulturalno-oświatowych. **Dr Adam Nahlik** mówił o sprawach projektowania plastycznego dla potrzeb przemysłu, a **dyr. Jankowski** z ŁDK o problemie koordynacji w kierowaniu kulturą.

W imieniu środowiska literackiego naszego miasta głos zabrał II sekretarz POP przy oddziale łódzkim Związku Literatów Polskich — **Jerzy Wilmański.** A oto fragmenty tego wystąpienia:

W dotychczasowych dyskusjach o kulturze, zwykliśmy stosować dwie różne perspektywy. Pierwszą — kiedy mówimy o jakichś zjawiskach i sprawach krytycznie, kiedy oceniamy je na przestrzeni niewielkiego czasu. I taki sposób oceny zjawisk kulturalnych nazwałbym oceną z krótkiej perspektywy. Nie bierzemy wtedy pod uwagę całokształtu zagadnienia a tylko jego wycinek.

I druga perspektywa, którą nazwałbym perspektywą długą, a którą stosujemy przy różnego rodzaju bilansach. Właśnie teraz, z okazji wyborów powinniśmy patrzeć na zjawiska kultury z tej dłuższej perspektywy. Co do tej pory zrobiliśmy na przestrzeni wielu lat? Jakie nowe zjawiska pojawiły się w naszym życiu kulturalnym?

Kiedy patrzymy na nasze życie kulturalne w Łodzi, to nie można pominąć faktu zmian, jakie dokonują się w Łódzkim Wydawnictwie, zmiany zmierzające do podniesienia rangi, uczynienia z WŁ wydawnictwa liczącego się w życiu kulturalnym kraju.

Warto też odnotować pojawienie się w życiu kulturalnym miasta Krajowej Agencji Wydawniczej, której działalność zmierza również do popularyzacji naszego miasta w kraju, stwarza możliwość działania wielu plastykom, służy pomocą w organizowaniu życia politycznego wielu organizacjom partyjnym zakładów pracy.

Nie można też nie wspomnieć o „Profilu", o inicjatywach licznego i prężnego środowiska plastycznego Łodzi, o powstającym Muzeum Historii Miasta, o szerokiej otwartej działalności Muzeum Sztuki, ożywieniu w działalności łódzkich teatrów, o ogólnokrajowej i zagranicznej renomie Teatru Wielkiego.

Jeśli wymieniam te dość powszechnie znane fakty, to tylko dlatego, aby uświadomić sobie punkt wyjścia do nowego spojrzenia na sprawy kultury. W programie działania na lata bieżącej pięciolatki mamy zapewnioną budowę Filharmonii Łódzkiej i gmachu teatru. Jest to program minimum, gdyż potrzeby są znacznie większe. Wszyscy je dobrze znamy i każdy zaraz wymieni nowy gmach dla Muzeum Sztuki choć potrzebne też są kina, biblioteki, domy kultury.

Do tej pory wielokrotnie patrzyliśmy na problemy życia kulturalnego z pozycji bazy, warunków do rozwijania tego życia. Nie muszę nikogo przekonywać, że baza ciągle jest niedostateczna. Ale też bądźmy realistami. Czy istotnie to, czym dysponujemy, choć niewystarczające, jest aż tak skromne? Skoro realizacja naszych potrzeb materialnych dla rozwoju kultury musi być rozłożona na dłuższe lata niż byśmy pragnęli, to pozostaje jeszcze otwarte pytanie, czy już wykorzystaliśmy w dostatecznym stopniu to wszystko, co posiadamy?

Przykładem tu niech będzie Filharmonia Łódzka, która działając w bardzo trudnych warunkach sięga po międzynarodowe uznanie.

Z tego przykładu wynika wniosek natury ogólniejszej. O powodzeniu działalności kulturalnej decydują nie tylko dobre warunki. Stara to prawda, że o wszystkim decydują ludzie. Ludzie z inicjatywami, którzy wiedzą, czego chcą i potrafią dążyć do wytkniętego celu.

A przecież mamy w Łodzi ludzi z inicjatywą. Powodzenie wielu inicjatyw ostatnich lat, które już na trwałe weszły do naszego życia kulturalnego najlepiej o tym świadczy. Trzeba tylko takich ludzi dostrzegać, umożliwiać im podejmowanie ryzykownych nawet przedsięwzięć. Czasem godzić się na niepowodzenia, aby ich doświadczenia mogły innym pozwolić na dokonanie dalszych kroków. Czy zawsze tak się dzieje, że wszystkie inicjatywy spotykają się z dobrym przyjęciem? Czy czasem nie wolimy między ryzykiem a poprawnością wybierać tej ostatniej?

Odpowiedź, jakiej sobie udzielimy na te pytania, zadecyduje o naszej roli, jaką spełnimy w procesie tworzenia rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

Jak to wygląda w łódzkim środowisku literackim? Podjęliśmy działania mające na celu zreformowanie Festiwalu Poezji. Chcemy — a władze naszego miasta idą środowisku na rękę — wypełnić białą plamę po kwartalniku „Osnowa". Prowadzone są aktualnie prace nad wydaniem kwartalnika, który będzie płaszczyzną integrującą środowiska literackie i naukowe. Podejmujemy próby wejścia z propozycjami dramaturgicznymi poprzez scenę ZLP.

Udało nam się wejść do szkół z cyklem monograficznych prelekcji. Nie są to sztampowe spotkania autorskie, ale wykłady na określone tematy z kręgu literatury współczesnej. Nawiązaliśmy stały kontakt z zakładami „Eskimo" w ramach sojuszu sztuki ze światem pracy. Są to, co prawda, dopiero początki, ale mamy nadzieję, że ta akcja jak i inne nasze działania zaowocuje nam wszystkim, we wspólnym interesie socjalistycznej kultury.

Na zakończenie spotkania zabrał głos dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta — **W. Pospiech**, który przedstawił w zarysie zamierzenia planu pięcioletniego, scharakteryzował aktualne działania władz województwa zmierzające do dalszej aktywizacji kulturalnej jego mieszkańców.

ZA TYDZIEŃ

w „ODGŁOSACH":
– dyskusja o teatrze z okazji **DNIA TEATRU,**
– fotoreportaż **Włodzimierza Parysa „SPOTKANIE"** czyli o uroczystości wręczenia nagród „Łodzianom 1975",
– **KRZYSZTOF POGORZELEC** publikuje drugi artykuł z cyklu „Oblicze kapitalizmu" pt. **„MAFIA",**
– reportaż **ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO** pt. **„CAŁA POLSKA W TOMASZOWIE..."**
– **Ewa Ostrowska** nadal dzieli się spostrzeżeniami i refleksjami ze współczesnej szkoły w artykule pt. **„MOJE DZIECKO JEST NAJLEPSZE..."**
– a ponadto wyjątkowo spora paczka listów, w których Czytelnicy zgłaszają równe pretensje pod adresem naszych autorów.

APEL DO MŁODYCH PISZĄCYCH...

Zarząd Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi zwraca się do wszystkich młodych ludzi piszących (do 35 lat) z terenu miejskiego województwa łódzkiego o zgłaszanie swych kandydatur do Koła Młodych przy ŁO ZLP. Warunkiem przyjęcia jest pozytywna ocena komisji Oddziału ZLP nadesłanych utworów literackich: dla poetów 25 wierszy, dla prozaików 5 opowiadań lub większego fragmentu powieści, dla zajmujących się krytyką literacką — 5 recenzji, lub opracowanie krytyczne.

ZO ZLP i Koło Młodych stwarzają dla adeptów literatury wszelkie warunki do rozwoju zainteresowań twórczych, organizują spotkania z wybitnymi twórcami i seminaria warsztatowe, patronują różnym formom publikacji i wydawnictw, a także udzielają pomocy stypendialnej.

Teksty w maszynopisie lub czytelne rękopisy prosimy nadsyłać na adres: Zarząd Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi, ul. Mickiewicza 8 — w terminie 1 miesiąca.

TELEWIZJA

SENS MUZYKI

Bywają w naszej tv programy, które wiodą żywot utajony i skromny, pozbawiony rozgłosu, ponieważ są emitowane poza godzinami wieczornymi, czyli poza czasem uprzywilejowanym, a przecież przypadkowe zetknięcie się z nimi staje się odkryciem pełnym rzadkiej satysfakcji. Do takich audycji należy nowy cykl łódzkiego ośrodka, co podkreślam z przyjemnością, nadawany w niedzielę (nie każdą) we wczesnych godzinach popołudniowych w programie I i zatytułowany „Nie taki diabeł straszny". Pod tym swojskim, ale nieco tajemniczym tytułem kryje się prawdziwe rewelacyjny program poświęcony muzyce poważnej.

To ostatnie stwierdzenie może budzić nieufność. Trudno bowiem o dwa zjawiska bardziej odległe w potocznych skojarzeniach niż telewizja i muzyka poważna. Obserwując dotychczasowe zmagania się telewizji ze zbożną chęcią popularyzacji muzycznych sekretów łatwo dojść do wniosku, że były to próby z reguły chybione, że ich realizacja niedorastała do intencji. Trudno zresztą było śledzić te zamierzenia regularnie, bowiem najczęstszym miejscem ich emisji był program II w godzinach szczególnie atrakcyjnych audycji w programie I. Te manewry redakcyjne wskazywały, iż transmisje z koncertów i tym podobne mają być przeznaczone dla wyjątkowo zagorzałych melomanów, podczas gdy ci z kolei już dawno przestali oglądać się pod tym względem na tv z powodu nie najlepszej jakości jej fonii. Wybrali radio, które w tym zakresie spełnia rolę medium wprost idealnego. Wynika to stąd, że muzyka jak powszechnie wiadomo — jest do słuchania a nie do oglądania. Przypomniałem tę oczywistość tylko dlatego, aby ją podważyć. Otóż najbardziej naturalny odbiór muzyki polega na prezentacji jej wykonawców. Przecież tak oglądamy muzykę na filharmonicznym koncercie i zdawałoby się, że transmisja telewizyjna jest jego jak najbardziej naturalnym przedłużeniem. Tymczasem mimo wszystko nie jest to prawda całkowita. Telewizja źle znosi muzykę w jej wydaniu filharmonicznym. I to nie tylko z powodu defektów technicznych fonii, której doskonaleniu fachowcy od tv poświęcają znacznie mniej czasu niż wizji. Istotniejsza jest sprawa dramaturgii muzycznej większych form przynajmniej takich jak symfonia czy koncert, która w telewizji nie sprawdza się, nie jest bowiem w stanie utrzymać w napięciu uwagi telewidza a raczej telesłuchacza przez cały czas emisji.

Dotychczasowe próby telewizyjne zmierzenia się z problematyką muzyczną szły w dwóch zasadniczych kierunkach publicystyki muzycznej i filmu muzycznego. Publicystyka mieściła się w ramach magazynu problemowo-informacyjnego, by przypomnieć choćby nie istniejącą już „Godzinę Orfeusza". Natomiast film muzyczny penetrował te możliwości, w których dochodziło do zbliżenia tworzywa muzycznego i obrazowego, jak np. w balecie, przy czym w takiej realizajci zawsze dominował obraz. Natomiast telewizyjne transmisje z koncertów filharmonicznych próbowały niekiedy wizualnie udramatyzować odbiór poprzez taki typ relacji telewizyjnej, który byłby zgodny z partyturą, to znaczy pokazywał w zbliżeniach te partie instrumentów, które w danym momencie prowadzą muzyczną akcję. Były to jednak próby połowiczne, które nie były w stanie pokonać owego martwego obszaru oddzielającego odbiór dramaturgii muzycznej od odbioru dramaturgii telewizyjnej. Potrzebny był jakiś trzeci element organizujący napięcie, element ujawniający i podkreślający logikę treści muzycznych.

Otóż tym niezbędnym elementem (niech będzie mi wybaczone to określenie) w audycji „Nie taki diabeł straszny" jest fascynująca postać Henryka Czyża. Wybitny dyrygent wyobraził sobie taki telewizyjny przekaz muzyki poważnej, w którym doszłoby nie tylko do kompetentnej i barwnej prezentacji kompozytora i jego twórczości, ale także do analizy struktury utworu muzycznego, do próby jego semantycznej interpretacji i wreszcie — rzecz chyba najistotniejsza, jeśli mówimy o interpretacji w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa — do wyjaśnienia hermetycznych reguł języka muzycznego. Czyż jest w tym programie jednocześnie dyrygentem i komentatorem dyrygowanego utworu improwizującym à vista z porywającą pasją jego słowną interpretację. Ta niezwykła kreacja niepowtarzalnej indywidualności sprawia, że dla przeciętnych pochłaniaczy telewizyjnego obrazu muzyka poważna, czyli to, co na małym ekranie i nie tylko tam kojarzyć się zwykło z solenną nudą staje się piękne, jasne i zrozumiałe. Staje ię pasjonującym spektaklem pełnym prawdziwego przeżycia.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

SZTUKA I ŻYCIE

Jerzy Wawrzak

Jestem z zasady przeciwnikiem adaptacji powieści na scenę, nie tylko ze względu na własne, niezbyt fortunne doświadczenia. Dla „Przygód dobrego wojaka Szwejka" muszę jednak uczynić wyjątek. Opowieść Jarosława Haszka ma bowiem taki wymiar, że każdy zabieg filmowy czy teatralny musi przynieść interesujący rezultat. W Teatrze Powszechnym był przynajmniej jeden ważny powód, żeby Szwejka wystawić: Roman Kłosowski, idealny odtwórca tytułowej roli. I to nie tylko ze względu na warunki zewnętrzne aktora. Szwejk Kłosowskiego jest nie tylko zabawny, pod błazeńską maską kryje się trzeźwy racjonalista, człowiek swoiście wolny i niezależny, mimo iż funkcjonuje w nieludzkiej, zdegenerowanej machinie wojskowo-urzędniczej. Kłosowski z tego niełatwego zadania wywiązał się wzorowo i swoim talentem przekonał widza o konieczności takiego odczytania Haszka. W przedstawieniu wystąpił chyba cały Zespół Teatru Powszechnego, ale niestety trzeba się tu zgodzić z recenzentem „Kultury", partnerstwa z Kłosowskim nie było. Jedynie A. Fogiel, B. Wrocławski dali się zapamiętać w swoich rolach. Ale przecież nie piszę recenzji...

„Szwejk" to jednak duże osiągnięcie teatru. Zrealizowane z rozmachem, pomysłowo i niebanalnie. Fakt, że spektakl wyreżyserował Janusz Zaorski, reżyser filmowy, to znaczący atut całego przedsięwzięcia. A więc nie tylko wyjście ze sceny do publiczności, ale przed teatr, dosłownie na ulicę, do foyer, etc. Orkiestra dęta w paradnych strojach defilująca w rytm marszów wojskowych na dziedzińcu, sprzedawca „wydania nadzwyczajnego", programu dowcipnie zaprojektowanego przez A. Czeczota (autora scenografii utrzymanej w stylu epoki). Te wszystkie zabiegi reżyserskie (chwilami wydawało się, że jest tych pomysłów za dużo) spowodowały, że widzowie czuli się współuczestnikami tego widowiska i długo je będą pamiętać.

Sądzę, że ten spektakl był przekonywającym wyrazem możliwości teatru: jego sprawnego zespołu aktorskiego i kierownictwa, któremu tylko życzyć, by ambitny repertuar, jaki zaplanowano, został w przyszłości zrealizowany w równie ciekawy sposób. I trzeba jeszcze dodać, że w ostatnim czasie poziom scen teatralnych w naszym mieście stale się podnosi i wyrównuje. To takie równanie, o które nam chodzi, w górę!

2.

Na zaproszenie łódzkich pisarzy zjechał do Łodzi Krzysztof Zanussi. Gościny na spotkanie udzieliło Biuro Wystaw Artystycznych w swoim przepięknym salonie przy ul. Wólczańskiej. Przed spotkaniem okazja do obejrzenia niezwykle ciekawej wystawy malarskiej Henryka Płóciennika, którego oryginalny, kolorowy świat wyobrażeń kontrapunktuje secesyjne wnętrze.

Odzyskany nie tak dawno dla kultury zabytek jest właściwie i stale wykorzystywany, a dyrektor Bernard Kepler nie ma zmartwień z frekwencją. O spotkaniu z Zanussim nie było nawet anonsu w prasie, aby miało ono charakter kameralnej rozmowy.

Czasami ktoś zgłasza wątpliwości: czy jest sens organizowania spotkań z twórcami, którzy są znani i popularni. Przecież udzielają licznych i obszernych wywiadów, występują w telewizji, którą oglądają miliony itd. To wszystko racja, ale nic nie zastąpi spotkania bezpośredniego. Przekonaliśmy się o tym w ZLP w ostatnim czasie wielokrotnie, podczas spotkań z profesorami: Diakowem (z Moskwy), Jędruszczakiem, Madajczykiem, dyrektorem Dejmkiem, ostatnio Zanussim. Nie tylko dlatego, że każdy może zapytać o interesujący go problem, wypowiedzieć swoje zdanie. Ale głównie dlatego, że powstaje pewnego rodzaju „reakcja łańcuchowa", poszerzająca i wzbogacająca obszar intelektualnej penetracji. Sam nie raz ze zdumieniem słuchałem wypowiedzi ludzi, których wydawało mi się, że znam dobrze. A jednak to były myśli nowe, które doszły do głosu w sprzyjającej aurze. I, co ciekawsze, jest to chyba korzyść obustronna. Jeden z uczestników tych spotkań powiedział mi, zastrzegając się, że nie bawi się w żadne komplementowanie: „Wie pan, że i ja dzisiaj dowiedziałem się ciekawych rzeczy i czegoś się nauczyłem".

3.

Kolejną placówkę włączono w krwiobieg kulturalny miasta: funkcjonalną, nowoczesnie wyposażoną salę widowiskową Domu Środowisk Twórczych (dawniej Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych „Pod Witrażem"). Po wieloletnim, haniebnym dla zainteresowanych przedsiębiorstw remoncie, jest miejsce, w którym rzeczywiście mogą się dziać rzeczy pożyteczne i interesujące. A że ruszono z kopyta, niech zaświadczy program pierwszej dekady marca: 4-go: program kabaretowy „Hela Dolej", 5-go: „W poszukiwaniu nowych środków wyrazu w filmie i telewizji", 6-go: otwarcie wystawy fotografiki artystycznej, 7-go: dzień filmowy Zespołu „Profil" (projekcja i dyskusja nad filmem „Rodzina"), 8-go: Teatr Propozycji Polskiej Dramaturgii Współczesnej, Zofia Lorentz: „Śledztwo umorzone albo drugie wydanie", 9-go: impreza młodzieży szkół artystycznych, 10-go: wieczór poezji i muzyki radzieckiej i rosyjskiej, 11-go: Teatr „Dialog"... Uff, tempo chyba nie do utrzymania, ale świadczy o ładowaniu akumulatorów podczas remontowego przestoju.

„Filmowiec, aktor, plastyk, kompozytor, literat — stwierdza nieco patetycznie energiczny prezes Zarządu Domu Środowisk Twórczych, Bohdan Mikuć — znajdą tu możliwości dodatkowego wypowiedzenia się i zintegrowania wielkiej rodziny twórców i artystów służącej pracowitym mieszkańcom naszego miasta". DST objęty po reorganizacji (nie chodziło tylko o formalną zmianę nazwy) całkowitym mecenatem przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, ma wszelkie warunki i szanse, by słowa jego prezesa znalazły potwierdzenie w faktach.

4.

Rok 1976, w 30-lecie wydania dekretu o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi, ogłoszony został Rokiem Bibliotek i Czytelnictwa. Hasło Roku: „Biblioteki dla rozwoju", ma szczególne znaczenie w realizacji Uchwał VII Zjazdu PZPR, w pierwszym roku nowej pięciolatki. Celem obchodów Roku Bibliotek i Czytelnictwa jest przypomnienie i ukazanie społeczeństwu ogromnego wkładu bibliotek w społeczno-gospodarczy, naukowy i kulturalny rozwój kraju oraz pozyskanie społecznego wsparcia dla zamierzeń modernizacyjnych, których realizacja będzie gwarantować zaspokojenie przewidywanego wzrostu potrzeb czytelniczych i informacyjnych społeczeństwa. Rok Bibliotek i Czytelnictwa będzie stanowił początek nowego etapu w rozwoju bibliotek (czego przykładem niech będzie rozpoczęcie budowy Biblioteki Narodowej), zlikwidowanie istniejących jeszcze dysproporcji w sieci krajowej, modernizacja sprzętu, poprawa wyposażenia i metod działania placówek bibliotecznych.

5.

Książki o teatrze: powieści, pamiętniki, monografie cieszą się dużym powodzeniem i szybko znikają z księgarskich półek. Spieszę więc donieść, że ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego książka Hanny Małkowskiej „Teatr mojego życia". Autorki, o pięćdziesięcioletnim stażu na scenach polskich, nie trzeba rekomendować. Praprawnuczka Wojciecha Bogusławskiego, córka dramaturga Stanisława Kozłowskiego, żona scenografa, przez prawie 500 stron prowadzi nas po scenach i kulisach teatrów, zapoznaje osobiście z ludźmi, którzy są już legendą teatru polskiego ostatniego półwiecza: Osterwa, Schiller, Jaracz, Zelwerowicz... Nic więcej nie dodam, tylko że książka ma staranną szatę edytorską (płótno, sporo zdjęć) i nakład zaledwie 5 tys. egzemplarzy.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

ŁÓDŹ – 76

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

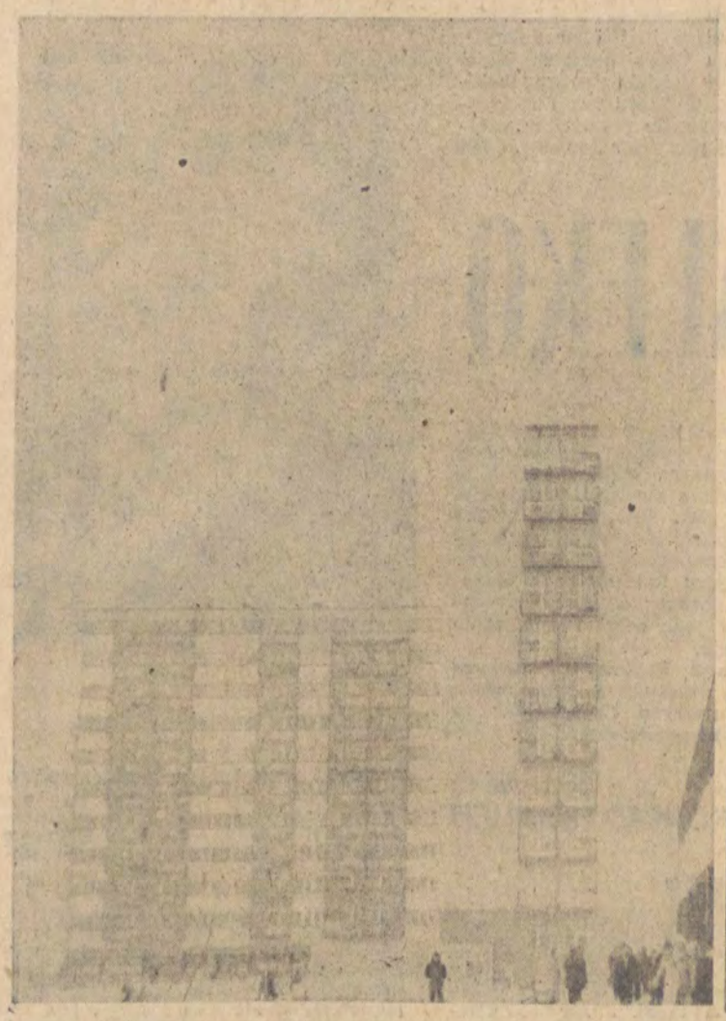

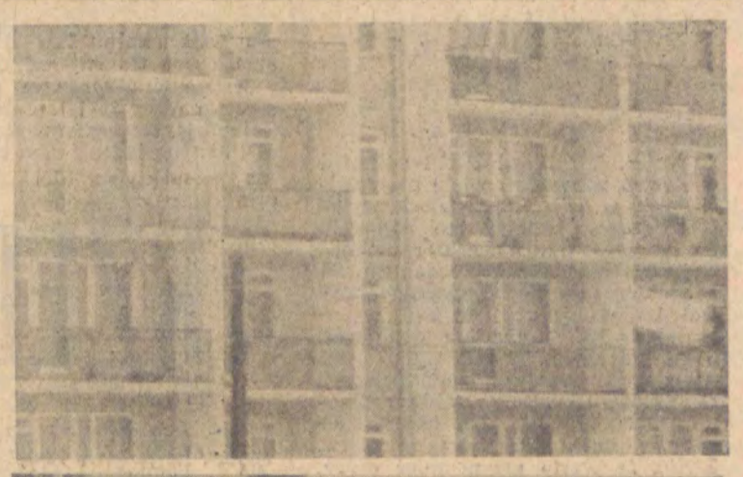

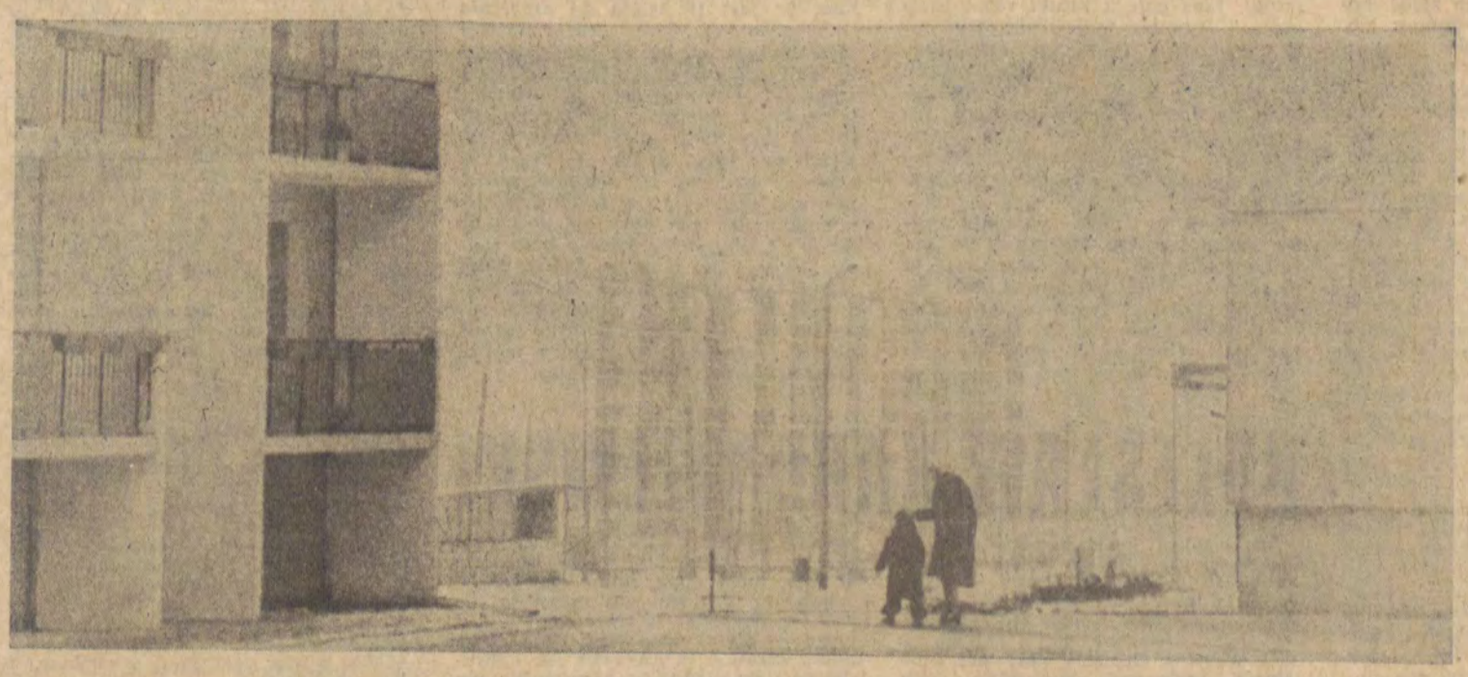

NASI KANDYDACI

TRZEBA PATRZEĆ DALEKO

JAN ŁUKASIK

Dalszy ciąg ze str. 1

Ostatni, VII Zjazd Partii nakreślił w swoich uchwałach wizję przyszłości Polski w najbliższych latach, wytyczył kierunki działań zmierzających do dalszego wzrostu naszej narodowej zamożności. Naszym zadaniem jest zespalanie poczynań wszystkich obywateli dla najpełniejszej realizacji uchwały tego Zjazdu. Na dokument, o którym mowa, złożyła się przecież wieloletnia praca najwybitniejszych ekspertów, toczyła się także ogólnonarodowa dyskusja nad tezami zjazdowymi wyzwalając szereg inicjatyw. Myślę, że warto przypomnieć słowa, które na III Plenum wypowiedział Edward Gierek, kiedy stwierdził, że zespolenie i jednoczenie wszystkich wysiłków obywateli naszego kraju dla pełnej realizacji zadań nakreślonych przez Partię opiera się na mądrości i doświadczeniu milionów Polek i Polaków. Wnosząc swój osobisty wkład do tworzonego programu dajemy zarazem mocną gwarancję optymalnej treści i realności tego programu. Z drugiej strony zadania, które sobie stawiamy, są wyrazem ambicji i dążeń mających zapewnić lepsze warunki naszego życia przy stałym umacnianiu i rozwoju naszego kraju.

W pełnej harmonii z polityką Partii i rządu nasz łódzki program wybiera z ogólnopolskiego programu te elementy, które mają decydujące znaczenie dla dalszego rozwoju naszego regionu.

Jakich dziedzin życia dotyczy ta konkretyzacja narodowego programu rozwoju Polski?

Na pierwsze miejsce wysuwamy zagadnienie dalszej rozbudowy i modernizacji przemysłu łódzkiego. I ma to swoje głębokie uzasadnienie. Łódzkie województwo miejskie liczy około 1 080 000 mieszkańców, z których 90% zamieszkuje w miastach. Jednocześnie dokładnie połowa wszystkich pracujących zatrudniona jest w uspołecznionych zakładach pracy. I te właśnie, wprost rzucające się w oczy wskaźniki, obligują nas do rozbudowy i modernizacji przemysłu. Ogromne skoncentrowanie ludności na stosunkowo niewielkim obszarze podpowiada nam, że region będzie się prawidłowo rozwijał tylko wtedy, jeśli potrafimy poprzez rozbudowę, modernizację, unowocześnienie zwiększyć jego potencjał przemysłowy Trzeba zarazem pamiętać, że w tych zakładach pracują konkretni ludzie: robotnicy, technicy, inżynierowie, projektanci. Wszyscy oni mają prawo upatrywać dobro rozwoju kraju i Łodzi w połączeniu z własnym powodzeniem, dobrem osobistym i rodzinnym. Niezwykle istotne i aktualne, nie tylko zresztą w naszym regionie, staje się zagadnienie dalszej i szybszej budowy mieszkań.

To sprawa obchodząca wszystkich, zwłaszcza jednak młode pokolenie, które dopiero podejmuje samodzielny start życiowy. Jakie są szanse skrócenia kolejki czekających na klucz do własnego mieszkania?

W minionym pięcioleciu zbudowaliśmy przeszło 46 tys. mieszkań. Jest to wysiłek olbrzymi, bo gdyby przyjąć, że w jednej izbie zamieszkuje jedna osoba, powstałoby miasto liczące 150 tys. mieszkańców. Ale trzeba z całą otwartością powiedzieć, że liczba osób czekających na mieszkanie, zwłaszcza spółdzielcze, jest wciąż jeszcze ogromna i szacuje ją się w przybliżeniu na 50 tys. osób. Trzeba też stwierdzić, że termin w jakim się mieszkanie otrzymuje jest za długi. Wprawdzie w minionym pięcioleciu udało się skrócić oczekiwanie na przydział o dwa lata, ale wciąż jeszcze trzeba czekać 7 a niekiedy i więcej lat. Pragniemy ten termin skrócić przynajmniej o 2 lata. Bo każde czekanie jest dolegliwością, a pamiętamy przy tym, że poprawa warunków mieszkaniowych wpływa nie tylko na lepsze samopoczucie, ale także na klimat w rodzinie i, co tu ukrywać, często na jej trwałość.

A inne bolączki?

Zdajemy sobie sprawę z konieczności dalszej poprawy funkcjonowania handlu i rozszerzenia jego sieci, poprawy ogromnej sfery usług. Wymieniam te dziedziny tylko przykładowo, ale nie mogę nie wspomnieć sprawy, która łodzian co dzień od nowa nęka, a przynajmniej wysuwana jest przy każdej okazji podczas spotkań z radnymi czy posłami. To zagadnienie konieczności poprawy warunków komunikacyjnych, które mimo wysiłków władz są w Łodzi wciąż bardzo uciążliwe.

W godzinie szczytu łatwo stracić w tramwaju czy autobusie wszystkie guziki...

Niedostatki komunikacji wiążą się z rozbudową miasta, linie komunikacyjne ulegają wydłużeniu, centrum jest niesłychanie ścieśnione, ulice wąskie. Liczba kursujących wozów tramwajowych i autobusów jest niewystarczająca w stosunku do wciąż zwiększających się potrzeb. Przecież na obrzeżach miasta powstają całe osiedla mieszkaniowe i przemysłowe. Linie są więc przeciążone albo też mają zbyt małą częstotliwość, co właśnie powoduje tłok.

A jakie problemy łódzkiego programu FJN uważa Pan Profesor za obchodzące Go najżywiej?

Jestem pracownikiem nauki, zrozumiałe więc, że jej problemy są mi najbliższe. Naszych 7 wyższych uczelni i 32 tys. studentów, są chlubą miasta, ale przecież nie o chlubę tu tylko chodzi. Rozbudowa Łodzi, jej przemysłowy rozwój zmuszają nas do zapewnienia miastu wysoko kwalifikowanych kadr. Są zresztą liczne dyscypliny wiedzy, w których jesteśmy monopolistami. Kadry dla całego przemysłu lekkiego kształcone są na jedynym w Polsce wydziale włókienniczym PŁ, podobnie jak specjaliści dla przemysłu spożywczego przede wszystkim cukrowniczego i fermentacyjnego. Także wszystkie ogniwa decydujące o rozwoju przemysłu papierniczego skoncentrowane są w Łodzi: instytut papiernictwa PŁ, resortowy instytut celulozowo-papierniczy, wreszcie zjednoczenie i biuro projektów przemysłu papierniczego.

Kandyduje Pan Profesor do wojewódzkiej rady narodowej...

Po raz pierwszy kandyduję do Rady Narodowej M. Łodzi, szersze rozeznanie mam raczej w pracy sejmowej, ponieważ w ciągu ostatnich czterech lat brałem udział jako poseł VI kadencji Sejmu w pracach dwu komisji o charakterze specjalizacyjnym. Z racji wykonywanych przeze mnie funkcji i zawodowych zainteresowań, szczególnie bliskie są mi sprawy przemysłu zwłaszcza spożywczego, papierniczego i chemicznego oraz zgadnienia szeroko pojętej oświaty, co wiąże się z tym, że pracuję na Politechnice Łódzkiej. Wyobrażam sobie, że gdybym został wybrany na radnego, działałbym aktywnie w tych właśnie dziedzinach, które mnie emocjonują i interesują i jednocześnie, może mi się tak tylko wydaje, są mi nieźle znane. A te dziedziny przemysłu są reprezentowane szczególnie mocno na terenie Łodzi. Mówiąc o chemii mam przecież na myśli przemysł włókien chemicznych, które są dzisiaj sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Nie jest chyba przypadkiem, że władze zjednoczenia przemysłu włókien chemicznych „Chemitex" zlokalizowane są w naszym mieście, bo niezależnie od tego, że mamy u nas szereg zakładów włókien wiskozowych czy włókien sztucznych, koncentrujemy w Łodzi także twórczą, naukową myśl. PŁ poprzez liczne powiązania i umowy z tym przemysłem wspiera jego rozwój. Można także mówić o dużej koncentracji przemysłu barwników w naszym regionie, choćby dzięki „Borucie", największemu w Polsce zakładowi tego typu. Jest to także zakład typowo chemiczny, ale jego produkcja służy w pierwszym rzędzie przemysłowi włókienniczemu.

Również przemysł spożywczy ma swoją reprezentację w naszym regionie. Cukrownia Leśmierz nie należy wprawdzie do największych, ale eksperymenty, jakie przeprowadzamy, dzięki koncentracji potencjału naukowego w Łodzi, transponujemy potem do wielkich cukrowni, także tych, które eksportujemy nawet do wysoko uprzemysłowionych krajów. Można by zresztą mówić o tych wszystkich sprawach bez końca.

Jak Pan Profesor łączy aktywną działalność społeczną z twórczą pracą naukową? Przecież jedno i drugie wymaga ogromnie wiele czasu.

Odpowiedź na to pytanie jest, wbrew pozorom, dość prosta. Każdy człowiek, a tym bardziej naukowiec, ma określony plan pracy, a w nim zawsze znajduje się pozycja czasu wolnego. Pracownicy nauki mają, jak to się popularnie nazywa, nienormowany czas pracy, praktycznie jednak nie odrywają się od swoich zajęć, bo ich twórczy wysiłek nie kończy się z chwilą opuszczenia murów uczelni; on trwa w domu, nawet w czasie wędrówki analizowane koncepcje, krystalizujące się dopiero projekty są, mówiąc najogólniej, pewnym etapem pracy naukowej. Podejmując działalność społeczną, czy to w FJN, czy jako poseł, a teraz, jeśli zostanę wybrany, radny, rezygnuję z pozycji czasu wolnego. Należę bowiem do ludzi, a jest takich niemało, którzy pracę społeczną uważają za coś nieodzownego, koniecznego. Tego rodzaju aktywność pozwala mi bowiem na utrzymanie silnej więzi z tym co się dzieje na uczelni, z korzyścią dla całego środowiska. Uważam, że służba nauce oznacza przede wszystkim służbę społeczeństwu. I swoją rolę, zresztą skromną, upatruję w tym, że działając społecznie widzę z jednej strony olbrzymie znaczenie nauki, z drugiej zaś strony upewniam się nieustannie, że praca naukowa musi być społecznie użyteczna. Doceniając w pełni tzw. podstawowe dyscypliny nauki, które stanowią fundament naszych działań technicznych, konstrukcyjnych i technologicznych, stale pamiętam o tym, że wyniki pracy naukowej powinny w maksymalnym stopniu przyczyniać się do wzmocnienia naszej gospodarki narodowej. Nie mówię przemysłu, bo to byłoby zbyt wąskie ujęcie, a mam na myśli także dyscypliny społeczne, humanistyczne, medyczne przyrodnicze a wśród nich techniczne. Sądzę także, że w naszym społeczeństwie, w szczególności zaś w środowisku naukowym, zachodzą szalenie interesujące przeobrażenia myślowe. Kiedyś mówiło się o naukowcu zamkniętym w swoim gabinecie, pracującym w ciszy i uważało się to za rzecz normalną. Choć praca koncepcyjna wymaga i ciszy, i gabinetu, musimy jednak patrzeć na naukę w inny sposób niż jeszcze 50 lat temu. Nauka jest po prostu podstawowym czynnikiem rozwoju kraju, regionu, a wierzę, że i każdego zakładu produkcyjnego. Rozwój nauki nie jest więc luksusem, ale, zwłaszcza w państwie o wysokim poziomie rozwoju społecznego i gospodarczego, podstawą nowoczesnej działalności organizacyjnej i produkcyjnej. Olbrzymia liczba nowości, jakie obserwujemy w każdej dziedzinie techniki, zarówno w kraju jak i za granicą, ma swe źródło również w wielkiej, twórczej pracy naukowców. Stąd też, powiedziałbym, że trzeba dokładać wszelkich wysiłków, aby wiązać naukę z pożytkiem społecznym. A tę prawdę odczuwa się najmocniej biorąc bezpośredni, intensywny udział zarówno w pracy naukowej, dydaktycznej i wychowawczej jak też pozostając w stałym kontakcie ze społeczeństwem, poprzez uważne wsłuchiwanie się w jego oczekiwania, aspiracje i ambicje.

Życząc Panu Profesorowi wyboru na radnego, dziękujemy jednocześnie w imieniu naszych Czytelników za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Radny w moim przekonaniu — oczywiście myślę o radnym, który już zostanie wybrany — powinien postawić sobie indywidualne zadania, mieć konkretne marzenia, do których realizacji powinien się przyczynić.

Ja, jeśli zostanę wybrany, postawię sobie trzy zadania. Pierwsze zadanie, to sprawa galerii sztuki. Jestem świadomy tego, że nie będzie się budować galerii sztuki w najbliższym czasie. Chodzi mi jednak o to, aby niezależnie od terminu realizacji tego zadania inwestycyjnego, nie zgubić samej idei w procesie przeobrażeń, jakie zachodzą w Łodzi. Galeria miała już kilka projektowanych lokalizacji. Do tej pory nie ma decyzji, w którym miejscu powstanie. Wydaje mi się, że trzeba doprowadzić do tego, aby to miejsce zostało ostatecznie ustalone i aby to było miejsce godne takiej placówki kulturalnej. Aby galeria sztuki była właściwie usytuowana w architektonicznej koncepcji przyszłej Łodzi.

Jeszcze co do samej galerii. Środowisko plastyczne nie traktuje galerii w pojęciu dziewiętnastowiecznym, jako miejsca tylko dla ekspozycji dzieł sztuki. Ideę galerii sztuki rozumiemy szerzej. Powinna to być nie tylko sala wystawowa, ale też ośrodek dokumentacji plastycznej, ośrodek nauki. Uważam, że powinno to być miejsce, gdzie dokonywałaby się integracja różnych dziedzin sztuki, gdzie sztuki plastyczne mogłyby współistnieć z innymi, gdzie by się wzajemnie uzupełniały i przenikały.

Druga sprawa. Poważną moją troskę budzą sprawy kultury w programach nauczania. Współczesna szkoła przechodzi wielki proces przeobrażeń. Bardzo chciałbym, aby sprawy kultury nie zniknęły z pola widzenia reformowanej szkoły, aby znalazły właściwe miejsce w nowych, przygotowywanych programach nauczania. Jeżeli mamy kształcić ludzi, którzy żyć i działać będą w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym, to nie można zgubić problemu przygotowania ich do uczestniczenia w życiu kulturalnym. Chodzi mi o to, że szkoła już teraz powinna wyrabiać nawyki uczestniczenia w kulturze, że to powinny być nawyki tak naturalne, jak — może zabrzmi to z pozoru prymitywnie — nawyk codziennego mycia się.

Przyznam się, że nie bardzo jeszcze wiem, jaki wpływ na te sprawy może mieć wojewódzka rada narodowa. Ale wydaje mi się, że niezbędna jest dyskusja radnych, którzy będą brali udział w komisjach zajmujących się sprawami oświaty i kultury. Z moich obserwacji, a nie są one chyba odosobnione, wynika, że większa jest podaż kultury niż popyt na nią. Wydaje mi się również, że szkołą zbyt mało poświęca jeszcze uwagi wyrabianiu u młodzieży nawyku uczestniczenia w życiu kulturalnym. A także i to, że problemy współczesnej kultury zbyt jeszcze mało miejsca zajmują w programach nauczania różnych przedmiotów.

Do tej pory sprawy kultury rozważane były przede wszystkim z punktu widzenia bazy. I to jest konieczne. Ale z drugiej strony nie jestem przekonany, czy już dostatecznie wykorzystujemy to wszystko, czym dysponujemy, co posiadamy. Sądzę, że chyba nie. I to jest też pole działania dla radnych, którym w nowej kadencji wojewódzkich rad narodowych przyjdzie się zajmować sprawami kultury.

I sprawa trzecia. Byłem już radnym przez trzy kadencje i pamiętam, że na samym początku drażniło mnie to, że na spotkaniach z radnymi mówi się o różnych bolączkach, a nie mówi się o kulturze. Kiedy poznałem głębiej sprawy miasta, doszedłem do wniosku, że w ogromie różnych spraw zagadnienia kultury muszą zejść na dalszy plan. Teraz jednak nadszedł czas — w moim przekonaniu przynajmniej — aby sprawami kultury zajmować się również na spotkaniach z wyborcami, aby z tymi sprawami szerzej wychodzić do mieszkańców Łodzi i województwa łódzkiego miejskiego.

Kultura powinna już znaleźć się w centrum społecznego zainteresowania, a zadaniem radnych powinno być budzenie takiego zainteresowania. Mnie jako plastyka interesuje w pierwszej kolejności estetyka miasta. Uważam, że jest tu wiele do zrobienia i chyba komisja, która będzie się zajmowała kulturą, będzie miała ogromne pole dla inicjatyw. Nie chciałbym wdawać się w szczegóły — zostawmy je radnym, których wybierzemy 21 marca 1976 roku — ale troską wszystkich nas powinno być to, aby Łódź szybciej stawała się ładnym nowoczesnym miastem, aby nowe dzielnice mieszkaniowe nie były bliźniaczo do siebie podobne, aby miasto było czyste, jasne nocą i ładne dniem. Łódź szczyci się silnym środowiskiem plastycznym. Myślę, że wojewódzka rada narodowa powinna dołożyć starań, aby ten potencjał plastyczny miasta mógł być pełniej wykorzystany.

BOLESŁAW KARDASZEWSKI

Inż. architekt Bolesław Kardaszewski kandyduje na posła do Sejmu w okręgu 41 łódzkiego województwa miejskiego. I to, że znalazł się na liście kandydatów naszego regionu nie jest chyba przypadkiem, bo praca architekta nosi w sobie elementy aktywnej działalności społecznej. Wprawdzie jego warsztatem jest deska kreślarska, ale przetwarza się na niej środki społeczne w celu, które służą dobru człowieka.

Bolesław Kardaszewski przyjechał do Łodzi z Warszawy w roku 1956 i podjął pracę w Biurze Projektów „Miastoprojekt". Zarówno ta placówka jak i dwudziestoletnia perspektywa pozwoliły mu zrozumieć wiele typowo łódzkich spraw. Kiedy stawiał pierwsze kroki jako architekt dojeżdżając na studia magisterskie do Warszawy, Łódź była jednym z najbardziej zaniedbanych przemysłowych miast Polski. Od tamtej pory sporo się zmieniło. W trzydziestoleciu powojennym zbudowano w Łodzi 300 tys. izb, dzięki czemu połowa ludzi żyje w nowych mieszkaniach. Powstały przecież 24 większe i mniejsze osiedla mieszkaniowe. W samym tylko minionym pięcioleciu zbudowano 150 tys. izb.

Inżynier Kardaszewski jest wybornym rozmówcą, mówi żywo, ze swadą, w jego ustach każda sprawa, choćby nawet znana, nabiera nowego sensu.

„Przecież my — **stwierdza** — budujemy właściwie dwa miasta. To nadziemne każdy może zobaczyć, wystarczy pojechać na Teofilów i Dąbrowę. Ale równie wiele kosztuje nas niewidoczne na pierwszy rzut oka miasto podziemne, infrastruktura techniczna: magistrale wodociągowe, kanalizacyjne, energetyczne, ciepłownicze, gazowe. Zresztą i to miasto widzialne zejdzie pod ziemię, bo zaczynamy budowę podziemnych przejść".

Nie chcę być posądzany o tani optymizm, bo chociaż zrobiliśmy w Łodzi bardzo wiele, nie może nas to jeszcze zadowalać. Niewątpliwie w najkorzystniejszej sytuacji znalazło się budownictwo przemysłowe, które może zapisać na swym koncie modernizację 100 zakładów i 30 zupełnie nowych inwestycji. A są one nie tylko bazą produkcyjną, bo spełniają zarazem funkcje estetyczne. Także ich program socjalny oparł się o najlepsze wzorce europejskie. Ale już na przykład budownictwo na potrzeby szkolnictwa wyższego budzi znacznie więcej zastrzeżeń. Zresztą i w budownictwie przemysłowym dałoby się jeszcze wiele poprawić, głównie w zakresie oszczędności projektowych i zmianie materiałów na bardziej nowoczesne, śmielej korzystające z pomocy chemii.

A budownictwo mieszkaniowe? Inżynier Kardaszewski uważa, że przy deficycie mieszkań budownictwo wielkopłytowe było rozwiązaniem najlepszym. Ale jego technologia ma wiele braków, bo usztywnia funkcjonalność wnętrz, stwarza szablon. I chyba czas już na budownictwo monolityczne, do którego należy przyszłość. Ta metoda, także oszczędna, daje dużo większe możliwości, bo pozwala na rozpiętość ścian nośnych rzędu 8 m. Architekci walczą o to, aby stosowane obecnie systemy miały charakter otwarty, aby projektując mieszkania można było budować dowolne całości, jak przy zabawie w klocki, producenci zaś dążą do zawężenia asortymentów i elementów.

„Jaki tego rezultat? — **mówi Kardaszewski.** — Gdzie bym w Polsce nie przebywał, to zawsze jestem w Koninie, bo wszędzie budujemy tak samo".

Padają przykłady i liczby. I zaraz następne wątpliwości. Bo ciesząc się, że pod Łodzią wyrasta drugie, służące temu nadziemnemu miasto, trzeba krytycznie spojrzeć na metody jego budowy. Przecież wszystkie instalacje przebiegają bez ładu i składu, nikt nie troszczy się o tranzyty kanałów przełazowych. Budując podziemne przejścia trzeba będzie przekładać instalacje, a to kosztuje.

„Widzi pan — **zauważa inżynier Kardaszewski** — mamy w Łodzi niewątpliwe osiągnięcia, przemiany ilościowe są widoczne dla każdego, ale brakuje nam świadomości przemian jakościowych i jej przetworzenia na efekty praktyczne. Tu upatrywałbym największe nasze rezerwy".

Te spostrzeżenia będą na pewno przydatne w pracy sejmowej. Inżynier Kardaszewski zapowiada, że jeśli zostanie obdarzony mandatem, będzie zabiegał o specjalne preferencje dla Łodzi, bo jest to jedyne miasto w Polsce o takiej koncentracji klasy robotniczej i powinna stać się ogólnokrajową sprawa przemiany go w nowoczesny, w pełni socjalistyczny ośrodek przemysłowy. Może potrzebna jest specjalna ustawa sejmowa, dzięki której Łódź stanie się rzeczywiście drugim pod względem znaczenia miastem Polski, a więc już nie tylko pod względem ilości mieszkańców.

„Wyobrażam sobie — **mówi inżynier Kardaszewski** — że w sejmie potrafię kojarzyć sprawę społeczno-gospodarczego rozwoju kraju a więc także regionu łódzkiego z problematyką budownictwa obejmującą zagadnienia architektury. Chciałbym pracować w Komisji Budownictwa zajmującej się programowaniem, planowaniem, projektowaniem i realizacją inwestycji. W tym kręgu spraw znajduje się także architektura obejmująca swym widzeniem środowisko człowieka, a więc całokształt warunków, w których żyjemy".

SMOK

Dalszy ciąg ze str. 1

Sypnęliśmy wspomnieniami. Wyławiałem fragmenty jego życiorysu. Był prosty, typowy dla tych „bez biografii", z rocznika czterdziestego. Do pabianickiego **„Madro"**, monopolisty krajowego w maszynach drogowych przyszedł w pięćdziesiątym dziewiątym, po ukończeniu technikum. Zaczynał od robotnika, na palcach odciski, pod paznokciami trudny do wymycia smar. Odcisków już nie ma, smar tak, bo znęca się nad starym moskwiczem, którym często wraz z żoną i jedenastoletnią córką odwiedza rodziców na wsi za Rzgowem.

W ciągu siedemnastu lat przechodził wolno szczebelki, ostatnio kierownik montażu aż do dyrektora.

— W pięćdziesiątym dziewiątym robiliśmy pięć „ósemek" rocznie.

— Jakich „ósemek"?

— „Ósemka" to skrócona nazwa małego zespołu do suszenia i otaczania kruszywa o wydajności ośmiu ton na godzinę.

— A teraz?

— Dwadzieścia maszyn w ciągu miesiąca. Ale dwa razy większych. Między innymi — dorzuca — **bo robimy jeszcze inne maszyny.**

— Dobra. Mieliśmy mówić o „smoku".

— Chwileczkę!

Wstał, zaczął grzebać w papierach. Z szafki zsunął się źle oprawiony dyplom. Druga nagroda (pierwszej nie przyznano) w krajowym konkursie ministra komunikacji.

— Twój wniosek racjonalizatorski — powiedziałem. — Chwal się!

Machnął ręką, wsunął dyplom pod stertę papieru.

— Otrzymaliśmy nowiutkie stoły do wyciągu spalin podczas spawania. No i, cholery, nie wyciągały. Natężenie szkodliwych gazów siedmiokrotnie przekraczało dopuszczalne normy. Pogłówkowałem, zmieniłem układ wyciągu i zagrało...

Pochylamy się nad prospektami.

2.

Takie maszyny trzeba sprowadzać z włoskiej firmy Mariniego. Jedna sztuka kosztuje kilkadziesiąt tysięcy dolarów. W bloku RWPG produkuje je wyłącznie Teltomat z NRD. Cholernie drogi interes. Import nie kalkuluje się również z tych względów, że wynikają później kłopoty z naprawami, i zdobyciem odpowiednich części.

W **„Madro"** postanowili własnymi siłami zbudować prototyp takiej maszyny.

„Smok" nazywa się symbolicznie **WMB-100**, Czyli **Wytwórnia Mas Bitumicznych**, która w ciągu godziny wytwarza sto, a nawet sto dwadzieścia ton masy. A więc dziesięciokrotnie więcej niż produkowane przez **„Madro"** popularne **WMB-12.**

No i jest odpowiednio większa. Duża ciężarówka wygląda przy niej jak zabawka, człowiek jak krasnoludek.

Maszyna ma siedemnaście metrów wysokości (m. in. ogromny komin) i będzie kosztować dziesięć milionów złotych. Roczna produkcja **„Madro"** osiąga wartość dwustu czterdziestu milionów. Mogliby zbudować w ciągu roku dziesięć do piętnastu maszyn typu **WMB-100.** Ogromny skok w górę.

Wytwórnia składa się z suszarki, która do suszenia kruszywa potrzebuje około trzech tysięcy litrów paliwa na godzinę; zbiornika bitumu z podgrzewaniem i zbiorników na mączkę, z których czerpie się składniki do wytwarzania asfaltu; otoczarki, gdzie następuje wymieszanie na gotową masę i około dwustutonowego zbiornika na gotową masę.

Wszystko to połączone jest dużym układem instalacji odpylających, służącym do ochrony środowiska.

— Trzeba to zobaczyć w ruchu. Jak zacznie grzmieć, buchać dymem, pluć ogniem...

— Smok?

— Smok!

Przy całym tym ogromie obowiązuje ścisła receptura (waga z dokładnością do jednego kilograma): dozator porcjuje odpowiednie ilości materiału.

Wytwórnia pracuje w cyklu automatycznym. Sterowanie z jednego pulpitu operatora. Dwóch ludzi dozoruje czy proces przebiega prawidłowo.

— Wytwórnia — mówi Waprzko — **winna pracować dwanaście lub szesnaście godzin na dobę. Byłaby bardziej opłacalna, gdyby pracowała na okrągło. Do dziennej produkcji potrzebuje trzydzieści wagonów czterdziestotonowych grysu, sześćdziesiąt tysięcy litrów asfaltu...**

— Dobra — przerywam — ale jak przewieźć takiego kolosa?

— Około sto ton konstrukcji stalowych. Ze względu na duże gabaryty cała konstrukcja jest tak pomyślaną, żeby ją można przewieźć w częściach i złożyć dźwigami. Po prostu klocki, które nakłada się jedne na drugie. Rama z segmentów i zamontowane w niej elementy. Bez kłopotów. Byleby tylko drogowcy mieli odpowiednią ilość materiałów i dobrze zorganizowany, szybki transport do ich dostarczania.

— A gdyby pracę WMB-100 przeliczyć na długość drogi?

— Kładąc grubą, dziesięciocentymetrową warstwę asfaltu, w ciągu dnia można wykonać około kilometra autostrady o szerokości siedmiu metrów.

— Bomba! Tylko na ile już widać tego waszego smoka?

— Zaraz!

Dzwoni telefon.

— Z dyrektorem Szczeklikiem proszę! Bardzo proszę, niech mnie pani przełączy. Czekam, proszę pani! — krzyczy. — **No! Dyrektorze, ja w sprawie szaf. Proszę? Klienci mi na głowie siedzą. Maszyny skończone, a szaf z lutego nie ma!**

Odkłada ze złością słuchawkę. Zdaje się, że ta rozmowa jest częściowo odpowiedzią na moje pytanie. Że madrowski „smok" rodzi się w bólach.

3.

W **„Madro"**, co miesiąc odchodzi jedna dwunasta planu rocznego. Rytmika pracy jak w zegarku. Mimo, że serie krótkie i że wiele prac wykonuje się ręcznie.

Suszarkę do WMB-100 wykonano w ubiegłym roku. Chcieli skrócić termin wykonania całego prototypu o rok, tzn. zakończyć w bieżącym roku. Ale wszystkich potrzebnych części sami nie wykonają, bo to jest tak, jakby np. zegarek robił u kowala.

Kierownik działu zaopatrzenia, pani **Bożena Skoczylas,** rozkłada dokumenty.

— Proszę bardzo! Dwa głupie oporniki łódzka „Elta" może dostarczyć w czwartym kwartale siedemdziesiątego dziewiątego roku. Kielecka „Elma" wie, że robimy prototyp, a mimo to przekładnię (1 sztuka) obiecuje dostarczyć w pierwszym kwartale 78, po czym przesuwa zamówienie na rok siedemdziesiąty dziewiąty. Cylindry pneumatyczne mogą dostarczyć w przyszłym roku. Pojechałam specjalnie do Torunia, gdzie zakłady „Ema Apator" produkują nietypowe zespoły rozdzielcze „ZD". W „zbycie" potraktowano mnie jak szczeniaka, wyśmiano, w ogóle nie chciano rozmawiać. Wyślę zamówienie na ręce dyrektora naczelnego, ale czy załatwi, to też wątpliwe.

Idę przez dziedziniec fabryczny. Wiatr gwiżdże między halami. W halach ostry smak żelaza, łoskot, błyski palników. Waprzko wskazuje na jeden ze zbiorników.

— Tu też zagłówkowałem — rzuca mimochodem. — **Pięć ton stali oszczędza się na jednym zbiorniku.**

Pokazuje prace nad otaczarką. Jest rama, na niej stanie druga rama, ze zbiornikiem. W hali to się nie zmieści, trzeba będzie montować na powietrzu. A na powietrzu mogę porównać sobie bębny do suszarki **WMB-100** i gotowych już **WMB-12.** Mogę wejść do tego bębna od setki. Coś z odrzutowca, dysze, przez które będzie bluzgał ogień; roznoszony łopatkami grys będzie przelatywał przez strumień ognia.

Wracamy do hali. Rozmowy. **„Madro"** zatrudnia pięćset pięćdziesiąt osób. W zeszłym roku we własnym zakresie przeszkolono wielu młodych ludzi. Teraz przyjmuje się tylko najlepszych fachowców. Narzekania. W narzędziowni fachowcy, a zarobki były najniższe. W prototypowni przeszli na akord, jest lepiej. Dorobili się kiosku spożywczego. Dobre zaopatrzenie, sama bufetowa, dziewczę jak malowanie, też jest atrakcją.

— Robimy maszyny, a należymy do ministerstwa komunikacji. Nie ma wysługi lat... Jak nie było samolotów, to były zniżki na samolot, a teraz nie...

Jedenastu ludzi pracuje w prototypowni nad budową „smoka". Starszy mistrz, **Eligiusz Janiszewski,** jest w garniturze, brygadzista, **Mietek Górecki** w wysmolonym drelichu. Przed powitaniem z krępacją wyciera rękę. Majster mówi:

— Dokumentacja cztery — pięć lat, więc żeby zachować nowość, bo dochodzi jeszcze cykl prób, pragniemy skrócić okres budowy. No, ale wynikają te sęki z częściami. Ludzie klną, ale już się przyzwyczaili.

— To źle, że się przyzwyczaili!

— Jasne. Ale są pełni zapału. Po raz pierwszy tej wielkości konstrukcja, prostowanie po spawaniu, nowoczesność, to będzie procentować. I na tym się nie skończy.

— Teraz detali nie bierze się w rękę! — wtrąca Górecki. — **Potrzebne są dźwigi, suwnice. Przy suszarce do „setki" bębna nie było czym włożyć ani zdjąć.**

— Z braku części wytwarza się bałagan. Zaczyna się jedną robotę, przerywa i przechodzi do drugiej. Nerwowość.

— Te cholerne cylindry pneumatyczne — mówi brygadzista — **już mamy, ale musimy je przerabiać. Wiele rzeczy powinno być gotowych. A tak — kątowniki giąć i ciąć, składać po dziesięć arkuszy blachy i wycinać detale. Jest kątownik, nie ma łożyska, elewator mógłby być skończony, ale brak skrzyni przekładniowej i silnika.**

— Gdyby wszystko było, jak byście pracowali?

— W końcowym etapie montaż nawet po szesnaście godzin — mówi Janiszewski. — **Ludzie są uczuciowo zaangażowani, to jest sprawa ambicji zawodowej, sprawdzenie swoich umiejętności. To coś, co się robi po raz pierwszy w kraju.**

— Zasuwalibyśmy już teraz — rzuca ktoś z boku — **ale z gówna bata nie ukręci!**

To nie jest sprawa ambicji **„Madro".** To jest sprawa wagi ogólnopolskiej. Sprawa modernizacji Łodzi, gdzie ta modernizacja bez nowych arterii komunikacyjnych jest nie do pomyślenia.

Czeka nas zalew motoryzacji. Musimy szybko budować autostrady. Jedna **WMB-100** daje dziennie kilometr autostrady. No więc jak? Ktoś musi zająć się tą sprawą? Może sam minister komunikacji? Żeby z opornych zakładów rychło trafiły do **„Madro"** potrzebne części. I żeby z **„Madro"** jak najszybciej wyszły „smoki" na polskie drogi.

A czy tak normalnie, bez tego „ktosia", bez tej interwencji — nie można?

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: W. Parys

1980

PERSPEKTYWA

Dalszy ciąg ze str. 1

korzyść posiadających w myśl zasady osiągania jak największego zysku, i drugi — w miarę nie zniszczony potencjał produkcyjny miasta oraz jego zła ale funkcjonująca infrastruktura musiały bez dostatecznej modernizacji i środków na rozwój spełniać swoją rolę dla zaspokajania ogromnych potrzeb kraju i eksportu. Sytuacja ta uległa zmianie dopiero w 1971 roku, kiedy powstał program rozwoju i modernizacji Łodzi, i miasto otrzymało zwiększone środki na ten cel.

Bilans pierwszych lat realizacji tego programu można zamknąć w kilku stwierdzeniach:

— szybki postęp budownictwa pozwolił stworzyć zarys przyszłej Łodzi, uporządkować w części przynajmniej chaotyczną zabudowę, tworząc dzielnice mieszkaniowe i przemysłowe, zapoczątkować tworzenie nowoczesnych rozwiązań komunikacyjnych;

— przemysł lekki w kilku zakładach osiągnął światowy poziom techniki i technologii;

— przeszło 60 tys. osób pracuje już w nowych i zmodernizowanych fabrykach;

— łodzianie otrzymali 146 tys. izb zamiast planowanych 140 tys., co złagodziło nieco problem mieszkaniowy, aczkolwiek daleko jeszcze do jego rozwiązania;

— nie ma w Łodzi takiej dziedziny życia, w której nie rozpoczęłyby się przemiany.

Co pozostało do zrobienia?

Przede wszystkim sprawa najpilniejsza — **Śródmieście.** Zarysowany dotychczas kształt nowoczesnej Łodzi będzie tak długo niepełny i tak długo nie będzie w pełni odczuwalny w życiu miasta, jak długo nie nastąpi całkowita przebudowa centrum, które to centrum ma służyć całej aglomeracji.

Unowocześnienia wymaga **baza kulturalna miasta.** W planach na bieżące pięciolecie znalazła się budowa Filharmonii i teatru. Potrzeby są jednak znacznie większe, ale ich realizacja wybiega poza lata 1980. Potrzeby te wynikają nie tylko z roli, jaką Łódź kulturalna spełnia w regionie, ale też z roli jaką odgrywa w kraju.

Niezbędny jest dalszy postęp w **budownictwie mieszkaniowym** i to pod względem ilości jak i jakości budowanych mieszkań. Do roku 1980 powstanie o 29 proc. więcej mieszkań niż powstało ich w ubiegłej pięciolatce. W 1980 roku w łódzkim województwie miejskim będzie mieszkać przeszło 125 tys. rodzin w domach wzniesionych po 1970 roku. W Łodzi nowe bloki budować się będzie na **Retkini — Zachód, Widzewie — Wschód, Chojnach — Zatorzu, Radogoszczy, Rąbieńskiej, Warszawskiej** oraz w **Śródmieściu.** Około 10 proc. nowych budynków powstanie w śródmieściu Łodzi. Zamierzony postęp budownictwa mieszkaniowego nie rozwiąże jednak problemu mieszkaniowego, przyczyni się natomiast do dalszego jego złagodzenia. Przede wszystkim krócej będzie się czekać na nowe mieszkanie.

Nadal modernizować się będzie przemysł lekki, a przede wszystkim bawełniany i wełniany. Nastąpi też rozwój przemysłu elektrotechnicznego i maszynowego. W wyniku tych przeobrażeń przemysły elekrotechniczny i maszynowy będą miały większy udział w tworzeniu globalnej produkcji łódzkiej aglomeracji miejskiej.

Przebudowa ulicy Głównej oraz dokończenie innych zarysowanych ciągów komunikacyjnych, jak też wzrost taboru MPK przyczynią się do dalszego usprawnienia komunikacji w mieście.

2.

Celów społeczno-gospodarczych tej pięciolatki nie można jednak traktować tylko z ilościowego punktu widzenia. Do tej pory zarysowując zadania każdego pięciolecia ograniczaliśmy się do wyliczania planowanych inwestycji, fascynując się ich ilością i wielkością. W tym pięcioleciu przyjęliśmy inny kierunek: **modernizację i rozbudowę tego, co posiadamy i kontynuację tego, co zaczęliśmy budować.** I tak kontynuowana będzie rozbudowa **Portu Północnego, Huty Katowice, zagłębia miedziowego.** Nowe w programie inwestycyjnym bieżącego pięciolecia — choć też zapoczątkowane w poprzednim — będzie **zagłębie węglowe na Lubelszczyźnie i centrum energetyczne pod Bełchatowem.**

Stworzyliśmy już znaczny potencjał produkcyjny, wprowadziliśmy do naszej gospodarki wiele nowoczesnych elementów i teraz nadszedł czas, aby — nie hamując koniecznego tempa rozroju ilościowego — uzyskiwać **wyższe jakości z tego, co posiadamy.** Do tej pory tworzyliśmy potencjał gospodarczy kraju, obecnie nadszedł czas, aby **lepiej z tego potencjału korzystać.**

Chcemy nadal utrzymywać wysoką dynamikę rozwoju, ale już nie tylko poprzez tworzenie nowych wartości materialnych, ale poprzez pełniejsze

Dalszy ciąg na str. 12

JERZY WILMAŃSKI

CZTERDZIESTA JESIEŃ

To był taki rok
kiedy się jesień objawiła w sierpniu
w samym środku lasu

Powtarzałem słowa
że nie było lata
Powtarzałem słowa
że ma się pod jesień

A ona idzie do mnie zapalając liście
a ona idzie do mnie uciszając krew

I teraz nocami
zda mi się że słyszę
szelest wapna w żyłach
i skrzypienie kości

A jesień idzie do mnie
ma wyblakłe oczy
drżą jej ręce
pożółkłe liście
w samym środku lasu

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

PUNKT W PRZESTRZENI

ukrywam się w sobie
przedstawiam zawsze kogoś innego podając dłoń
— to zresztą bez różnicy kogo
wydaje się na pastwę kpiny
i kogo się rzuca w szpony miłości
— ten punkt w przestrzeni okazał się sępem
branym za okaz wolności — lecz
nie dość rozważny by o tym zapomnieć
nie mogę ukryć się przed sobą
— wypływam z codzienności
na morze w którego tafli odbija się krzyk
(słyszeć go jak się niesie to odkryć
że w głuchej zapada się próżni)

często więc staję na baczność
— w tej pozycji nie można myśleć
o zwyciężonych przez dni

ZNAK NIE DO ODCZYTANIA

kogo tak bawi
moja wolność trwania dopóki jestem w sobie
milczący i ślepy

sam jestem znakiem nie do odczytania
i z trudem wspomagam wiernych tego świata

sam jestem wolny od poznania prawdy —
i to jest wolność

ta iskra buntu
która zapala głowy szaleńców
i gasi ich gniewy

LUDWIK GEBEL

TRZECIA MGŁA

— Wstawaj pan, panie Kłoper! Przespałeś pan cały dzień. Śniadanie stygnie.

Stał nad nim gospodarz schroniska i targał za ramię. Goprowiec przeciągnął się, ziewnął głośno, otworzył oczy.

— A, to ty Maszyniok?

— Nie jestem żaden maszyniok. Maszyny nie tknąłem od zeszłej zimy. Stoi ten wyciąg, jak stał, nim lina pękła. Nawet zaplataczy nie wzywałem, bo po co. Śniegu tyle, co kot napłakał.

— Co? Nie ma śniegu — gadasz? A moje buty, to niby po czym się suszą?

— Może zlałeś się wczoraj w tej mgle?

— Cholera by ją, niech by to diabli wzięli taką akcję jak wczoraj. E! — A zlać to ja mogę, ale ciebie, jak będziesz mnie budził bez potrzeby.

— Masz, trzymaj te buty! I przestań pieprzyć.

— Dobra Franuś. Ubiorę się i strzelimy po piwku.

— Nie piję piwa.

— A niech cię... Odkąd żeś objął tę budę w ajencję, to ci zupełnie szajba odbiła.

Weszli do dużej sali. Goprowiec wziął jajecznicę, była już zimna, chleb z masłem i butelkę fula z Baltony. Usiadł naprzeciw gospodarza. Ten oparł się o parapet, nogi wyciągnął na ławie, zapalił fajkę.

— Nic mi nie odbiło. Najlepszy dowód, że tyle czasu tu żyję. Byle kto, tak długo nie zdzierżyłby. Byle kto — to siedzi na dole.

— A bo to prawda. Prawda jest tylko taka, że żyjesz po cichu i nikt nic nie ma do ciebie.

— To i nie narzekam. Dobrze mi, bo jestem na górze. A i z ludźmi w sezonie można pogadać.

— Tak. Jest ci dobrze. U mnie, to zawsze sezon. Tylko, że ludzie nie odwiedzają mnie, a ja muszę ich szukać. Najgorsze to te jamniki. Łażą po grotach i wlezą do każdej jamy, aż odwrócić się nie mogą. Ściągaj ich potem na wpół uduszonych za nogi. E, z taką robotą. Albo ci odmieńcy, cholera jasna! Wlezie ci taki na skałę, jak wczoraj, a potem liczy do dziesięciu, by krzyknąć ratunku i znowu liczy, bo tak uczono go na jakimś kursie. I w końcu mówi, że noc go zaskoczyła i zamarzł na skale.

— No to przynajmniej wiesz pan, panie Kłoper, z kim masz do czynienia. Ja to najbardziej nie lubię, gdy nic nie wiem o człowieku.

— O człowieku, nikt nigdy nic nie wie do końca.

— Do którego znów końca? Czy do tego przed ostatnim namaszczeniem?

— E tam, gadać z tobą. Nie ty w organach byłeś. Mnie takie pytania zadajesz? Zawsze myślisz, że od bandytów tylko i od nagrodzonych krzyżami można się życia uczyć.

— Daj spokój, Franuś. Słuchaj, co chcę ci powiedzieć, bo to ciekawsze. Od dwóch tygodni na stokach północnych znajduję tyczki, co dzień w innym miejscu. To są te stoki, gdzie można aż do lipca jeździć na deskach. Przy tyczkach — wgłębienia, raz z lewej, raz z prawej — do samej trawy. Przecież tu ludzie przychodzą! Nie tylko na skały i w groty. Ten śnieg jest dla ludzi. Inni także chcą jeździć. Niech ja go złapię, pasożyta, z kurwy syna — pomyślałem — i dopiero wczoraj przydybałem go na tym. Na tym najbardziej stromym podejściu. I nie był sam. Z dziewczyną. Stała w śniegu po kolana i wpatrywała się w niego jak w obraz święty. A on hulał z góry jak wariat. I co przysiądzie, to śnieg znika. A potem jak maszyna podchodzi do grzbietu, a ona stoi jak kukła, a on popisuje się przed nią. Po pewnym czasie pokazał coś z góry ręką. Ona — zaczęła podchodzić i wyciągała tyczki, jedną po drugiej. On — znów rękę wyciągnął w innym kierunku. Schodziła, po kolana w śniegu i tyczki wbijała co kilka metrów. Nikogo oprócz nich nie było. Kto by jeździł o zmroku pod szczytem. Gdy znowu zaczął śnieg niszczyć, uważasz, wychyliłem się z krzaków i krzyknąłem: — Może byś pan z żoną gdzie indziej chodził na wybieg?! — A on nic. Dalej zjeżdża tak po swojemu. Ona też nie obejrzała się w moją stronę. — Panie, tu inni także chcą jeździć! Dziury pan robisz! — I znowu udają, że mnie nie słyszą. Miałem ze sobą fuzję. Strzeliłem w powietrze. Ani nie drgnęli. Nagle mgła opadła. Wróciłem do domu. A oni zostali. — Ej, Franuś, ej! Cóżeś tak zbladł?

— Czekaj no, Józek. — Mówisz mgła opadła. Czy było to może około szóstej?

— Tak, coś koło tego. Nawet na pewno. O szóstej fajkę zapaliłem na tej ławce. Mgła była jak mleko.

— Tak. A ja byłem już w akcji na grani. Wiem, co działo się z nimi później.

— Skąd możesz wiedzieć? Ze trzydzieści kilometrów stąd byłeś.

— Tak. I zdarzyło mi się to już po raz drugi.

— Co się zdarzyło?

— Drugi raz i ostatni. Trzeci raz, we mgle nie pójdę na akcję. Nikt na świecie nie przeżył tego po raz trzeci.

— Czego nie przeżył? Co wygadujesz?

— Widziałem błysk po wystrzale. A potem z bliska zobaczyłem tych dwoje. Podobni nawet do siebie. Obydwoje mieli ciemnoblond włosy, długie do ramion i mieli brwi czarne, takie zrośnięte nad nosem. Odpięła mu narty. Podniosła taki mały plecak co leżał pod świerkiem. Wyjęła chleb i termos. Podała mu złożone dwie kromki chleba. Nalała płyn z termosu. Chyba herbatę, bo w ciemnym kolorze. Upiła łyk i podała mu ebonitową, niebieską szklankę. Jadł szybko. Kilka razy dolała mu tej herbaty. Drugą porcję chleba przełamał i dał jej połowę. Nie chciała wziąć. Obydwoje wymachiwali rękami. Widziałem to z takiej odległości, jak teraz ciebie. Rzadko zdarza się człowiekowi takie zjawisko. Mówią, że to taki rodzaj fata morgana.

— I co dalej było?

— Czułem jak włosy stanęły mi dęba. Tak jak to się dzieje czasami przed burzą na grani. Takich widziadeł nikt dotąd nie przeżył po raz trzeci.

— Mówiłeś już. Mów, co dalej się z nimi stało.

— Nic się nie stało. Widziałem ich czas jakiś jeszcze, aż zeszli do lasu. On schodził pierwszy, a ona niosła mu narty.

— Wariaci cholerni. Pokazują się o zmroku. Nie odzywają się do człowieka. On popisuje się przed nią, bo nie ma przed kim. Ona łazi za nim jak pies, bo lubi być tak traktowana. Śnieg niszczą i licho wie co knują.

— Jeszcze raz ci powiadam, o człowieku nikt nigdy nic nie wie do końca.

— Patrz, znów mgła ściąga.

— Dałbyś mi święty spokój z tą swoją mgłą.

Spojrzał przez okno. W ułamku sekundy odwrócił się. Pochylony podszedł do barku. Wziął butelkę piwa i usiadł tyłem do okna.

— Cóżeś zmarkotniał?

— A z czego to cieszyć się mam? Żywego ducha w tym twoim schronisku. Nawet piwa nie ma z kim wypić. I wyjść nie można. Niechby choć deszcz popadał. Byle nie ta mgła cholerna.

Nagle drzwi otwarły się z hałasem. Do izby wtłaczały się gęste kłęby pary.

— Drzwi zamknij!!! — ryknął na cały głos goprowiec. Gospodarz wstał. Nie zdążył zrobić dwóch kroków. W drzwiach ukazał się wysoki mężczyzna. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Na rękach trzymał dziewczynę. Jego włosy opadały na jej głowę. Goprowiec zerwał się. Upuścił butelkę. Drżał cały i wciskał się w kąt izby. — To oni! To oni! Mgła po raz trzeci! To trzecia mgła!

— Oszalałeś zupełnie. Widzisz, że coś jej się stało. Chłopak nie odwracając się, drzwi nogą zatrzasnął. Dziewczynę położył na stole. Usiadł bez słowa na ławie i tępo patrzył w podłogę. Jego partnerka patrzyła w jeden punkt na suficie. Zbliżył się do nich gospodarz.

— E! Co się stało? No gadaj!

Tamten nie poruszył się.

— Głuchyś, czy co?! Otwartą dłonią uderzył go w ramię. Drugą zacisnął w pięść. Chłopak powoli się podniósł. Otworzył usta. Dobył z siebie głos dziwny jakby gęganie. Pokazał palcem nogę dziewczyny. Za plecami gospodarza stanął goprowiec.

— Franuś! Toż oni są głuchoniemi! Dziewczyna nadal leżała nieruchomo. Podkurczała nogę. Z trudem zdjęli jej but. Miała obrzękniętą kostkę.

— No, dla ciebie robota, panie Kłoper.

Goprowiec sięgnął pod ławę. Wydobył niebieską torbę z białym krzyżem. Rozciął skarpetkę. Dotknął jej stopy i nacisnął nad kostką. Dziewczyna zabełkotała i zaczęła go odpychać obiema rękami. Sięgnął po bandaż elastyczny.

— Czego tu szukaliście?! — krzyknął niespodziewanie gospodarz.

— Idź no lepiej do krótkofalówki, zamiast się wydzierać. Niech przyślą tu kogo. Sama nie zajdzie.

— We dwóch ją zniesiecie, razem z tym głuchym.

— Nigdzie nie ruszę się w taką mgłę.

— Diabli ich tu przynieśli. I ciebie także, z tymi twoimi zabobonami.

Podszedł do aparatu. — Halo! tu stacja górna. Czy mnie słyszycie? Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Łączył się długo. W końcu otrzymał potwierdzenie i obietnicę, że wyślą samochód na górę.

— No to i z głowy — powiedział do goprowca.

— Franuś, daj no kawałek papieru i jakiś długopis.

— Po co ci?

— Wiesz, człowiek to zawsze ciekawy. Mówiłeś na nich: wariaci. O wszystkim wiesz sam najlepiej ze wszystkich. Wariaci, mówiłeś o nich, bo nie odezwali się do ciebie, nawet po twoim wystrzale. I co? No masz tę kartkę.

Na kartce napisał: — czy umiesz pisać? — I podał długopis chłopcu. Ten opisał: tak. — Kartka leżała na stole, a długopis wędrował od goprowca do chłopca, tam i z powrotem. Po dwudziestu minutach goprowiec podał zapisaną kartkę gospodarzowi.

— Masz pan, panie Maszyniok i czytaj.

— Nie jestem maszyniok. Mówiłem ci już, panie Kłoper.

— Nikt nie jest jedynie tym, za kogo sam siebie uważa, ani takim, jakiego go ludzie mają po uważaniu. Jasne?

— Zapisywałbyś te twoje myśli kłoprowskie, bo kiedy zapomnisz.

Wziął kartkę do ręki i czytał z daleka.

— Po kiego licha lazłeś co dzień na te stoki przed zmrokiem?

— Bo muszę ćwiczyć.

— Bo co?

— Bo chcę brać udział w mistrzostwach.

— W jakich mistrzostwach?

— Nie wiem jeszcze. Ale w przyszłym sezonie.

— To co ci tak spieszno?

— Bo miesiąc temu wyszliśmy z zakładu dla głuchoniemych.

— To co z tego?

— Muszę pokazać na co mnie stać.

— Komu pokazać?

— Tym, którzy słyszą i mówią.

— A to twoja żona?

— Niedługo będzie.

— To po co ciągniesz ją jak psa za sobą?

— Bo ona też musi uwierzyć.

— W co ma uwierzyć?

— Że nie jest kaleką.

Nie czytał dalej. Oddał kartkę goprowcowi.

— Zabawę sobie robisz.

— To nie zabawa. Ci głuchoniemi, to mają takie samo normalne wariactwo, jak i inni, którzy trafiają tutaj.

— Jak ty.

— I ty. I wszyscy, którzy chcą pokazać coś sami sobie. To znaczy najpierw sobie, a potem innym. Chcą pokazać co mogą. Kapujesz to? A wiesz czemu, panie Maszyniok?

— Przestało mnie to obchodzić.

— No widzisz. W tym szkopuł. Ludzi to ty od zewnątrz znasz. Chcą pokazać takim jak ty, że nie są tacy za jakich uważa się ich. A jak się rozejrzysz, to byle kogo spotkasz tak samo na górze, jak i na dole. Najważniejsze panie Maszyniok, by, jak mówią, nie przesądzać sprawy. Że to, to białe. A to, to czarne. Kapujesz? Nie? No, że ten to dobry, bo dobry, a ten to zły, bo zły.

— Ale ci język rozwiązała ta trzecia mgła. Nie gadałeś tak dwadzieścia lat temu.

— No to sięgnij po piwo, bo mgły już nie ma.

Gospodarz przyniósł cztery butelki. Dziewczyna stale leżała w tej samej pozycji. Chłopak wyciągnął z kieszeni monety. Chciał położyć na stole.

— Schowaj to, bo jak cię strzelę w ten pysk długowłosy!

Goprowiec stuknął butelką o butelkę głuchoniemego. Dziewczyna popatrzyła na ich i nagle łapczywie przyssała usta do otworu butelki. Przez krótką chwilę wszyscy pili w milczeniu. Pierwszy przerwał gospodarz.

— Nie lubię piwa. I nigdy nie lubiłem tych długowłosych. Pod oknem zawarczał silnik Ułaza. Na źle oświetlonym suficie przesunęły się dwa jego światła drogowe.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Macki olbrzymów

Dolary wysłano... w skrzynkach, trudno bowiem 7 000 000 $ zapakować powiedzmy do koperty, a operacja za pośrednictwem banku, ze zrozumiałych dla zainteresowanych stron względów, nie mogła wchodzić w rachubę. Adresatem był wielce wpływowy w japońskich sferach politycznych pan Kodama Yoshio natomiast nadawcą amerykański koncern lotniczy Locheed Aircraft Corporation. Zresztą — nie tylko on, a i lista łasych na pieniądze w zamian za pewne przysługi coraz bardziej się wydłuża, sięga Europy, Azji, Ameryki Południowej, Afryki.

Krótko mówiąc — skandal o międzynarodowym zasięgu. I choć od dawna wróble obsiadujące drzewa na ulicach Waszyngtonu głośno ćwierkały o dosyć osobliwych praktykach stosowanych przez wielkie koncerny i korporacje o szczególnych powiązaniach między światem bussinessu a wpływowymi politykami, to jednak cała „zupa" dopiero teraz wykipiała. A przecież wszystko było tak dobrze pomyślane, znakomicie zorganizowane! Więc, jak się to mogło stać?

W czerwcu ubiegłego roku eksport finansowy — **Wiliam Findley** badając prawidłowość zapisów dokonywanych w księgach buchalteryjnych **Locheed Aircaft Corparation** natrafił na ślad dosyć zastanawiających operacji pieniężnych. Konkretnie chodziło o dokonane przelewy poważnych kwot idących w miliony dolarów, na które jednak brakowało sensownego uzasadnienia. Kierownictwo „Locheeda" próbowało wyjaśnić ten niespodziewany rezultat penetracji zapisów księgowych „pomyłkami", jako że nie tylko ludzie są omylni, lecz błędy popełniają również komputery odgrywające podobno decydującą rolę w całej maszynerii finansowo-księgowej tego koncernu. Findley był jednak człowiekiem zarówno skrupulatnym jak i podejrzliwym, powiadomił więc o swoim odkryciu parlamentarną komisję, która z ramienia Kongresu USA, pod przewodnictwem senatora demokratycznego **Franka Churcha**, tego samego który kieruje śledztwem w sprawie afery CIA, prowadzi od pewnego czasu dochodzenie w sprawie pewnych niezbyt zgodnych z prawem poczynań wielkich korporacji i koncernów amerykańskich.

Senator **Frank Church** ma opinię człowieka o nieposzlakowanej reputacji, a ponadto potrafi szukać, znajdować, no i nie boi się — co znowu nie jest cechą zbyt powszechną wśród zespołu senatorskiego — publicznie demaskować skandale. Jeśli więc ekspert **Wiliam Findley** natrafił na przysłowiową nitkę, to **Frank Church** umiał pójść jej śladem do kłębka, który okazał się potężnych rozmiarów aferą. Do dziś nieznane są „sposoby", po które sięgnął Church, by uzyskać pierwsze wyjaśnienie rzeczywistego charakteru owych dziwnych, rzekomo pomysłowych, przelewów, względnie też dowody były tak oczywiste, że trudno było im już zaprzeczyć, w każdym razie druga osobistość w kierowniczym gremium Locheed Co. — **Carl Kotchian** wyznaje:

„ — Niezgodne z przepisami przelewy, które odkrył ekspert Findley, to nic innego jak tylko łapówki dawane ludziom wpływowym, urzędnikom, osobistościom mającym coś do powiedzenia w tak wielce delikatnej dziedzinie, jak zakup samolotów wojskowych. W gruncie rzeczy — powiedział Kotchian — był to jedyny sposób sprzedania naszych, tj. Locheeda, samolotów".

KTO JEST KTO?

Wrócę jeszcze do tej aferowej części sprawy, a na razie warto chyba nieco bliżej zapoznać się z głównym jej „bohaterem", — **Locheed Aircraft Corporation.**

Wizytówkę tego kolosa nie tak znowu trudno znaleźć, wystarczy zaglądnąć do któregoś z wydań **„Who is who?"** czyli pewnego rodzaju encyklopedii odpowiadającej właśnie na pytanie — **„Kto jest kto"**. Na półce swojego regału z książkami, mam takie opasłe tomiszcze. Oczywiście — na jednej z kart figuruje hasło **„Locheed Aircraft Co"**.

No więc: jest jednym z największych producentów samolotów bojowych, transportowych, rakiet dalekiego zasięgu. W roku 1974 jej obroty przekroczyły kwotę 3,2 miliarda dolarów. Blisko 20 proc. swoich wyrobów eksportuje do innych państw. Jest głównym dostawcą sprzętu dla sił powietrznych USA. Od siebie dodam jeszcze do tej charakterystyki: dokładnie dwie trzecie zamówień realizowanych przez Locheeda stanowią zamówienia wojskowe. Właśnie w jego laboratoriach i halach fabrycznych realizowano jedno z najkosztowniejszych zamówień Pentagonu — budowę samolotu transportowego „C5A". Koszt — 1,4 miliarda dolarów. Tylko jedna z filli — „Locheed Georgia" mająca swoją siedzibę w mieście Marietta, zatrudnia 25 tysięcy pracowników. Nabywcami samolotów Locheeda na rynkach pozaamerykańskich są m. in. **RFN, Holandia, Włochy, Japonia, Turcja, Grecja, Kolumbia, Wenezuela, Meksyk, Indonezja, Iran, Filipiny, Izrael, Arabia Saudyjska, Kuwejt.**

Wystarczy?

Ano jeszcze nie. Dosyć pikantnym szczegółem jest też bowiem historia, którą annały koncernu jak i giełdy całego świata odnotowały w roku 1971. W tym właśnie roku Locheed Aircraft Co stanęła u progu... bankructwa. Podobno bezpośrednim powodem było rozpoczęcie produkcji gigantycznego transportowca „Galaxy C5A" oraz „Tristara 1011" — jednego z pierwszych Jumbo-jetów. Wtedy też z pomocą pośpieszył Kongres USA udzielając Locheedowi pożyczki w wysokości 195 milionów dolarów. Wszakże pod jednym warunkiem: że niezależny od koncernu ekspert będzie kontrolował finanse Locheeda.

Dwa lata upłynęły — mimo tej kurateli — bez większych kłopotów i niespodzianek.

W czerwcu ubiegłego roku, w biurach Locheeda pojawił się **William Findley.** Resztę już znamy.

RĘKA RĘKĘ MYJE

Po oświadczeniu wiceszefa koncernu — **Carla Kotchiana,** komisja nie miała już większych trudności przynajmniej z zarysowaniem rozmiarów łapówkarskiej afery. Do Japonii „poszło" najpierw owych 7 milionów, a później jeszcze 5 milionów dolarów. Odbiorcą był **Kodama Yoshio**, osobistość o bogatej przeszłości, kwalifikującej go do rzędu zbrodniarzy wojennych. Wszak miał on jedną, ale za to arcyważną z punktu widzenia interesów Locheeda zaletę: ogromne wpływy w kręgach zawodowych polityków, sam zresztą był przywódcą ultraprawicowej partii, która do swojego programu wpisała dążenie do ponownej militaryzacji Japonii. Kotchian wyznał przy tym, iż Kodama nie był jedynym „człowiekiem Locheeda" na wyspach Kraju Kwitnącej Wiśni. 2 miliony dolarów wpłacono na tajne konta kilku funkcjonariuszy rządu premiera Miki.

Ale i to był ledwie początek „nitki Ariadny".

Korespondent PAP — **Waldemar Kedaj** donosił w tych dniach z Rzymu:

„Obok problemów kryzysu rządowego, który z każdym dniem przynosi niespodziewane zagadki, sprawą, która w ostatnich tygodniach najbardziej zajmowała — i nadal zajmuje — Włochów jest istna „powódź skandali". Po skandalu z funduszami CIA dla niektórych partii i polityków włoskich ujawnionymi przez „raport Piksa" (2 miliardy lirów w 1972 r. dla „wielkiej partii politycznej", 2 miliardy dla „organizacji politycznej, utworzonej przez CIA", 800 milionów dla innych partii, a także pewne sumy dla pojedyńczych osób; główni „aktorzy" — były szef SID, gen. Vito Miceli, niektórzy politycy chadeccy, a także partii socjaldemokratycznej i republikańskiej), wyszła na jaw afera korupcyjna „Lockheeda". Ta, kierowana przez Amerykanów, wielonarodowa firma przekazała dwóm włoskim ministrom obrony (wymieniane są nazwiska chadeka Luigi Gui i socjaldemokraty Mario Tanassiego) łączną sumę 1,5 miliona dolarów, w zamian za zakup samolotów wojskowych „Hercules". Prokuratura w Rzymie wydała już kilka nakazów aresztowania, a jeden z domniemanych uczestników afery — Luigi Gui, nie przyjął oferowanego mu przez Moro stanowiska ministra spraw wewnętrznych w nowym rządzie".

Wyjątek z depesz AFP i UPI nadesłanych z Hagi oraz Bonn:

„Do najbardziej sensacyjnych należy zarzut, iż książe Bernhard, małżonek holenderskiej królowej Juliany, jest tą osobistością wysokiej rangi, która wg Lockheeda otrzymała w tajemnicy 1,1 miliona dolarów w związku z transakcjami dotyczącymi samolotów. Prowadzone jest oficjalne dochodzenie. Były przedstawiciel Locheeda w RFN — Ernst Hauser stwierdził, że osobiście opłacał oficera zachodnioniemieckiego lotnictwa — G. Ralla, a także iż wie, o pieniądzach płaconych przez koncern księciu Bernhardowi oraz ówczesnemu ministrowi obrony RFN — Franzowi Josefowi Straussowi. Pieniądze miały być wypłacone w zamian za aprobatę kosztownych poprawek w odrzutowcach F 101 Starfighter (też orodukcji Lockheeda). Zmiany te były korzystne dla koncernu. Pośrednik Lockheeda w Europie — Hubert Weisbrod stwierdził, że przypomina sobie dokonywane przez siebie na polecenie Lockheeda duże wpłaty na tajne konta w banku szwajcarskim Nie zapisywał jednak dokładnie sum i nie wie dla kogo te pieniądze były przeznaczone".

A oto jeszcze inne doniesienia na ten sam temat:

„Reuter" podaje, że senacka podkomisja d/s międzynarodowych korporacji znajduje się w posiadaniu dokumentów świadczących, iż firma Lockheed wpłaciła miliony dolarów tytułem prowizji od sprzedaży samolotów transportowych produkowanych przez tę firmę dla RPA. Sumy te wpłacone być miały za sprzedaż samolotów typu L-100 dla kontrolowanych przez rząd RPA linii lotniczych Safair, za pośrednictwem szwajcarskiej firmy Techinter. Samolot transportowy L-100 jest bardzo zbliżony do wojskowego samolotu C-130, klasyfikowany jest jednak jako maszyna niewojskowa. Nie jest on tym samym objęty embargiem na sprzedaż broni do RPA".

Depesza AFP:

„W Bogocie podano do wiadomości, iż siły lotnicze Kolumbii wdrożyły energiczne dochodzenie w sprawie doniesień prasowych, jakoby dwaj byli dowódcy lotnictwa tego kraju zostali przekupieni przez firmę Lockheed. Według tych doniesień, otrzymali oni w 1972 r. sumę 100 tys. dolarów, aby działać na rzecz zwiększenia zakupów samolotów od firmy Lockheed".

Wśród dokumentów zgromadzonych przez Churcha, a które teraz ujrzały światło dzienne znalazło się dosyć dziwne pokwitowanie wystawione Locheedowi przez wielką japońską korporację handlową „Marubeni". Otóż potwierdza się w nim odbiór... 100 orzeszków. Wiadomo już teraz, że chodziło o 100 tysięcy dolarów.

NICI WIODĄ ZA KULISY

Afera Locheeda przyrównywana jest w niektórych kołach obserwatorów do trzęsienia ziemi, którego epicentrum znalazło się w Los Angeles, będącym siedzibą tego koncernu. Co więksi jednak realiści, a także wprowadzeni w temat, nie bez uzasadnionych faktami racji powiadają, że sprawa Locheed Aircraft Co i jego metod zdobywania sobie klienteli, to ledwie czubek góry lodowej. Jest przy tym rzeczą wielce znamienną, że prasa zachodnia, nie tylko dzienniki bulwarowe typu „zabity i uciekł", ale również szacowne periodyki, ogromnie wiele miejsca i tyle samo uwagi poświęcają — nazwijmy to tak — technicznej stronie afery, rozsmakowując się we wszystkich jej rzekomych i prawdziwych tajemniczościach. Mnożą się więc opisy owych operacji między przedstawicielami koncernu a wpływowymi osobistościami, od których wiele zależało przy rozmowach o sfinalizowanie takiego czy innego kontraktu, przyjęciu bądź odrzuceniu warunków dostawy, nawet skądinąd szacowny „Time" nie ustrzegł się tej „fali" i według niego w tego rodzaju transakcjach ciągle najpowszechniej stosowaną metodą jest najzwyklejsza koperta, oczywiście z odpowiednią zawartością — czekiem wystawionym na okaziciela. Ale — jak zauważają to publicyści prasy zachodniej — jest to prymitywny sposób, a coraz częściej korzysta się z tzw. czarnych rachunków bankowych, których tajemnice znają jedynie bossowie szwajcarskich banków. To całe wielkie pranie przynosi niekiedy dosyć nieoczekiwane rezultaty w postaci opinii lansowanych przez niektóre koła, bardzo zbliżone do big businessu — nawet niekiedy wychodzą one ze środowisk czy od osób, które z racji pełnionych obowiązków powinny zajmować zgoła odmienne stanowisko. Wynika to z dosyć oczywistego faktu, a mianowicie ścisłej więzi między światem wielkiego kapitału, a administracją. Oto tylko jeden, ale niezmiernie charakterystyczny przykład: **generał Lauris Norstad, były dowódca sił zbrojnych NATO w Europie zajmował równocześnie stanowisko prezesa koncernu Owens-Corning Fiberglas w Nowym Jorku.**

Zresztą: dosyć trudno jest przełożyć angielskie słowo odnoszące się do typowo amerykańskiej instytucji. Może więc „antyszambrowanie"? Bo l o b b y wywodzi się podobno z XIX-wiecznej praktyki urabiania kongresmenów przez przedstawicieli czy też agentów wielkich przedsiębiorstw, zainteresowanych w uchwalaniu bądź też nie dopuszczaniu do przyjęcia pewnych ustaw. Wielu speców znających na wskroś utajone działanie machiny politycznej w Stanach Zjednoczonych rozciąga ten termin również na zabiegi przedstawicieli „zorganizowanych interesów" — klanów gospodarczych i politycznych, które działają w ogniwach aparatu państwowego. Takie zdanie wyraża np. **L. W. Milbrath** w swojej książce **„The Washington Lobbyists"** a podobną opinię można znaleźć w pracy M.E. Dillona opatrzonej wymownym tytułem **„Grupy nacisku".**

W 1965 r. senator ze stanu Kentucky — republikanin **T.R. Morton** stwierdza:

„Wydaje mi się, że prezydent Johnson dał się całkowicie opanować propagandzie tych przemożnych kół już w roku 1961, gdy jako wiceprezydent udał się do Sajgonu w misji rozpoznawczej".

Jaką propagandę, nacisk jakich kół miał na myśli senator Morton, gdy wypowiadał przytoczone przed chwilą zdanie?

Nici wiodą więc za kulisy, a tylko pewien zbieg okoliczności (czy przypadkowy? Znajdujemy się przecież w obliczu wyborów prezydenckich w USA) sprawił, że na wierzch wyszło to, co w istocie od dawna było tajemnicą poliszynela. Afera Locheeda była bowiem przysłowiowym kamyczkiem, który wywołał olbrzymią lawinę, o zasięgu chyba nawet nie przewidywanym przez senatora Churcha, notabene—demokratę, a więc w pewnym sensie adwersarza obecnej, republikańskiej ekipy rządzącej. Sypią się więc jak z rogu, wiadomości, świadczące że nie tylko Locheed stosował swoiste praktyki pozyskiwania klienteli i opanowywania zagranicznych rynków. Tak — Locheed Aircraft Co nie był samotny, bowiem choćby taki drugi z lotniczych potentatów — Northrop Corporation wydał w ciągu trzech lat niebagatelną kwotę 30 milionów dolarów na — jak się to eufemistycznie określa — pozyskanie odbiorców samolotów wojskowych, m. in. w Arabii Saudyjskiej. To samo można powiedzieć o „Mc Donnel Dauglas Co", kiedy zamierzał zdobyć zamówienia w Turcji i Hiszpanii, producent rozmaitych rodzajów broni — **Martin Marietta Co** urządzał dla swoich ewentualnych klientów luksusowe przyjęcia, polowania, dyskretne spotkania w luksusowych a odosobnionych hotelach, przy czym ozdobą tych ekskluzywnych party w doborowym gronie były — jak o tym pisze „New Jork Times" — gwiazdy i gwiazdeczki co bardziej rozebranej sztuki. Tygodnik zachodnioniemiecki **„Der Spiegel"** nie zawahał się nawet opublikować zdjęcia **Jayne Mansfield,** która za swoją obecność na takich spotkaniach z jednym z zachodnioniemieckich polityków pobrała od „Locheeda" okrągłą sumkę 100.000 dolarów.

Afera zatacza coraz szersze kręgi. Na listę tych, którzy płacili widząc w tym swój interes wpisały się także **„Ashland Oil"** penetrujący Gabon, dążąc do uzyskania zezwolenia na wiercenia nafciarskie i rafinację ropy, okazuje się, że i **United Brands Co** dawał łapówki — około 1 milion dolarów — przedstawicielom wpływowych kół Hondurasu, a koncern **Gulf Oil** przelał na konto byłego skarbnika rządzącej w Korei Południowej Partii Demokratyczno-Republikańskiej — **Kim Sung Kona** kwotę co najmniej 4 milionów dolarów.

I tak dalej, i tak dalej.

Oderwijmy się od sensacyjnego wątku całej tej sprawy, jako że ma ona daleko poważniejsze znaczenie, aniżeli jej strona kryminalna. Czy jest przypadkiem, że sam Henry Kissinger uznał za stosowne opatrzyć wieści nadchodzące w toku dochodzeń taką uwagą:

„— Uważajcie, by nie narazić na szwank interesów naszej polityki!"

Komentator moskiewskiego dziennika **„Prawda" — G. Skorow** zauważył przy tej okazji"

„Liczni obserwatorzy twierdzą, że ślepa Temida chyba nie wyrządzi krzywdy „możnym tego świata" zamieszanym w aferę łapówkową. Zdumiewa niewzruszoność, z jaką prezes Lockheed potwierdził fakty przekazania wpłat prowizyjnych w celu „stworzenia sprzyjającego klimatu dla zbytu produkcji". Po prostu „zwykły biznes". Czy warto więc robić tyle hałasu o kilkadziesiąt milionów dolarów? A przecież to tylko mała cząstka ogromnej góry lodowej korupcji, którą zarażona jest działalność kapitału monopolitycznego".

I o tym warto jest jeszcze nieco pomówić.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Foto: Archiwum

CI, którzy dawali i brali:

Wiceszef Locheeda — C. Kotchian (w środku)

Lobbysta koncernu — Hauser

Książę holenderski Bernhard

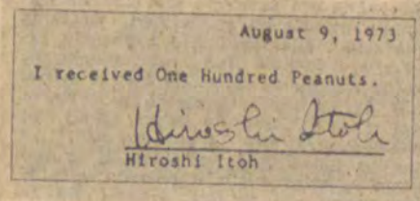

Pokwitowanie: „Odebrałem 100 orzeszków".

Japończyk Yoshio Kodama

F. J. Strauss (jako minister obrony RFN) za sterami samolotu Locheeda

Nie tylko historia

MONOGRAFIA REGIONALNA

Monografia Jana Naumiuka „Klasowy ruch zawodowy metalowców w Zagłębiu Staropolskim w latach 1918—1939" (Wydawnictwo Łódzkie 1975) jest solidną pracą historyczną, opartą o poważną bazę źródłową, podejmującą ważką tematykę nie tylko dla dziejów omawianego w niej regionu, lecz również całego kraju. Nie należę do tych, którzy byliby skłonni nie doceniać znaczenia tego rodzaju monograficznych studiów regionalnych. Więcej, jestem zdania, że przerosty „centralnego" widzenia problemów społeczno-ekonomicznych, z jakimi spotykamy się nieraz we współczesnym naszym dziejopisarstwie, wiodą do utrwalania się w nauce twierdzeń upraszczających, zasadnych dla wąskiego tylko obszaru, ale nieraz uważanych za ogólne prawidłowości, mające rzekomo obowiązywać wszędzie. Tylko poważne badania regionalne pozwalają bowiem na uchwycenie zróżnicowania ogólnych procesów, co jest przecież warunkiem adekwatnego poznania przeszłości, pod warunkiem jednak, że badawczy horyzont nie zostanie zacieśniony wyłącznie do danego, nawet najważniejszego regionu. A więc: badania regionalne mają kolosalną przyszłość, pod warunkiem jednak, że kwestionariusz pytań, formułowany przez historyka, będzie wypływał z ogólniejszego, całościowego widzenia zjawisk.

Czy Jan Naumiuk zrealizował w swej pracy podobne postulaty? Włożył on wiele badawczego wysiłku, aby nie ograniczyć horyzontu problemowego swej pracy jedynie do zagadnień, odnoszących się do przeszłości Zagłębia Staropolskiego. Zmierzał do możliwie szerokiego, tak jak na to mu pozwalał zachowany materiał źródłowy, podejścia do interesującej go problematyki. Skoncentrował swoją uwagę na czterech grupach zagadnień:

1. na zagadnieniu powstania zawodowego ruchu metalowców;

2. omówieniu sytuacji gospodarczej, społecznej i politycznej, w jakiej „ruch ten odrodził się i działał w okresie międzywojennym";

3. przedstawieniu oddziaływania koniunktury w przemyśle metalowym na sytuację robotników, ich walkę oraz działalność ruchu zawodowego;

4. omówieniu przebiegu „walk metalowców przeciwko wyzyskowi społecznemu" zbadaniu ich rezultatów oraz roli, jaką „spełnił w nich klasowy ruch zawodowy".

Nie jest to ubogi spis zagadnień. Historyk potrafił nasycić swoje rozważania historycznym konkretem: wydobył ze źródeł archiwalnych mnóstwo szczegółowych informacji, niejednokrotnie niezmiernie barwnych, świetnie charakteryzujących realia konfliktów społecznych w międzywojennej Polsce, nie sztukował nieuniknionych luk materiału informacyjnego, jakże często spotykaną w pracach historycznych ogólnikową papką...

A przecież ta wartościowa — podkreślam, by nie było nieporozumień: wartościowa, cenna dla poznania przeszłości książka — pozostawia mi pewne wrażenie niedosytu. Dlaczego? Nie z powodu takich czy innych luk informacyjnych: autor uczynił rzeczywiście bardzo wiele, aby było ich jak najmniej, zaś stan źródeł w odniesieniu do interesującej go problematyki jest tego rodzaju, że zawsze jakieś luki pozostaną. Z innego powodu, mianowicie z powodu przerostu opisu nad analizą. Odnosi się to w szczególności do przedstawienia dziejów walki klasowej, kolejnych konfliktów społecznych i ekonomicznych, pracowicie zrekonstruowanych przez historyka z ułomków zachowanego materiału, z fragmentów źródeł. Historyk jak gdyby poprzestał na rekonstrukcji przebiegu zdarzeń, gdy było to tak trudne. A przecież, czy nie byłoby z pożytkiem dla całości pracy, aby pokusił się bodaj o typologię zróżnicowanych — wynika to z jego własnych badań — form walki, w ich historycznym zróżnicowaniu, aby postawił sobie pytanie czy i o ile — a na pytanie to można znaleźć odpowiedź w omówionym w książce materiale — doskonaliły się, rozwijały, zmieniały formy walki klasowej, w związku z czym, oraz jakie miało to znaczenie, nie tylko zresztą dla ówczesnej, międzywojennej teraźniejszości. W procesach i konfliktach społecznych następował bowiem rozwój, dokonujący się nie bez udziału świadomości, kształtowanie się nowych, doskonalszych form walki; zmieniała się zresztą i druga strona: fabrykanci, dyrektorzy fabryk, uciekający się do coraz bardziej wyrafinowanych form zmuszania klasy robotniczej do posłuchu. Dialektyka walki klasowej — oto wielki historyczny problem, wymagający od badacza nowoczesnego, historyczno-socjologicznego podejścia. I właśnie pod tym względem książka Jana Naumiuka, która tak wiele wniosła do naszej wiedzy o problemach klasowego ruchu zawodowego w okresie międzywojennym, sprawia nam zawód.

Nie tylko jego zresztą: powszechną praktyką wielu badaczy jest u nas, że skupiają swą uwagę przede wszystkim na gospodarczych uwarunkowaniach rzeczywistości społecznej, zapominając, że jest to tylko jedna strona medalu, a dyrektywa dialektycznego widzenia dziejów wymaga, by nie zapoznawać drugiej. Łatwo też znaleźć w dziejach walk klasowych proletariatu przykłady, że świadomość społeczna, klasowa świadomość proletariatu bywa niejednokrotnie aktywną sferą procesu historycznego, czynnikiem dynamizującym przemiany rzeczywistości. A wykuwa się ona i realizuje w skomplikowanych i zmiennych procesach walki klasowej.

LEKTOR

HIPOTEZY (III)

STATEK KOSMICZNY

Opisany w Biblii statek kosmiczny składał się z trzech zasadniczych części: głównego korpusu statku, czterech helikopterów stanowiących jednocześnie podpory korpusu statku oraz kabiny dla załogi umieszczonej na korpusie.

Kształt korpusu bardziej przypomina bąka — zabawkę dziecinną. O wyborze takiego kształtu zadecydowały — jak twierdzi **J. F. Blumrich** w książce **„The spacessips of Ezekiel"** — właściwości aerodynamiczne. Lot z przestrzeni kosmicznej przez atmosferę, do powierzchni ziemi rozpoczyna się z prędkością około 34.000 km na godzinę. Przy lądowaniu ta ogromna szybkość musi być zredukowana do zera. Można to osiągnąć przez wykorzystanie sił aerodynamicznych, o ile poruszające się ciało stawia wysoki opór. Stożkowata, dolna część korpusu idealnie się do tego nadaje, a jej działanie podczas lądowania przypomina działanie otwartego parasola. Przy wznoszeniu się, statek kosmiczny tego kształtu stawia jak najmniejszy opór aerodynamiczny. Tego typu statki doskonale nadają się do lotów na planety posiadające atmosferę. Do takiego wniosku doszedł też A. Anderson jeszcze w 1964 roku.

Do lotów w atmosferze pojazd kosmiczny wymaga użycia czterech helikopterów. Stożkowy kształt części dolnej statku nadaje się do tego doskonale, bo umożliwia ustawienie helikopterów w maksymalnym od siebie oddaleniu. Umożliwia także składanie skrzydeł wirnika do góry i chowanie ich w łuku stożka części dolnej korpusu statku.

W korpusie statku kosmicznego — jaki na podstawie biblijnego proroctwa Ezechyjela zrekonstruował J. F. Blumrich — znajdował się silnik rakietowy, składający się z reaktora, dyszy i chłodnicy. Umieszczone tam były zbiornik z paliwem, silniki helikopterów oraz system kontroli działania wszystkich zespołów. Reaktor umieszczony był w najniższej części korpusu. Dziś niestety — twierdzi J.F. Blumrich — nie jesteśmy jeszcze w stanie zbudować takiego reaktora i tak go umiejscowić.

Dlatego jest to niemożliwe, że używane obecnie silniki wymagają czystego tlenu lub utleniacza dla zmieszania z paliwem, aby móc uzyskać wysokie temperatury spalania. Używane silniki dają siłę ciągu czyli tzw. I_{ps} (ilość funtów ciągu wytwarzanych przez silnik z każdego funta paliwa w czasie jednej sekundy) rzędu ponad 400 sekund. Statek kosmiczny widziany przez Ezechyjela miał wartość I_{ps} 2000 i więcej sekund. Takich silników i takiego paliwa jeszcze nie posiadamy. A gdyby nawet ich zbudowanie było możliwe, to wymagałyby ogromnych ilości paliwa.

Dolna część statku wystawiona jest na działanie wysokich temperatur w czasie pracy reaktora i dyszy silnika. Tak samo w części hamowanie statku kosmicznego w atmosferze. J. F. Blumrich twierdzi, że zbudowana ona musiała być z materiałów, które wytrzymywały temperaturę rzędu 1300°C.

Zbiornik z paliwem umieszczony był w bezpośredniej bliskości reaktora. Musiała je rozdzielać tarcza przeciwpromienna. Chroniła ona też załogę przed promieniowaniem z reaktora. Musiała ona mieć stosunkowo niewielkie rozmiary i ciężar.

Helikoptery i silnik rakietowy nigdy nie pracują jednocześnie i może je napędzać reaktor. J. F. Blumrich przypuszcza, że energię termiczną reaktora przekształcano w energię elektryczną i ta napędzała silniki poruszające wirniki helikopterów. Uważa on też, że w konstrukcji wirników helikoptera nie było nic takiego, co znajdowałoby się poza zasięgiem naszych obecnych możliwości. Helikoptery, połączne z obrzeżem korpusu przy pomocy konstrukcji w kształcie kolumny, były jednocześnie naturalnymi podporami statku po jego wylądowaniu na ziemi. Statek stykał się z powierzchnią ziemi przez wyposażone w amortyzatory „nogi" oraz koła. Nogi i koła umieszczone były w dolnej części konstrukcji o kształcie cylindrycznym. W górnej jej części były skrzydła helikopterów, a sama konstrukcja posiadała jeszcze pojemniki na paliwo dla odrzutowych silników korygujących lot statku. U boku cylindra zwisało zdalnie kierowane mechaniczne ramię, przy pomocy którego można dokonywać manipulacji na samym statku lub na obiektach na ziemi.

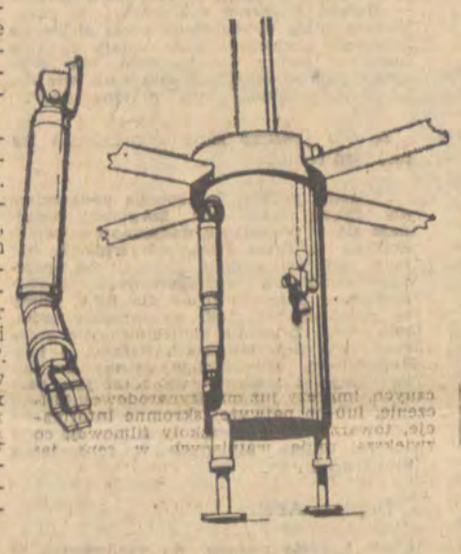

Co to za dziwne koła widział Ezechyjel? Koła te mogły poruszać się w dowolnym kierunku, niezależnie od pozycji pojazdu. J. F. Blumrich twierdzi, że taki skomplikowany ruch można osiągnąć w sposób całkiem prosty. Wyobraźmy sobie napompowaną dętkę samochodową. Może się ona toczyć tylko w kierunku prostopadłym do osi. Jeżeli „dętkę" podzielimy na kilka beczkowatych segmentów, które połączymy z osią koła szprychami oraz wzajemnie osią w kształcie obwodu koła, to tak skonstruowane koło będzie mogło poruszać się w dowolnym kierunku. J. F. Blumrich nie tylko skonstruował takie koło, ale uzyskał na nie patent wydany przez Urząd Patentowy USA.

Kabina dowodzenia umieszczona była w samym środku, na górnej części korpusu. Jej część cylindryczna o średnicy około dwu metrów zakończona była u góry wypukłym dachem. Cała kabina wykonana była z podobnego do szkła przezroczystego materiału syntetycznego. Mogła ona oddzielać się od statku i odbywać krótkie samodzielne loty. Mogła być kierowana ręcznie, bezpośrednio z wewnątrz, jak też i zdalnie, z zewnątrz. Posiadała tylko minimum koniecznego wyposażenia. Wszystkie mechanizmy ukryte były w korpusie statku. Wnętrze kabiny doskonale było widoczne z zewnątrz.

Wielki pojazd kosmiczny krąży wokół Ziemi z szybkością prawie 34.000 km na godzinę. To, co widział Ezechyjel, było mniejszym pojazdem, który oddzielał się od statku międzyplanetarnego i służył do lądowania.

Dlaczego pojazd kosmiczny widział właśnie Ezechyjel?

Z Palestyny prowadzą najkrótsze trasy do krańców Afryki, Azji i Europy bez konieczności lotu ponad morzem. Podobne położenie ma na półkuli zachodniej przesmyk między Ameryką Północną a Południową. Można sądzić, że Kosmici prowadzili badania na skalę globalną. Lądowali prawdopodobnie w wielu punktach naszej planety i w wielu miejscach mogli mieć swoje placówki badawcze.

Prorok wspominał:

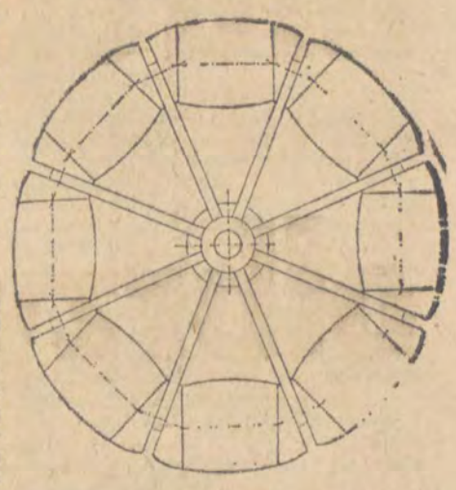

„I widziałem, a oto wiatr gwałtowny przychodził od północy..."

Orbita polarna (od bieguna do bieguna) jest szczególnie wygodna do przeprowadzania obserwacji całej planety, gdyż jej obrót wokół osi pozwala za każdym razem oglądać inną jej część. Z tego samego powodu z orbity polarnej możliwe jest lądowanie w dowolnym punkcie globu.

Z analizy dokonanej przez J. F. Blumricha wynika, że technika reprezentowana przez Kosmitów spotkanych przez Ezechyjela była na stosunkowo niskim poziomie. Przy wyższym poziomie techniki statki kosmiczne będą — twierdzi J. F. Blumrich — dużo mniejsze, bardziej płaskie i nie będą miały helikopterów. Dolna część korpusu statku nie będzie wklęsła lecz będzie mieć kształt stożka, czyli — choć J. F. Blumrich nie stawia kropki nad „i" — kształt statku kosmicznego wysoko rozwiniętych cywilizacji będzie podobny do sylwetki latającego talerza!

Oprac.
BOGDAN KRAKOWIAN

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (XX)

ANDRZEJ BLAJER

Operacja – „Wschód Słońca"

Na przełomie 1944 i 1945 roku walki na wszystkich frontach Europy wkroczyły w decydującą fazę. Miniony 1944 r. oznaczał ostateczną klęskę hitlerowskich Niemiec w bitwie o „Festung Europa" będąc zarazem początkiem walk o „twierdzę Niemcy". Oto bowiem jeszcze w połowie września tegoż roku jednostki 1 armii amerykańskiej przekroczyły granicę III Rzeszy pod Akwizgranem, zaś na froncie wschodnim w niespełna miesiąc później wojska radzieckie, wyzwoliwszy już większość terenów Europy wschodniej i południowowschodniej, które znalazły się pod okupacją niemiecką, wdarły się do kilku granicznych miejscowości Prus. Wschodnich zapoczątkowując tym samym walki na terytorium Niemiec. Na początku 1945 r. „tysiącletnia Rzesza" znalazła się w obliczu klęski totalnej. Budowany przez pięć lat gmach „nowego porządku" w Europie rozpadał się, jak domek z kart. Granice wielkiego imperium kurczyły się z dnia na dzień. Jeszcze przed trzema laty sięgały one od Atlantyku po Wołgę, od Przylądka Północnego po piaski Sahary, tymczasem w przededniu operacji berlińskiej terytorium Trzeciej Rzeszy stanowiło właściwie wąski obszar o szerokości ok. 200 km biegnący z północy na południe. Toteż nikt nawet z bliskiego otoczenia führera nie miał złudzeń, co do ostatecznej klęski Niemiec. Cud, którego nadejścia wszyscy oczekiwali, nie nastąpił. Nie spełniły też nadziei „Wunderwaffen". Nic już nie było w stanie odwrócić losów wojny i ostatecznego upadku hitlerowskiej III Rzeszy.

A jednak przywódcy nazistowscy zdając sobie sprawę z katastrofalnej sytuacji, w obliczu której znalazło się kierowane przez nich państwo, mieli jeszcze nadzieję, iż może uda im się doprowadzić do rozłamu w łonie koalicji antyhitlerowskiej. Chodziło przede wszystkim o to, aby zastraszyć zachodnich aliantów groźbą komunizmu, który z chwilą upadku reżimu hitlerowskiego miał według nich niepodzielnie zapanować w Niemczech oraz w całej Europie Wschodniej i Południowej. Praktyczna realizacja tego zamierzenia miała polegać na zaniechaniu oporu na zachodzie, zaś przeciąganiu do maksymalnych granic wojny na froncie wschodnim. Koncepcje takie, które wyłoniły się jeszcze w pierwszej połowie 1944 roku, zostały odsunięte w cień po nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca tegoż roku. Znalazły się jednak znów w centrum uwagi wielu czołowych osobistości politycznych i wojskowych Rzeszy na początku 1945 r., kiedy to szereg nowych niepowodzeń militarnych na frontach stał się niejako dodatkowym bodźcem dla podjęcia przez nich próby „ratowania" Niemiec i Zachodu przed „czerwonym niebezpieczeństwem". Ową deską ratunku miało być zawarcie separatystycznego pokoju z mocarstwami zachodnimi tj. Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią. W odróżnieniu jednak od sytuacji z połowy 1944 roku, tym razem inicjatywa w tej dziedzinie nie należała do przedstawicieli „góry" Wehrmachtu i cywilnej opozycji, a do przedstawiciela SS z bliskiego otoczenia Heinricha Himmlera, SS-Obergruppenführera Karla Wolffa.

Wolff pełnił w owym czasie funkcję Wyższego Dowódcy SS i Policji we Włoszech będąc zarazem szefem zarządu wojskowego w tym kraju. Był więc ważną figurą tym bardziej, iż wiedziano, że cieszy się szczególnymi względami i zaufaniem Reichsführera SS. Nic dziwnego, zanim bowiem został namiestnikiem Rzeszy we Włoszech był szefem osobistego sztabu Himmlera, miał więc dostęp do wielu najskrytszych tajemnic hitlerowskich Niemiec. Misja, jaką powierzono mu na początku 1945 r., a której celem miało być wysondowanie stanowiska Amerykanów i Anglików odnośnie zaprzestania przez Niemcy działań wojennych na froncie zachodnim w zamian za nienaleganie na ich przerwanie także na wschodzie, nie była dla Wolffa zadaniem nowym. Od 1943 r. pełnił rolę łącznika między Himmlerem, a niektórymi reprezentantami opozycji, paktującej z zachodnimi aliantami co do możliwości zawarcia separatystycznego (bez udziału przedstawicieli ZSRR) układu pokojowego. Otrzymawszy więc wyraźne polecenie z Berlina zainicjowania pertraktacji na ten temat, natychmiast przystąpił do działania. Należało przede wszystkim możliwie szybko nawiązać kontakt z przedstawicielem mocarstw zachodnich, który by posiadał odpowiednie pełnomocnictwa swego rządu. Wolff wiedział doskonale, kto mógłby nim być. Oczywiście Allen Dulles — szef amerykańskiego poselstwa w Szwajcarii. Zausznik Reichsführera SS orientował się bowiem, że dyplomatyczna funkcja Dullesa, to tylko parawan zupełnie innej działalności. Od swoich agentów w Bernie Wolff wiedział również, że Amerykanin jest wysłannikiem centrali wywiadu Stanów Zjednoczonych w Europie, a może nawet samego Roosevelta. Wykorzystując zatem swoją pozycję SS-Obergruppenführer zakomunikował papieżowi Piusowi XII stanowisko, jakie zajmują w kwestii rozejmowych rokowań niektórzy z przywódców Rzeszy, kładąc szczególny nacisk na ukazanie niebezpieczeństwa, jakie wiąże się z rozwojem potęgi sił lewicy, w miarę przedłużania się działań wojennych. Karl Wolff sprytnie zarzucał wędkę, był pewien, że na taką przynętę „rybka musi się złapać". Przecież po tamtej stronie również z rosnącym niepokojem obserwowano sytuację we włoskim ruchu oporu nie kryjąc obaw przed ewentualnością skomunizowania Włoch. Jednocześnie Anglicy mieli jeszcze nadzieję, że uda im się wreszcie wkroczyć na Bałkany i zmienić tam niekorzystny dla siebie układ sił. Grunt był więc podatny i wszystko wskazywało na to, że inicjatywa Wolffa nie powinna trafić w próżnię. Rzeczywiście, jeszcze w styczniu 1945 r. SS-Obergruppenführera Wolff nawiązał za pośrednictwem wielkiego przemysłowca włoskiego, szambelana papieskiego, barona Luigi Parilli, kontakt z szefem wywiadu amerykańskiego na Europę — Allenem Dullesem. Jak się okazało, już po wojnie wszystkie kroki podjęto za wiedzą Hitlera, Himmlera i szefa RSHA Kaltenbrunnera. W owych tajnych rokowaniach brali zaś udział również Szwajcarzy, z których jeden, wielokrotnie wspomniany major Max Waibel, szef centrali wywiadu „NS1" w Lucernie oraz tzw. „Linli Viking" — opisał je m. in. w zbiorowym dziele pod redakcją H. R. Kurza „Die Schweiz im Zweiten Weltkrieg". (Notabene obszerną relację o tych pertraktacjach zawiera książka Dullesa i Gaevernitza: „Unternehmen Sunrise" oraz praca Jona Kimche: „General Guisans Zweifrontenkrieg").

Natychmiast po spotkaniu z Wolffem baron Parilli wszczął starania o wyjazd do Szwajcarii. Miał tam się spotkać z doktorem Maxem Husmannem, który mieszkał w Zurychu. Dr Husmann był jego długoletnim przyjacielem i Parilli liczył na to, że pomoże mu w nawiązaniu kontaktu z Amerykanami. Nie przewidywał zresztą większych trudności, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że również aliantom zależy, aby możliwie szybko i najmniejszym kosztem zakończyć tę wojnę. Wbrew oczekiwaniom trudności jednak wystąpiły i to tam, gdzie baron Parilli zupełnie się ich nie spodziewał. Otóż okazało się bowiem, że sprawa otrzymania szwajcarskiej wizy wjazdowej nie jest bynajmniej sprawą prostą. W tym okresie bowiem znów, tym razem już po raz ostatni nad Szwajcarią zawisła groźba niemieckiej inwazji. Wprawdzie nie wydawała się ona tak dalece niebezpieczna jak w 1940 czy 1943 r., niemniej władze wojskowe postanowiły wzmóc czujność, gdyż groźba była całkiem realna. Na początku 1945 r. pojawił się bowiem w planach różnych niemieckich instancji termin „alpejskiej reduty", mającej być ostatnim schronieniem hitlerowców. Zgodnie z założeniami tych projektów Niemcy chcieli uczynić ze Szwajcarii „sanktuarium", w którym mieli zamiar oczekiwać na nieuchronne według nich starcie między wschodnimi i zachodnimi aliantami. Tak na przykład w myśl koncepcji planu opracowanego przez sztab Reichsführera SS „reduta" miała się rozciągać od Schwarzwaldu przez Alpy Bawarskie i rejon Brenneru do Dolomitów. Z analogiczną propozycją wystąpił także gauleiter Tyrolu, Hofer, zamierzając ufortyfikować „Gau Tirol". Również sztabowcy Kesselringa rozważali możliwość włączenia Szwajcarii do systemu obronnego, widząc w łańcuchu Alp niezdobytą zaporę chroniącą terytorium Rzeszy od południa. Jednak sytuacja na frontach spowodowała, że na realizację tych zamierzeń zabrakło Niemcom zarówno sił jak i czasu.

Toteż baron Parilli musiał się poważnie uzbroić w cierpliwość zanim wreszcie otrzymał zezwolenie na przyjazd do Szwajcarii. Przedtem jednak jego przyjaciel dr Husmann musiał zapłacić kaucję w wysokości 10.000 franków szwajcarskich.

Luigi Parilli pokładał wielką nadzieję w spotkaniu z przedstawicielami wywiadu amerykańskiego w Szwajcarii. W je-

PLASTYKA

GDZIE BYŁ RAJ?

Zupełnie przypadkowo zapisałem się do Grupy KONKRET i dlatego dziś być może jestem bardzo konkretnym facetem, z mocną głową, choć do grupy już nie należę. Pamięć o grupie zachowałem życzliwą i bezinteresowną.

Ci pełni uroczej wesołości artyści grupy: flegmatyczni (Andrzej Nawrot), nerwowi (Zbigniew Kosiński), małomówni (Henryk Strumiłło), inteligentni i nieco ociężali oraz nieuprzejmi (Romana Hałat, Aleksander Hałat, Ryszard Hunger, Andrzej Jocz) dla ignorantów, przysparzali krytyce łódzkiej sporo dobrego samopoczucia. Dyskutowało się na łamach prasy, wśród hippiesów, w Muzeum Sztuki — „jacy jesteśmy", jednakowo pożyteczni dla Łodzi? my artyści o otwartej wyobraźni, otwartej wrażliwości.

Potem członkowie Grupy stwierdzili: „autorstwo jest najważniejsze". Każdy ma jedno życie, na które jakoś zarabia, ma swoje plany, historycznie ugruntowane animozje. Ze straszliwego obciążenia wyrwała członków grupy ucieczka poza granice Grupy.

Słowa Zbigniewa Kosińskiego w artykule „Odbiorcy", wypowiedziane z okazji wystawy GRUPY KONKRET (1970), brzmią odmiennie przy okazji indywidualnej wystawy Andrzeja Nawrota, lecz identyfikują ulotne chwile życia, jego paradoksy, absurdalność: „tęsknota nieobecności zaspokojona obecnością". Mimo wszystko twierdzą, że twórczość najbardziej bezbronna bezpośrednio przypomina właśnie krótko i po męsku wypowiedziane „nie", uczy wojować z tym diabłem w nas samych, który roztrwania naszą energię życiową i kusi do konceptualizmu.

Na fali dyskusji nad sztuką łódzką i narodową pojawiły się głosy o odrębności i oryginalności naszej łódzkiej uczelni artystycznej. To były głosy ludzi młodych, zespołu pedagogów PWSSP. Poglądy swe zaprezentowali jako zwolennicy totalnej działalności społecznej w Grupie Konkret. Dawni studenci tejże szkoły posiadali wspaniałe przekonanie o tradycji swoistej i „pierwotnej", nie obnażonej przez żadne obce wpływy — kontynuującej twórczo dzieło mistrza Władysława Strzemińskiego. Zapoczątkowali w Łodzi ruch intelektualny zwany „otwarty", niezależnie od błędów i wypaczeń był on poważnym prądem kulturotwórczym a jego fenomen polega między innymi na tym, że odtąd w Łodzi, w II połowie XX wieku życie artystyczne staropolsko zatliło. Intryga Grupy Konkret wewnątrz środowiska, niemal nieuchwytną w gradacji akcją, owego „dziania się" na wystawie (autorskiej premierowej 1970) — bardzo wcześnie w Łodzi, sterowała ku — nazwijmy jak chcemy — „upiększaniu życia ludzi" i nadawaniu temu życiu oblicza i barwy.

Przyspieszenie cywilizacyjne, narastający kryzys sztuki konceptualnej ulepia nową sytuację dla Andrzeja Nawrota, dogodniejszą do uprawiania twórczości najświeższej, zwanej artystyczną, choć zgoła nie obrazoburczą. Nie pozbawiony refleksji humanistycznej, gromadzi doświadczenie grafiki artystycznej, programowo odrealnia naturę i znowu wraca do niej. Zapobiegliwie szuka związku między technikami szlachetnymi grafiki a sztuką poligrafii. Wokół eksperymentu technologicznego — metody twórczej — narasta treść. Jest to poziom wyjściowy, być może przyziemny — niemniej jednak A. Nawrot sięgnął do prblemów fundamentalnych, by kreować myśl, ciągle przekraczać granicę tworzenia i technologiczną. Powstają grafiki — serie. „Formy Kontynuowane" nacelowane są na bardzo aktualny temat z zakresu ochrony człowieka i jego środowiska.

Ciężar (gatunkowy) intelektualnego zaangażowania spowodował u artysty grafika Andrzeja Nawrota wybór takiego programu, w którym bezpośrednie przeżywanie życia, to co ludzkie, a jeszcze mu nie znane znalazło się w centrum. Ziemia, trawa, ruiny, woda, piasek, otoczenie człowieka — natura są treścią akcji. „Niesamowitość a zarazem „gwałtowność" są zamierzone. Andrzej Nawrot zawarł w swoich grafikach ideę niezniszczalnego piękna i siły materii. Techniką druku (kolorem) łagodzi kontrast między jakościami estetycznymi a jakościami naturalnego otoczenia człowieka. Wartości konstytuują się w doborze plastycznych jakości i stanowią pełnię ostatecznego efektu artystycznego. I dopiero na podłożu owych — i w różnorodnych doborach pojawiających się jakości estetycznie wartościujących („Forma Kontynuowana") — buduje pewne, wielobarwne „witraże graficzne", serie kontynuowane. Prześwietlone słońcem, ogromnie efemeryczne zjawiska, które wywołują feeryczny obraz otaczający człowieka, tajemniczy kosmos.

ANTONI SZRAM

KULTURA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

BEZ FAŁSZYWEJ SKROMNOŚCI

W tygodniku telewizyjno-filmowym „Ekran" toczy się dyskusja na temat przyszłości polskiego filmu ze szczególnym uwzględnieniem warunków materialno-technicznych. Jest jasne, że naszą produkcję filmową trzeba potroić, a tego nie da się zrobić bez rozbudowy bazy. Stąd właśnie słuszny postulat wybudowania w stolicy nowej wytwórni filmowej. Jaka powinna być ta nowa wytwórnia? Na to pytanie starają się odpowiedzieć uczestnicy dyskusji.

Nie bez zdziwienia przeczytałem ostatnio wypowiedź znanego reżysera **Kazimierza Kutza**, który pisze jaka ta wytwórnia nie powinna być. Nie może w żadnym razie przypominać wytwórni łódzkiej.

„W organiźmie kinematografii — pisze Kutz — wytwórnie są ogniwem najsłabszym. Wzięło się to stąd, że na skutek archaicznej, niesłużebnej struktury, wytwórnie w swoich tendencjach rozwinęły się w najgorszym kierunku, tzn., wbrew samej produkcji filmowej. Stały się one — a przykład naszej najpoważniejszej, łódzkiej wytwórni jest jaskrawy — samoistnymi księstwami, które zapomniały, że powstały i istnieją po to, aby obsługiwać film i jemu służyć. Można powiedzieć, że jeszcze niedługo, a wytwórnie, zwłaszcza ta łódzka, mogą się obyć bez produkcji filmów".

Tak więc na ulicy Łąkowej zainstalowało się grzeszne księstwo, które hamuje rozwój naszego filmu. Książę udzielny i jego dwór zlikwidowali wydział inscenizacyjny, pozbyli się beztrosko działu budowy dekoracji. Dochodzi nawet do tego, że kiedy realizatorzy filmu budują dekoracje, to kierownik produkcji musi biegać po całym mieście i wynajmować sobie wykonawców. Wytwórnia nie posiada ani jednego magazynu na rekwizyty, nie gromadzi cennych kostiumów, broni, czy mebli, co znakomity reżyser z oburzeniem nazywa rzadko spotykanym marnotrastwem i ogromną inercją organizacyjną. Poznikały gdzieś sztukatornie i makieciarnie, wytwórnia nie potrafi odtworzyć światów, koniecznych przy realizacji filmów, a więc nie wypełnia swoich podstawowych funkcji.

Jednostronna i niesprawiedliwa wypowiedź **Kazimierza Kutza** jest mocno na bakier z prawdą. Nie trzeba być specjalistą, wystarczy mieć oczy, aby zauważyć magazyny wytwórni (być może za szczupłe), dobrze wyposażone pracownie dekoratorów i sztukatorów, a także i inne. O cóż więc chodzi? Kutz wyraźnie sugeruje, że nowa wytwórnia w stolicy to jeszcze za mało, przydałaby się jeszcze jedna w jego ulubionych stronach. Na pewno by się przydała, co do tego trudno mieć wątpliwości. Film polski musi się szybko rozwijać i powinien poszerzać swoją bazę techniczną, rozwijać centra filmowe zgodnie z realnymi możliwościami. Ale nic się tu dziać nie powinno ze szkodą dla wymiernego przecież i oczywistego dorobku Łodzi, który także trzeba rozwijać a nie odsądzać od czci i honoru.

W prasie łódzkiej nie znalazłem jeszcze odpowiedzi na głos **Kazimierza Kutza**, co zdaje się świadczyć, że trochę nie doceniamy wagi i osiągnięć łódzkiego ośrodka filmowego. Korzystny wyjątek stanowi **„Głos Robotniczy"**, współtwórca dorocznych przeglądów filmów społeczno-politycznych, imprezy już międzynarodowej. Milczenie, lub co najwyżej skromne informacje, towarzyszą pracy szkoły filmowej, co zwiększa racje wątpiących w sens jej istnienia, szeroka opinia społeczna, która wiele może pomóc, mało jest zaangażowana w sprawy łódzkiego ośrodka filmowego. Albo lepiej będzie może powiedzieć — za mało i to w sytuacji, kiedy film polski będzie się szybko rozwijał.

Wydaje mi się, co więcej, że nie zawsze dobrze widzimy i oceniamy nasz stan posiadania w dziedzinie kultury. Z zainteresowaniem obejrzałem w jednym z ostatnich numerów „Odgłosów" reportaż fotograficzny **Janusza Mendychowskiego**, poświęcony dyrektorowi Filharmonii Łódzkiej **Henrykowi Czyżowi** i jego pracy. Podobał mi się ten reportaż — zdjęcia dynamiczne, dobrze oddają skupienie znakomitego dyrygenta. To dobrze, że pokazujemy twórczy wysiłek, który przynosi dobrą sławę Łodzi. Żal jednak, że tylko przy pomocy kilku fotogramów, bez jednego słowa. Jest w tym coś niepokojącego — oto nawet bardzo słabiutkie przedstawienie teatralne otrzymuje recenzję, wykąpaną starannie w ciepłej wodzie i odkażoną z ostrych sądów, a o ważnych wydarzeniach artystycznych w Filharmonii — głucho.

Proszę zwrócić uwagę na ów znamienny paradoks. Jeżeli chodzi o warunki pracy **Filharmonia Łódzka** może iść o najgorsze z każdą inną w kraju i wygra. Adaptowany, przerabiany, łatany budynej, wyjątkowo brzydki na zewnątrz, pozbawiony odpowiedniego zaplecza, nie ma chyba równego sobie. A jednak nasza Filharmonia może równocześnie iść o najlepsze z najlepszymi i utrzyma się w czołówce. Świetna orkiestra, bogaty repertuar, uwzględniający rozmaite potrzeby i gusty, ciekawy program upowszechnienia dobrej muzyki, długi rejestr sukcesów w kraju i za granicą, ostatnio we Włoszech. Aż dziw bierze, że tak poważny dorobek powstał w tak kiepskich warunkach.

Zatrzymajmy się przez chwilę przy bardzo ciekawym cyklu muzycznym, prowadzonym przez **Henryka Czyża** — „Nie taki diabeł straszny". Cykl liczy dziesięć odcinków telewizyjnych i z pewnością spełni niebagatelną rolę w popularyzowaniu dobrej muzyki. Zaprawiona swoistym humorem gawęda **Henryka Czyża**, zbliżająca trudne sprawy kompozycji do przeciętnego odbiorcy programu, każe mi mimowoli zwrócić uwagę i na to, że Dyrektor to nie tylko dużej klasy muzyk, dyrygent, ceniony w wielu ośrodkach muzycznych świata. To także pisarz. Jego książka — „Ucieczka spod klucza", dawno już wyczerpana, doczekała się angielskiego i niemieckiego przekładu. **Henryk Czyż** kończy drugą książkę — „Porcelanowy amorek", poświęconą niejako ochronie uczuć czystych i delikatnych, interesuje się także plastyką. Jest przede wszystkim szczerze przywiązany do Łodzi.

„Mam sentyment do tego miasta — powiedział ostatnio w wywiadzie, ale nie dla łódzkiej prasy — w ogóle lubię powroty do dawnych miejsc, lubię wspomnienia... Ale łódzkich wspomnień niewiele trzeba było eliminować, zawsze były dobre... Jestem przekonany, że mimo pewnych trudności za pięć lat będziemy mieli w Łodzi nowy gmach Filharmonii, wierzę, że władze miasta potrafią pokonać przeszkody".

Przed bardzo brzydkim frontonem **Filharmonii Łódzkiej** stoi często wóz transmisyjny telewizji. Nie bez powodu. Filharmonicy łódzcy nagrali trzy płyty: V symfonię Beethovena, II Szymanowskiego i arie z udziałem **Teresy Wojtaszek-Kubiak**, natomiast dla telewizji nagrywają wszystkie symfonie Brahmsa i wszystkie koncerty fortepianowe Beethovena. To duży sukces, o którym więcej należy mówić. Jak mówić — biadają zwłaszcza winowajcy — kiedy mamy w Łodzi na dobrą sprawę tylko jednego wiernego muzyce krytyka. Jednego na milionową aglomerację, w której działa Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna. Nie musi tak być do końca świata, jeżeli tylko pozbędziemy się pewnej jednostronności w ocenie zjawisk kulturalnych i baczniejszą skierujemy uwagę na dziedziny trudne być może, lecz godne zainteresowania.

FILM

„MAZEPA"

Gdy na ekranie pojawia się obraz z napisem: „Zespół „PRYZMAT" przedstawia tragedię Juliusza Słowackiego „Mazepa", widz zostaje poinformowany, z jakiego rodzaju zamierzeniem reżyserskim mieć będzie do czynienia. Ma to być film zrealizowany nie według dramatu „Mazepa" czy na jego motywach, lecz film dramat ten przedstawiający, czyli teatr zapisany i utrwalony kamerą. A więc określenie „teatr filmowy" zastosować można by tak, jak używa się określenia teatr telewizji. Za klasyfikacją tą kryje się przy tym świadomość środków inscenizacyjnych, którymi posłużyć się może reżyser teatru „żywego planu", teatru telewizyjnego czy właśnie filmowego.

Film „Mazepa" w reżyserii Gustawa Holoubka nie można porównywać z tego typu ekranizacjami sztuk teatralnych, jakich w swoim czasie podejmowało się kino. Były to filmowe zapisy teatralnych spektakli ograniczone ich konwencją i korzystające jedynie z pewnych wybranych środków wyrazowych filmu. Tu przypomnieć można na przykład radzieckie ekranizacje „Grzeszników bez winy" i adaptowanej dla potrzeb teatru „Anny Kareniny". Tu przypomnieć też trzeba doświadczenia telewizji z pierwszych lat jej działalności — wówczas również emitowano spektakle, ustawiając telewizyjne kamery w sali teatralnej. Dziś z jednej i drugiej formy ekranizacji zrezygnowano, a w doświadczeniach i poszukiwaniach sztuki filmowej najwyżej ceni się adaptacje dramatów w stylu zaproponowanym ongi przez Laurence'a Oliviera, który nie krępując się konwencjami ni jednej, ni drugiej sztuki prezentował dzieła tak oryginalne jak „Henryk V" czy „Hamlet".

Propozycja Gustawa Holoubka, w mym przekonaniu, zasługuje na pełne uznanie. Wybitny aktor, mający na swym koncie ciekawe role filmowe, jest jednak przede wszystkim człowiekiem teatru. W nim stworzył swe największe kreacje, a jako reżyser brał na warsztat jedynie teksty dramatyczne, również wówczas, gdy jako reżyser telewizyjny posługiwał się językiem wspólnym dla filmu i tv. Te ostatnie doświadczenia (np. „Hamlet", „Beatrix Cenci"), były konieczne i musiały wyprzedzić przedsięwzięcie, któremu na imię filmowy „Mazepa" i o którym, jeśli wierzyć zwierzeniom, Gustaw Holoubek myślał od 10 lat. Marzenie przyoblekłszy się w kształt imponuje dziś dojrzałością koncepcji i pięknem jej realizacji.

Mądrzy teatrolodzy widzą w „Mazepie" Juliusza Słowackiego dzieło doskonałe w swym dramaturgicznym kształcie i utwór, w którym doszły do głosu melodramatyczne wątki literatury romantycznej, te o których rzadziej przy jej okazji mówimy. Dzięki wyobraźni wielkiego dramaturga i poety, dzięki pięknu poetyckiego właśnie słowa, melodramatyzm „Mazepy" ma uroki, które decydują o tym, iż dramat ten należy do najczęściej grywanych sztuk Juliusza Słowackiego.

Filmową inscenizację „Mazepy" nie tuszuje jego teatralnej proweniencji, zachowuje wobec niej swoistą pokorę, sięgając po środki filmowe tylko wówczas, gdy mogą one naprawdę wzbogacić, poszerzyć to, co konwencja teatralna ogranicza, a więc głównie przestrzeń i ruch.

To, co w filmowej inscenizacji „Mazepy" jednak najciekawsze, to fakt, że funkcja przestrzeni nie została przez reżysera sprowadzona do możliwości wyjścia ze ścian sceny, a więc wykorzystania pleneru, pejzażu itp. Organizacja przestrzeni filmowej jest w „Mazepie" znacznie ciekawsza. Wiele scen „Mazepy" rozgrywa się w sytuacjach, które wymagają określonej statyczności miejsca akcji. I wtedy właśnie Holoubek najpełniej wykorzystuje filmowe możliwości zdynamizowania zamkniętych układów przestrzennych. Dzieje się to nie tylko poprzez ruch postaci. Gustaw Holoubek i operator Mieczysław Jahoda znają możliwości kamery, jej ruchy i punkty widzenia, dbają o efekty dynamiki barw filmowanej rzeczywistości, znają funkcje montażu. W konsekwencji uzyskujemy widowisko, którego największym walorem stricte filmowym jest właśnie wspomniana organizacja przestrzeni i piękny rytm filmu związany z układami czasoprzestrzennymi i ruchem. Jednocześnie inscenizator filmowego widowiska nie zrezygnował ze struktury dzieła dramatycznego na rzecz filmowej epiki.

Wszystkie one mają wzbogacić i dopełnić możliwości, jakie oferowuje Słowacki aktorom wcielającym się w postacie jego dramatu, utworu, w którym intryga daje szansę przebogatych kreacji aktorskich. W „Mazepie" kłębią się uczucia, a meandry mistrzowsko prowadzonej intrygi pozwalają na ich manifestację w czysto romantycznym stylu. Miłość i zazdrość, obowiązek i namiętność, wierność i honor jawią się w „Mazepie" w swym wysublimowanym kształcie i od siły aktorów zależy wiara w ich autentyczność i moc.

O aktorach filmowego „Mazepy" pisać by trzeba osobno, jako że nietrudno przewidzieć, że głównie na nich wspiera się siła tego widowiska. „Mazepa" Gustawa Holoubka przynosi aktorstwo pierwszej marki, choć o poszczególne kreacje i interpretacje spierać by się można. Pamiętając z telewizyjnego spektaklu postać Jana Kazimierza w wykonaniu aktora — Gustawa Holoubka, można by pytać o przyczynę tak innej interpretacji tej postaci przez reżysera — Gustawa Holoubka i jego aktora, Zbigniewa Zapasiewicza. Doceniając trud aktorski Magdaleny Zawadzkiej można by pytać, czy jest ona stworzona do interpretacji postaci romantycznych heroin. Na pewno natomiast absolutny zachwyt wywołuje kreacja Mieczysława Voita, jego Wojewoda dominuje nad całością spektaklu i do tradycji scenicznych interpretacji tych postaci wnosi zupełnie nowe akcenty. Jerzy Bończak w tytułowej roli Mazepy przekonuje nie tylko temperamentem młodości, ale i dojrzałością aktorskich środków, czego nie można jeszcze powiedzieć o ślicznym Krzysztofie Kolbergerze w roli Zbigniewa.

EWA NURCZYŃSKA

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (XX)

go mniemaniu stwarzało to szansę ocalenia północnych Włoch od zniszczeń, które byłyby nieuniknione, gdyby Niemcy zastosowali politykę „spalonej ziemi". Łudził się więc, że w wypadku osiągnięcia porozumienia między Wolffem a zachodnimi aliantami uda się uratować tę część kraju przed grożącą jej zagładą. Dr Husmann, choć nie był politykiem ani wojskowym, bardziej trzeźwo oceniał zaistniałą sytuację. Uważał, że byłoby utopią sądzić, iż przywódcy SS mogą zawrzeć porozumienie z Amerykanami i Anglikami kosztem ZSRR. Wiedział bowiem, że nie stworzyłoby to żadnej realnej podstawy do przyszłego układu pokojowego. Był całkowicie pewien, że jakakolwiek próba pertraktacji z pominięciem Rosjan jest z góry skazana na niepowodzenie. W tych warunkach rokowania aliantów ze stroną niemiecką mogły, jego zdaniem, dotyczyć tylko zawieszenia broni, gdyż ewentualność zawarcia porozumienia wymierzonego przeciw ZSRR nie wchodziła praktycznie w grę. Mimo to Husmann uznał, że warto podjąć próbę nawiązania rozmów z Niemcami. Prowadzenie pertraktacji na terytorium neutralnej Szwajcarii nie mogłoby oczywiście ujść uwadze jej władz. Husmann wiedział o tym dobrze, powiadomił więc o całej sprawie majora Maxa Waibela, z którym łączyły go dość bliskie stosunki. Nie była ona łatwa. Przede wszystkim na plan pierwszy wysunęła się kwestia odpowiedzialności. Szwajcaria prowadząc politykę neutralności właściwie nie powinna wyrazić zgody na pertraktacje na swoim terytorium i to prowadzone przez nieoficjalnych przedstawicieli walczących stron. Zarówno parlament jak i naczelny dowódca winni stanowczo odrzucić taką propozycję, jednak z drugiej strony w tej trudnej sytuacji narażanie się Niemcom bądź aliantom wydawało się mimo wszystko dość ryzykowne i w rezultacie nieopłacalne. Lepiej więc było zająć wyczekujące stanowisko, przymykając oczy na fakt naruszenia zasady neutralności. A może w przyszłości bardzo się to opłaci? Władze postanowiły zatem nie ingerować w sprawę rokowań bacznie obserwując, co przyniesie dalszy rozwój wydarzeń. 25 lutego Allen Dulles, szef szwajcarskiej sekcji OSS oświadczył wysłannikowi Wolffa, iż gotów jest podjąć rozmowy z odpowiedzialnymi przedstawicielami hitlerowskich władz wojskowych we Włoszech, o ile zostaną przedstawione konkretne perspektywy, że porozumienie będzie obejmowało szeroki zakres zagadnień. Wkrótce po otrzymaniu odpowiedzi Dullesa Parilli przedstawił ją Wolffowi, SS-Obergruppenführer zaakceptował warunki Amerykanów i 3 marca baron Parilli ponownie pojawił się w Szwajcarii. Tym razem nie sam, lecz w towarzystwie SS-Standartenführera Dollmanna i SS-Obersturmführera Zimmera, przedstawicieli generała Wolffa. Pierwsze spotkanie, jakie odbyli z Husmannem i oficerami szwajcarskiego wywiadu nie przyniosło właściwie żadnych rezultatów. Niemcy byli bowiem dalecy od rokowań na temat zawieszenia broni, próbując raczej przesunąć ciężar rozmów na sprawę ewentualnego porozumienia z aliantami wymierzonego przeciw Rosjanom. W czasie owej wielogodzinnej dyskusji, prowadzonej w dość napiętej atmosferze, dr Husmann, bezskutecznie próbował przekonać Dollmanna o bezsensowności dalszego prowadzenia wojny i potrzebie podjęcia konkretnych rokowań. Osiągnięto jedynie tyle, że w następnym spotkaniu, którego datę ustalono na 8 marca, wezmą udział Allen Dulles i Karl Wolff. Ten ostatni miał w tym celu potajemnie przybyć do Zurychu, aby zaś dać dowód swej dobrej woli, Niemcy mieli zwolnić dwóch wziętych do niewoli przywódców włoskiej partyzantki, którzy towarzyszyliby Wolffowi w drodze do Szwajcarii. Jednym z nich był późniejszy premier pierwszego powojennego rządu Włoch, Ferruccio Parri.

W czasie pierwszego spotkania Dullesa z Wolffem, Amerykanie starali się przekonać Niemców, że wojna jest już dla nich przegrana i że jedyną szansą jest możliwie szybkie złożenie broni. W rozmowach, w których wzięli również udział dr Max Husmann, baron Parilli i współpracownik Dullesa Gero von Gaevernitz omawiano przede wszystkim projekt generała Wolffa dotyczący warunków zawieszenia broni na froncie włoskim. Zgodnie z nimi grupa armii „C" miała uzyskać możliwość swobodnego wycofania się do Niemiec. W rezultacie opuszczenia pozycji w północnych Włoszech przez oddziały armii niemieckiej wojska aliantów zachodnich dowodzone przez marszałka Alexandra, zajęłyby dolinę Padu i mogłyby się następnie posuwać w kierunku Alp Południowych. Po wejściu w życie zawieszenia broni w północnych Włoszech możliwa byłaby, na podobnych zasadach, całkowita kapitulacja na froncie zachodnim, lecz tylko przed Amerykanami i Anglikami.

Oferta Wolffa była nęcąca i Amerykanie, a zwłaszcza Dulles, nie ukrywali swego zadowolenia. Również głównodowodzący wojsk alianckich na Śródziemnomorskim Teatrze Działań Wojennych, angielski marszałek Harold Alexander, był gorącym zwolennikiem takiego rozwiązania. Był tylko jeden szkopuł. Jak wybrnąć z tej sprawy wobec strony radzieckiej, Porozumienia Konferencji Jałtańskiej zakończonej w lutym wyraźnie podkreślały, że nie może być mowy o separatystycznych rokowaniach z Niemcami. Zgoda aliantów na rozejm a później kapitulację armii hitlerowskiej na Zachodzie, stawiała ich w trudnej sytuacji wobec wschodniego sojusznika. Postanowiono więc, iż do czasu znalezienia odpowiedniego rozwiązania pertraktacje z Niemcami będą otoczone ścisłą tajemnicą.

Następne spotkanie między obu stronami odbyło się 19 marca w małym szwajcarskim miasteczku Ascona. Tym razem przybyli na nie przedstawiciele alianckiego dowództwa ze sztabu marszałka Alexandra, a wśród nich: szef sztabu 5 armii amerykańskiej generał Lemnitzer (późniejszy naczelny dowódca wojsk NATO w Europie w latach 60) i zastępca szefa stabu wojsk sprzymierzonych we Włoszech, angielski generał Airey. Obok nich w rozmowach z Wolffem wzięli udział jak poprzednio — Dulles i von Gaevernitz. „Wyższy Dowódca SS i Policji" we Włoszech był w tych pertraktacjach przedstawicielem głównodowodzącego wszystkich wojsk niemieckich na froncie zachodnim, feldmarszałka Kesselringa. Tak oto po raz pierwszy w tej wojnie przy stole rokowań zasiedli wspólnie niemieccy i alianccy dowódcy. Podkreśla to z zadowoleniem a jednocześnie z goryczą niespełnionej nadziei Max Waibel pisząc: „Byliśmy dumni z naszego sukcesu (doprowadzenia do tego spotkania — przyp. A.B.) i wierzyliśmy, że cel wkrótce zostanie osiągnięty, tym bardziej że ta pamiętna konferencja w Asconie miała dobry i napawający optymizmem przebieg. Niestety natychmiastowemu zawarciu porozumienia o zawieszeniu broni przeszkodziło szereg nieprzyjemnych okoliczności, które leżały poza zasięgiem naszych możliwości".

Nietrudno się domyśleć cóż to za „nieprzyjemne okoliczności" uniemożliwiły sfinalizowanie tak pomyślnie zapowiadających się rokowań. Oto bowiem mimo ścisłej tajemnicy otaczającej pertraktacje opatrzone kryptonimem „Cross" word Sunrise" („Wschód Słońca") dowiedział się o nich rząd radziecki, który wysunął żądanie dopuszczenia do udziału w nich przedstawicieli ZSRR. Kiedy strona amerykańska i brytyjska odpowiedziała odmownie na tę propozycję, marszałek Stalin w imieniu rządu radzieckiego zaczął kategorycznie domagać się przerwania tych rokowań. Początkowo Churchill i Roosevelt zwlekali z odpowiedzią, po czym z braku rzeczowych argumentów próbowali dementować fakt prowadzenia rozmów ze stroną niemiecką. W rezultacie zmuszeni byli nakazać swoim przedstawicielom przerwania owych pertraktacji, co było również podyktowane brakiem odpowiedzi ze strony niemieckiej. Wolff bowiem po zrelacjonowaniu przebiegu spotkania w Asconie Kesselringowi i dowódcy grupy armii „C", generałowi von Vietinghoffowi poinformował o nim szczegółowo Himmlera i Kaltenbrunnera, którzy sugerowali mu przedłużenie rokowań w celu wygrania na czasie. Alianci, choć w międzyczasie znów podjęli działania militarne na froncie włoskim, rozpoczynając 9 kwietnia natarcie na linię „Gotów", wciąż mieli nadzieję, że Niemcy jednak podejmą rozmowy w sprawie zawieszenia broni i kapitulacji. Tak się jednak nie stało, gdyż Wolff wezwany do Berlina celem zdania relacji Hitlerowi z przebiegu rokowań otrzymał polecenie ich natychmiastowego przerwania. W ślad za tym, 22 kwietnia 1945 roku, także alianci wydali podobne polecenie Dullesowi. Pertraktacje się skończyły, a w tydzień później, 29 kwietnia, po krwawych walkach, w kwaterze głównej marszałka Alexandra w Casercie przedstawiciele grupy armii „C" podpisali akt kapitulacji, zaś 2 maja 1945 roku wojna na froncie włoskim została ostatecznie zakończona.

Nie zakończyła się jednakże rola Allena Dullesa. Oto 23 kwietnia 1945 roku, za pośrednictwem Niemca, F. Hoecka, nawiązał z nim tajne pertraktacje japoński attache morski w Szwajcarii, Iosira Fuzimura. W toku tych rokowań, które trwały dwa miesiące, Japończycy starali się wyjaśnić szereg problemów, jak: przyszły los władzy cesarskiej, floty handlowej, Korei i Tajwanu. Dulles nie stroniony niepowodzeniem negocjacji „Crosaword Sunrise" był więc znów w swoim żywiole, doświadczenie, jakie wówczas zdobywał miało mu się niedługo przydać, tym razem jako szefowi Centralnej Agencji Wywiadowczej — CIA.

EWA OSTROWSKA

WĘDRUJĄC Z TECZKĄ PO PIĘTRACH

Szkoła jest nowa. Piękna. Wielkie okna, wielkie korytarze — hole. Powinna być przestronna i funkcjonalna. Taka szkoła jak u Stefana Żeromskiego: całe ściany ze szkła, a więc słońce i światło. Szkoła, na którą już nikt z nas nie zwraca uwagi: przyzwyczailiśmy się do tych nowych szkół. Stały się nieodłącznym komponentem naszych miejskich pejzaży.

Szkoda jednak, iż przynajmniej niektóre z nich nie są z... gumy. Tej szkole na przykład przydałoby się, aby była z gumy, a nie z cementu. To jest szkoła tak zwana „środowiskowa" — czyli wybudowana i obliczona na potrzeby nowo budowanego i wciąż rozbudowującego się osiedla mieszkaniowego. Mimo przestronności holi, mimo przestronności izb lekcyjnych, mimo tych wszystkich „za", jak kwiatek na oślej łączce wykwita **problem zagęszczenia.**

Szkoła jest niby wielka i przestronna, funkcjonalna — jednocześnie za mała, za ciasna. Gmach niby ten sam, a już nie ten sam: w sensie funkcjonalności i przydatności, oczywiście. Ktoś źle zaplanował: architekt? czy demograf? Bo ja wiem zresztą, kto? Założenie było słuszne ze wszech miar: nowe osiedle, dla osiedla szkoła. Założenie jest w dalszym ciągu słuszne, tylko prawdopodobnie obliczenia fałszywe. Ktoś nie przewidział rozwoju osiedla, albo źle przewidział, na jedno wychodzi: **szkoła pęka w szwach.**

Ponad siedmiuset uczniów, dwadzieścia pięć oddziałów, dwuzmianowość. W ciągu krótkiego okresu czasu ze względu na postępującą szybko rozbudowę osiedla szkoła musiała „dobić", jak to się fachowo nazywa: „kosztem dopełnienia oddziałów" około 150 nowych uczniów. Czy tylko oddziałów? Kosztem wielu innych spraw: obiadów, rekreacji, działalności świetlicy. Zespół nauczycielski z dyrektorem na czele dokonuje cudów organizacyjnych, aby szkołę poszerzyć. Nie w sensie dosłownym. Musi znaleźć wyjście, ponieważ młodzież musi mieć zapewnione warunki do nauki i odpoczynku na przerwach. Musi normalnie funkcjonować szkolna stołówka wraz z gospodarskim zapleczem. Musi działać normalnie świetlica szkolna.

Świetlica działa od siódmej rano do siedemnastej, stołówka pracuje na maksymalnych obrotach, wydając maksymalną ilość obiadów: 280, więcej nie może, chociaż znalazłoby się więcej chętnych, tych 280 obiadów przygotowuje personel złożony z trzech osób. I te przerwy: pokój nauczycielski to tylko nazwa, grono pedagogiczne musi bowiem zapewnić młodzieży opiekę na przerwach, dbać o bezpieczeństwo, rozrywkę, wypoczynek itp. Czas nauczyciela napięty do granic ostateczności, ale jakże elastyczny, nauczyciel nie ma przerwy dla siebie, bo jej mieć nie może, chociaż też powinien zregenerować się przynajmniej psychicznie przed kolejną lekcją.

JEDNOLITE WYCHOWANIE

Tę szkołę, jak i wszystkie inne, wybudowano znacznie wcześniej niż władze oświatowe pomyślały, a potem wprowadziły — po udanym eksperymencie poznańskim — **system jednolitego wychowania w szkołach podstawowych.** Dysponuję danymi z ubiegłego roku: w Łodzi obowiązywał on już w 23 szkołach, teraz liczba ta pewno uległa zwiększeniu.

Ta szkoła poradziła sobie „lokalowo" z owym systemem i wędrówki ludów — czyli wędrówki młodzieży na przerwach — nie są tu tak zastraszające, jak na przykład w szkołach, które nie potrafiły rozwiązać „lokalowo" sprawy, nie ze złej woli, braku umiejętności organizacyjnych, lecz po prostu z powodu trudności obiektywnych: ciasnych budynków. Szkoła stara, jeszcze przedwojenna, objęta takim systemem, nie może sobie poradzić z praktycznym założeniem tegoż systemu: „każda grupa wiekowa ma klasy zlokalizowane na innym piętrze. Np. parter zajmują klasy I—III, pierwsze piętro klasy IV—V, drugie..." Znam szkołę, która parteru w ogóle nie posiada, bo mieści się tam... przedszkole. Znam szkołę, gdzie wędrówki dzieci po piętrach na przerwach przyjmują rozmiary katastrofalne: korytarze tu ciasne, schody wyślizgane, uczniowie wszystkich klas wędrują po wszystkich piętrach, od pracowni do pracowni, a nauczyciele drżą ze strachu, aby na tych wyślizganych schodach nie doszło do wypadku. Jest to szkoła nie przystosowana lokalowo do wprowadzenia u siebie ani nauki systemem pracowni, ani do przyjęcia jednolitego systemu.

Jednolity system wychowania postuluje słusznie i logicznie oddzielną lokalizację poszczególnych grup wiekowych, aby właśnie uniknąć nadmiernego ruchu uczniów z pracowni do pracowni i jednocześnie, aby zapewnić uczniom większe poczucie stabilizacji, która zawsze jest związana z własną izbą i własnym w niej miejscem. Koliduje to jednakże z przyjętym wcześniej systemem nauki w pracowniach przedmiotowych, które to pracownie wyparły klasę w tradycyjnym pojęciu, klasę jako stałą izbę lekcyjną, gdzie uczeń miał swoje własne, stabilne miejsce.

WĘDRÓWKI LUDÓW

„Klasa", jako stała izba lekcyjna ze stałym miejscem w ławce, należy do

przeszłości. Klasy zamieniły się w pracownie przedmiotowe. Każdy przedmiot posiada własną pracownię. Teoretycznie słusznie i prawidłowo. Funkcjonalnie. W praktyce natomiast — radzę zajrzeć do szkół na przerwach. Istna wędrówka ludów, czysty dramat. Młodzież z teczkami pod pachą podpiera ściany. Wędruje. Od pracowni do pracowni. Oglądałam takie obrazki przez cztery lata uczęszczania mojej córki do liceum. Widzę je i teraz. System pracowni istnieje już parę lat i wędrówka szkolnych ludów trwa.

Ma szkoła pracownie w miejsce klas, pracownie dobrze wyposażone, ale nasze dzieci taszczą swoje podręczniki, swoje zeszyty, swoje osobiste pomoce naukowe w teczkach, taszczą i krzywią kręgosłupy. Uznaliśmy stary system klas za przeżytek. Zamieniliśmy na funkcjonalny system pracowni, w których nauczyciel posiada zgromadzone pod ręką wszystkie swoje pomoce i całe wyposażenie konieczne do prowadzenia nauki nowoczesnymi metodami, natomiast uczeń... Uczeń dźwiga wciąż teczkę.

Rozumiem doskonale, że od czegoś należało zaczynać. Pracownie, to jakiś etap, może pierwszy. Może zresztą jeszcze nie etap, ale przedetap. Lecz trwa już wystarczająco długo i może się wydawać, że wprowadzanie do szkół systemu pracowni nastąpiło na zasadzie wymiany etykietek: **zamiast KLASA II B — PRACOWNIA MATEMATYCZNA.**

W tej przestronnej w założeniach, lecz przepełnionej w praktyce nowoczesnej szkole osiedlowej, chociaż uczniowie nie wędrują po piętrach, tylko w ramach jednego piętra, pracownie jako takie też nie zdają egzaminu. I nie mogą zdawać: pracownia jest jedna, a... trzy oddziały równoległe. Szkoła bardzo chętnie wyposażyłaby swoje pracownie w podręczniki, likwidując w ten sposób — jakże prosty — problem teczki, ale szkoła nie ma funduszy na zakup podręczników. A poza tym nie ma podręczników w sprzedaży. Uczeń musi jednak dźwigać teczkę od pracowni do pracowni. Błędne koło zamknięte.

IMIENINY KLASY

Uczestniczyłam jako rodzic w uroczystości mianowania klasy czwartej. Była to przepiękna uroczystość. I dzieci, i rodzice wprowadzeni w podniosły nastrój. I dzieci, i rodzice odczuli „imieniny" klasy w sposób emocjonalny, a więc ten, który pozostaje w pamięci jako trwałe przeżycie. Była to wspaniale zaaranżowana przez wychowawczynię poglądowo-wychowawcza zabawa — i dla dzieci, i dla rodziców. Dla dzieci, ponieważ przyjmowały z całą odpowiedzialnością, powagą i wzruszeniem wykonanie prac w swoich zespołach — inicjatyw nie tylko pożytecznych społecznie, ale nauczających szacunku oraz uczucia do spraw niby powszechnie znanych — tak dobrze znanych, że aż obojętnych. Dla rodziców — ponieważ stali się niejako współuczestnikami inicjatyw swoich dzieci. Zabawa, nauka wychowanie — spięte umiejętnie jedną klamrą działania, to z całą pewnością i uczy, i wychowuje. „Imieniny" odbywały się w ramach wprowadzenia jednolitego systemu wychowania. Pomyślałam wówczas, że system ten musi wydać w praktyce owoce.

Tak myślę i teraz. Drugi rok działania, a obserwuję własne dziecko jak staje się współuczestnikiem szkolnego życia, jak wypracowuje światopogląd, jak reaguje na to, co dzieje się w szkole, bo jest w centrum szkolnego życia, jest jego aktywną cząstką. W ten sposób szkoła pomaga mnie, matce, wychowywać własne dziecko. Szkoła: nauczyciel, wychowawca.

Pomaga wychowywać. Sprzężenie obustronne. Pomaga. Ale nie wyręcza. Tymczasem słyszę opinie, że jednolity system wychowania wprowadza się między innymi po to, aby usprawnić przejmowanie przez szkołę funkcji wychowawczych rodziny. Ponieważ: model rodziny się zmienia. Ponieważ: rodzina nie jest w stanie udźwignąć swoich, do niej przypisanych tradycyjnych funkcji wychowawczych. Ponieważ: w niedalekiej przyszłości rodzina ma spełniać rolę zaspokajacza elementarnych potrzeb własnego dziecka — zapewniać mu spanie (noclegi), wyżywienie (niepełne, bo obiady w szkole), ubranie.

Przypomniałam sobie ankietę, jaką wypełniałam dla szkoły w roku ubiegłym. Temat: jak rodzic wyobraża sobie zorganizowanie czasu wolnego przez szkołę dla dziecka. Z ankiety wynikało, że właściwie szkoła memu dziecku ma wypełnić czas od rana do wieczora przez cały tydzień, z wyjątkiem niedzieli. Przypomniałam i doszłam do wniosku, że wypływa to z tych samych przesłanek: rodzice nie mają czasu na to, aby zająć się swymi dziećmi, szkoła musi przejmować nieuchronnie część funkcji wychowawczych rodziny. I to właśnie zapoczątkowuje praktycznie jednolity system.

Jestem humanistą i jako humanista sądzę, że szkoła nie może przejmować na siebie funkcji wychowawczych rodziny, a rodzina, jakby się tam jej model nie zmieniał, nie ma prawa przerzucać odpowiedzialności za wychowanie dzieci na szkołę, ani wyręczać się w ich wychowaniu szkołą. Być może, że występuję z pozycji prześmiesznego, pana Don Kichota z Manczy, lecz trudno. Problem jest zbyt ważny, aby pomijać go milczeniem lub niedomówieniem.

GRANICA EWENEMENTU

System jednolitego wychowania teoretycznie opiera się na dwóch założeniach.

Pierwsze: człowiek kształtuje się na drodze własnej życiowej działalności, a więc szkoła musi być terenem aktywności ucznia. Aktywność, ta szkolna, polega na wypełnianiu szeregu obowiązków, na rozbudowywaniu życia wewnętrznego ucznia w sposób zaspokajający jego powszechne potrzeby: rozrywkę, pragnienie przygody, potrzebę wzruszenia.

Założenie drugie wynika logicznie z pierwszego: konieczność organizacji życia szkolnego w taki sposób, żeby dostarczało ono sytuacji niezbędnych do wszechstronnej aktywności ucznia. A więc — uczniowie powinni uczestniczyć w życiu publicznym, w działalności samorządowej, kulturalnej, rozrywkowej, sportowej, turystycznej— towarzyskiej też. Uczniowie powinni brać udział w zadaniach gospodarczych i produkcyjnych, przyjmując na siebie społeczną odpowiedzialność za to, co sami zdziałają.

Założenia teoretyczne systemu są aż tak oczywiste, że budzą... refleksję — niekoniecznie słuszną. Mianowicie: czy to ma być ewenement, czy po prostu ujęcie w formułę wypracowanych już poprzednio na przestrzeni lat przez szkołę, nauczyciela, pedagoga metod działania? Bo jeżeli aż do momentu eksperymentu poznańskiego, który dał podstawy systemowi obecnie wprowadzanemu w szkolnictwie — szkoła nie była terenem aktywności ucznia, to jaka to była szkoła? Bardzo zła, a teraz dopiero będzie bardzo dobra. Upraszczam, rzecz jasna, ale celowo, pragnę bowiem zwrócić uwagę na zachowanie umiaru przy niektórych sformułowaniach, gdyż brak umiaru daje podstawy do wyciągania fałszywych i szkodliwych wniosków.

Założenia teoretyczne są oczywiste i dobrze się stało, że zostały ujęte, ale założenia systemu nie są novum. Ani jeden z nauczycieli, z którymi rozmawiałam, nie uznał ich za nowość. To już było: szkoła istniała jako teren aktywności ucznia. Czego natomiast nie było, co jest ewenementem? Metodyczno-praktyczne założenia systemu. Choćby podział uczniów szkoły podstawowej na trzy odrębne grupy wiekowe, dla których treść i forma pracy wychowawczej jest odpowiednio — zgodnie z właściwościami rozwojowymi dziecka — dostosowana. No i ta forma oraz treść — forma urozmaicona, atrakcyjna, wielotorowa, treść podobnie.

Foto: W. Parys

Artykułem „Wędrując z teczką po piętrach" rozpoczynamy druk cyklu refleksji Ewy Ostrowskiej na temat współczesnej szkoły.

Ewa Ostrowska jest pisarką, która w swoim literackim dorobku ma książki dla młodzieży. Jest też matką, która wychowując córki od lat styka się z problemami szkoły. Z tych obserwacji, kontaktów i zainteresowań powstał cykl artykułów, które jak sądzimy powinny wzbudzić zainteresowanie Czytelników.

U PRZYJACIÓŁ

Rok 1975 był dla Bułgarii szczególnie owocny w sukcesy na polu społeczno-gospodarczym. Dochód narodowy wzrósł w tym czasie w porównaniu do r. 1974 o 9 proc., produkcja przemysłowa ok. 10 proc., rolna o ponad 8 proc. Fundusz spożycia zwiększył się o 7,5 proc., a dochód realny w przeliczeniu na mieszkańca o 4,7 proc. Pomyślna realizacja zadań 1975 r. zadecydowała o przyspieszonym wykonaniu założeń szóstego planu pięcioletniego.

W planie na rok 1976 przewiduje się wzrost dochodu narodowego o 9 proc., produkcji przemysłowej o 9 proc., rolnej o 5 proc. Społeczna wydajność pracy zwiększy się o 8,8 proc. Nadal będzie realizowany dynamicznie program poprawy warunków życia narodu: dochody realne wzrosną o 4,8 proc., obroty handlu detalicznego o 8 proc., usługi o 11 proc.

Główną treścią i cechą charakterystyczną planu na rok 1976 będzie realizacja linii strategicznej partii, przejawiającej się w zdecydowanej woli zwiększenia efektywności gospodarki narodowej w oparciu o powszechną intensyfikację i wykorzystanie wszystkich rezerw, którymi dysponuje kraj. Zadaniem strategicznym jest obecnie modernizacja i rekonstrukcja produkcji w oparciu o koncentrację i specjalizację, upowszechnienie najnowszych osiągnięć nauki i techniki.

U progu roku 1976, który będzie rokiem XI Zjazdu Bułgarskiej Partii Komunistycznej, Komitet Centralny BPK zwrócił się z apelem do narodu bułgarskiego, w którym m.in. wzywa wszystkich komunistów do pokierowania ogólnonarodowym ruchem na rzecz wykonania zadań pierwszego roku siódmej pięciolatki, wykorzystania bogatego doświadczenia i stałego doskonalenia różnorodnej działalności.

* * *

„W ciągu ostatnich pięciu lat kinematografia nasza pisze na łamach „Rudego Prava" J. Kliment — przebyła ważną drogę. Lata te stoją pod znakiem wielkiego rozwoju. Ci, którzy wróżyli filmowi czechosłowackiemu upadek, przeliczyli się. Kinematografia nasza, po przezwyciężeniu okresu kryzysowego, swobodnie odetchnęła i podjęła twórczą działalność". Następnie autor podaje przykłady wzrostu produkcji w czeskich i słowackich wytwórniach. I tak np. wytwórnia w Barrandov wyprodukowała 73 filmy pełnometrażowe wobec 31 w roku 1970. „To są tylko liczby — stwierdza dalej J. Kliment — możemy jednak mówić o czymś znacznie ważniejszym, a mianowicie o ponownym nawiązaniu najściślejszego kontaktu między twórcami filmu a widzami. Nasi twórcy przezwyciężyli obciążenia przeszłości. Pojawiło się w filmach, ukazywane w sposób całkowicie uzasadniony, poczucie optymizmu, tak charakterystyczne dla sztuki socjalistycznej. Zamiast obcego ludziom społeczeństwa socjalistycznego i niezrozumiałego oderwania od życia, pojawiły się ponownie — humanizm, chęć aktywnego czynu, pozwalającego realizować nowe życie.

Ostatnie 5-lecie przyniosło dla kinematografii CSRS ogromne ożywienie stosunków z kinematografiami bratnich krajów socjalistycznych. Nastąpił wzrost kooprodukcji. Przyniosło to wiele sukcesów artystycznych i ideowych. Powstał m.in. film Vavry i Fabera „Sokołowo" oraz „Zaklęte rewiry" w kooprodukcji polsko-czechosłowackiej.

W zakończeniu artykułu autor podkreśla potrzebę ukazywania na ekranie bohatera dnia dzisiejszego, a także na ważną rolę krytyki filmowej, sprzyjającej powstawaniu wielkich dzieł, kształtujących wrażliwość społeczną i zdobywających szerokie kręgi odbiorców.

KOMU SŁUŻĄ „WOLNA EUROPA" i „SWOBODA"

Radiostacje „Swoboda" i „Wolna Europa", stworzone w najgorętszym okresie „zimnej wojny" nadal zatruwają świat falą kłamstw i oszczerstw rozsiewanych pod adresem Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych. Ich działalność jest sprzeczna z dążeniem narodów do odprężenia, wzajemnego zrozumienia i współpracy.

Poniżej drukujemy w tłumaczeniu artykuł publicysty zachodnioniemieckiego, Normana R. Vienera, zamieszczony na łamach pisma „Blätter für Deutsche und Internationale Politik" ukazującego się w Kolonii.

„Radio „Swoboda" i radio „Wolna Europa" te dwie amerykańskie propagandowe bliźniaczki rozpoczęły dywersyjno-propagandową działalność bardzo wcześnie, bo już w 1949 roku. Od początku lat siedemdziesiątych, kiedy proces odprężenia zaczął nabierać rozpędu, są pod silnym obstrzałem postępowej części światowej opinii publicznej. Gdy w 1971 roku ujawniono, iż obie te radiostacje są instrumentem Centralnej Agencji Wywiadowczej USA, rząd amerykański został zmuszony do zbadania ich działalności skierowanej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i jego sojusznikom. Skompromitowanej CIA odebrano możność finansowania radiostacji i przekazano je pod nadzór tzw. „Rady radiofonii międzynarodowej".

Te okólne manewry niewiele pomogły. Żeby uniknąć sprzeczności z własnymi oświadczeniami o dążeniu do odprężenia, oficjalna Ameryka musiała szukać nowych pretekstów do dalszego finansowania tych radiostacji. H. Serdgeant, przedstawiciel starej gwardii amerykańskiego wywiadu, opracował „nowe wytyczne" w sprawie prowadzenia polityki rozgłośni radiowej „Swoboda". Mowa w nich o utrzymaniu dotychczasowej aktywności w walce z komunistyczną ideologią z jednoczesnym odejściem od frontalnych ataków antykomunistycznych i antyradzieckich. Każdy pracownik musiał podpisać deklarację następującej treści: „Ja, niżej podpisany, przyjmuję do wiadomości, że rozgłośnię radiową „Swoboda" uruchomiła CIA i funkcjonuje ona z jej środków. Za rozgłaszanie tych informacji winni zostaną ukarani grzywną w wysokości do 10 tys. dolarów i karą więzienia do lat 10".

W celu zmylnia opinii publicznej gospodarze radiostacji przeprowadzili szereg akcji dezinformacyjnych. I tak np. podano do wiadomości, że w 1975 roku nastąpi połączenie radiostacji „Swoboda" z radiostacją „Wolna Europa", obu pracujących w Monachium. Springerowska „Die Wel", z reguły doskonale zorientowana w detalach tak delikatnej materii z ubolewaniem informowała, jakoby zamierzano nawet zmniejszyć objętość serwisu informacyjnego. Pisano, iż 300 stałych pracowników trzeba zwolnić z powodu reżimów oszczędnościowych spowodowanych spadkiem kursu dolara itp.

W rzeczywistości jednak, przy akompaniamencie szelestu gazetowego papieru, przeprowadzono reorganizację, nie mającą nic wspólnego z likwidacją działalności radiostacji. Budżet obu radiostacji wyniesie w 1976 roku 65 i pół miliona dolarów w porównaniu z 50 milionami dolarów w roku 1975. Radiostacja „Swoboda" otrzymała bardziej operatywne kierownictwo, uruchomiono także nowe filie tej stacji. Ale oczywiście charakter jej audycji nie uległ zmianie. Zadania pozostały te same: oszczerstwo, szpiegostwo i działalność dywersyjna skierowane przeciwko krajom socjalistycznym. „Tak jak i przedtem „Wolna Europa" i „Swoboda" — pisała gazeta „Washington Post" — propagują fundamentalne wartości Zachodu. I nie będą one warte złamanego grosza jeśli się ich wyrzec w imię polepszenia stosunków z innymi reżimami". Dziennik posuwa się do panegiryku twierdząc: „Jesteśmy przekonani, że te radiostacje są teraz ważniejsze niż były kiedykolwiek".

Siedzibą kierownictwa radiostacji był i jest Nowy Jork, gdzie bieżącym i perspektywicznym planowaniem antyradzieckich kampanii propagandowych zajmuje się ponad 100 pracowników. Wszystkie kluczowe stanowiska zajmują Amerykanie, z których większość jest pracownikami CIA. Stąd kieruje się redakcjami i filiami tych radiostacji działającymi w wielu krajach, a przede wszystkim w Paryżu, Rzymie, Londynie i Sztokholmie. Główna rozgłośnia stacji radiowej „Swoboda" jest zainstalowana w Monachium za zezwoleniem rządu RFN, które od 1960 roku przedłuża się rokrocznie. Sześć nadajników pracuje także w Lampertsheim, opodal Frankfurtu nad Menem. Sześć stacji retransmisyjnych i trzy stacje nadawcze pracują jednocześnie w Hiszpanii i na Tajwanie. Radiostacja „Wolna Europa" nadaje audycje z Monachium, chociaż jej główna kwatera znajduje się w Wiedniu.

Nie od rzeczy będzie poznać instrukcję w sprawie realizacji programu polityki radia „Swoboda":

— Radiostacja widzi swe główne zadanie w przekazywaniu radzieckim obywatelom — poszczególnym ludziom lub całym grupom ludzi — informacji i idei, które powinny dopomóc im w rozwiązaniu istniejących problemów i zmiany istniejącego ustroju;

— „Swoboda" jest ważnym środkiem rozpowszechniania buntowniczych poglądów i powinna współdziałać w ruchu rozsadzania ustroju i rozpowszechniania materiałów w celu podtrzymania tych poglądów;

— Konieczne jest, żeby słuchali nas nawet zwolennicy reżimu, należy wzbudzać w nich zwątpienie w system sowiecki i stopniowo doprowadzić do tego, by uważnie przysłuchiwali się ideom i alternatywom rozpowszechnianym przez radiostacje.

Jak i przy czyjej pomocy urzeczywistnia się ten szeroki program dywersyjnej działalności? Istnieją co do tego wiarygodne dowody świadka, który nie wierzył własnym oczom i uszom, kiedy się przekonał, jak daleko w swej bezczelności posunęły się radiostacje w realizacji „antybolszewickiej propagandy". Pracownik międzynarodowego wydziału Biblioteki Kongresu USA, Joseph Wilan, swego czasu także pracownik CIA, miał możność wglądu w archiwa radiostacji „Swoboda". Spędził także kilka tygodni w Monachium, gdzie obserwował przygotowywanie programów i ich transmisję na obszar Związku Radzieckiego. Następnie sporządził sprawozdanie zatytułowane: „Radiostacja „Swoboda" — przyczyny powstania, struktura, zasady opracowywania programów i efektywność działania". Szczególnie duże rewelacji zawiera wstęp do tego sprawozdania. Jego autor nie ma najmniejszej wątpliwości, że „Swoboda" jest instytucją państwową i jednym z ogniw aparatu polityki zagranicznej USA.

Na czym, jego zdaniem, polega specyfika działalności tej radiostacji? Przede wszystkim w próbach wywarcia zmasowanego oddziaływania na ZSRR drogą 275 godzin transmisji na dobę w 23 językach tego wielonarodowego państwa. Brednie dziewięciu tzw. narodowych redakcji — ormiańskiej, azerbejdżańskiej, białoruskiej, gruzińskiej, rosyjskiej, północno-kaukaskiej, tatarsko-baszkirskiej turkiestańskiej i ukraińskiej — powinny sprzyjać „wzbudzaniu wątpliwości i niezadowolenia a także podrywać wiarę komunistów i ich zwolenników, że proces pokojowego rozwoju pracuje na korzyść ich ruchu". Ten cały stek oszczerstw i dezinformacji przygotowuje prawie tysiąc pracowników, w tej liczbie około 280 byłych obywateli ZSRR.

Wśród nich można spotkać interesujące indywidua. I tak, „fundamentalnych wartości Zachodu" broni na falach „Swobody" niejaki Konstantin Gieorgiewicz Kromiadi, były agent gestapo i komendant obozu dla jeńców radzieckich pod Orszą. Obecnie kierownik wydziału personalnego „Swobody", z wąsikiem a'la Hitler, 30 lat temu spacerował z pejczem z drutu kolczastego, którym osobiście katował jeńców. Pragnąc dogodzić swoim panom, Kromiadi uczęszczał do szkoły szpiegów „Zeppelin", kierował kryminalistami w „Operacji Siwy", prowadząc działania pacyfikacyjne przeciwko partyzantom w rejonie Smoleńska. Po wojnie ten były szef kancelarii Własowa przeszedł do pracy w CIA.

Wśród innych „bojowników o wolność" działają bracia Grigorij i Kuźma Kabanowowie, dezerterzy z armii radzieckiej, którzy ukończyli później specjalną faszystowską szkołę propagandystów. Dziś pod nazwiskami — Kaliużnego i Kalinowskiego apelują „do braci i sióstr" na Białorusi. Pracownicy „Swobody" w ogóle lubią zmieniać nazwiska ukrywając swoją tożsamość. Lew Dudin alias Nikołaj Gradobojew był donosicielem hauptscharführera Andersa w Kijowie i ponosi odpowiedzialność za powieszenie trzech radzieckich obywateli. L. Pawłowskij alias Pylajew alias Szamrow alias Oktiabrew brał udział w karnych ekspedycjach na Ukrainie, a następnie był agentem gestapo; teraz jest równie cenionym pracownikiem „Swobody". Lewon Mkrczian — Kartaszlian, szef „ormiańskiej" redakcji, nie tylko zabijał radzieckich żołnierzy pod Kerczem lecz także rozstrzeliwał patriotów we Francji. Wojskowy komentator „Swobody" Poplujko-Natow dopuszczał się zbrodni w okupowanym Dniepropietrowsku i wyróżniał się w okresie władzy nazistów jako autor antysemickich artykułów. Nikołaj Mienczukow alias Olin alias Irkolin pracował w goebbelsowskim ministerstwie propagandy. Pełny wykaz zająłby zbyt wiele miejsca, ale już wspomiane nazwiska „wolnomyślnych przedstawicieli narodów ZSRR" dostatecznie wymownie świadczą o duchu, jaki panuje w redakcyjnych gabinetach radiostacji.

Radiostacja utrzymuje ścisły kontakt z antyradzieckimi organizacjami emigracyjnymi w krajach zachodnioeuropejskich i w USA. Filia „Swobody" w Rzymie (ukrywa się pod nazwą „Międzynarodowego towarzystwa literackiego"), przeznaczona do „zadań specjalnych", wykorzystuje do przerzutu antyradzieckich materiałów do ZSRR kanały tzw. „Narodowego związku pracy". Jest to antyradziecka organizacja emigracyjna, ściśle powiązana z zachodnimi służbami wywiadu.

Działalnością specjalnego charakteru zajmuje się, blisko związane ze „Swobodą", biuro radiostacji „Wolna Europa" w Wiedniu. Tutaj segreguje się i tłumaczy na poprawny język niemiecki informacje agentów i przysyła się je do Monachium. Dziesiątki ludzi pod kierunkiem doświadczonych pracowników CIA polują na turystów, podróżnych, uczonych, studentów, sportowców i innych z krajów wschodniej Europy, próbując złowić ich w swoje sidła. Podają się oni za pracowników przeróżnych instytutów badających opinię publiczną i koniunkturę rynkową, działają jako przedstawiciele organizacji naukowych. Agenci nawiązują rozmowy na dworcach, przed hotelami i w samych hotelach, w kawiarniach i restauracjach, zadając z początku pytania na najbardziej ogólne tematy, a później przechodząc do bardziej delikatnych. Informacje zebrane z takich rozmów opracowują w Wiedniu tzw. korespondenci. Znajdują się wśród nich (będący członkami wiedeńskiego związku dziennikarzy zagranicznych) tacy np. „korespondenci", jak: Gibor Hanak, Ladislaw Juhacz, Wacław Pomorski, Peter Wiliams i inni. Później materiały poddaje się „obróbce" w monachijskim ośrodku radiostacji „Wolna Europa". Najbardziej wartościowe odkłada się i włącza do kartoteki grupy specjalnej CIA.

Jak podała gazeta „Volksstimme", niedawno wiedeńskie biuro „Wolnej Europy" zorganizowało przerzut do Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej antykomunistycznych ulotek, wydrukowanych w stolicy Austrii. Kolportowano je na dworcach, w hotelach, podrzucano do budek telefonicznych, ubikacji, wrzucano do skrzynek pocztowych. Za udział w tej „operacji", kontrabandziści otrzymywali od trzech do pięciu tysięcy szylingów. A tymczasem „Wolna Europa" snuła pogwarki o „podziemnych akcjach" w krajach socjalistycznych.

Amerykańskie osobistości oficjalne próbują uniknąć odpowiedzialności za działalność tych dywersyjnych radiostacji chociaż działalność tę kontroluje komisja rządowa na czele z Miltonem Eisenhowerem. „Oczywiście, my wiemy—mówił szef USIA (Agencja Informacyjna Stanów Zjednoczonych — red.), Campton Jankins — czym zajmują się „Wolna Europa" i „Swoboda". One mówią ludziom o wydarzeniach w ich krajach (...), ale nie jako przedstawiciele amerykańskiego rządu, lecz jako prasa opozycyjna".

Komisja, którą kieruje M. Eisenhower oświadczyła, iż w wypadku pomyślnych zmian w sytuacji międzynarodowej, będzie możliwa likwidacja tych rozgłośni radiowych. Obecna sytuacja sprzyja takiej decyzji. Wymagają jej i normy prawa międzynarodowego i zasady moralności politycznej, utrwalone w podpisanym akcie końcowym Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Kontynuowanie i pobudzanie wywrotowej działalności radiostacji „Wolna Europa" i „Swoboda" są nie tylko sprzeczne z duchem odprężenia, lecz stawiają pod znakiem zapytania podjęte zobowiązania."

J. CZECH

■ Znaczący krok w kierunku normalizacji
■ Na drodze do zjednoczenia
■ Trwałość kursu politycznego

Bundesrat ratyfikował porozumienie o rentach i wypadkach, podpisane przez rządy Polski i RFN w październiku ub. roku w Warszawie. A więc również druga izba RFN, w której układ głosów jest odmienny niż w Bundestagu, co zamierzała wykorzystać opozycja spod znaku CDU/CSU, uznała wynegocjowane w Helsinkach porozumienie dwustronne za możliwe do wprowadzenia w życie. Polska i zagraniczna opinia publiczna oraz realistyczne siły w RFN widzą w tym fakcie dużą szansę posunięcia na przód sprawy odprężenia na europejskim kontynencie. Jak już bowiem pisaliśmy na tym miejscu, dalsza normalizacja stosunków między Polską a Republiką Federalną Niemiec ma znaczenie szersze niż dwustronne.

Przemawiając w Poznaniu, w dniu debaty ratyfikacyjnej w Bundesracie, **Edward Gierek raz jeszcze podkreślił rolę, jaką spełnić może wprowadzenie w życie pakietu porozumień.** Przyczynią się one do rozwinięcia współpracy — w myśl litery i ducha helsińskiego Aktu Końcowego, pozwolą przezwyciężyć historyczne obciążenia i ukształtować nowe stosunki między obu państwami i narodami.

Fakt ratyfikacji porozumienia przez Bundesrat jest przejawem zreflektowania się CDU/CSU, która dotychczas — łącznie z debatą lutową w Bundestagu — zajmowała stanowisko negatywne, próbując tę istotną dla procesu odprężenia sprawę włączyć jako element walki przedwyborczej. Jeśli mimo krytyki tych porozumień — przedstawiciele opozycji w drugiej izbie głosowali „za", znaczy, że **zrozumieli rozmiar odpowiedzialności,** jaka spadłaby na CDU/CSU w przypadku uniemożliwienia ich realizacji. Innymi słowy **klimat w Europie 1976 roku nie sprzyja tym, którzy chcieliby powrócić do czasów napięć i konfliktów.** I to jest właśnie najbardziej optymistyczne. Wiosna bieżącego roku przynosi zatem nadzieje na dalsze umocnienie nie naszym kontynencie pokoju, bezpieczeństwa i współpracy.

Zafascynowani wydarzeniami tej miary, co omówione powyżej, mniej miejsca w naszych przeglądach aktualiów międzynarodowych poświęcamy odleglejszym krajom, choć rozwój sytuacji w wielu z nich zasługuje na powszechniejszą uwagę. Dlatego chcemy dziś pisać jeszcze o Wietnamie i Indiach.

Minął rok od wyzwolenia Sajgonu. W tym czasie w pełni znormalizowane zostało życie w Wietnamie Południowym i trwa odbudowa kraju. Równolegle jednakże **czyni się intensywne przygotowania do zjednoczenia dwóch państw wietnamskich,** różniących się, jak wiemy, zasadniczo.

Pierwszym krokiem na tej drodze mają być wybory powszechne, zapowiedziane na 25 kwietnia br. Wyłoni się w nich Zgromadzenie Narodowe, to zaś opracuje konstytucję, ustali nazwę państwa i jego stolicę oraz wybierze wspólne dla całego Wietnamu organy państwowe. Proces zbliżania struktur wewnętrznych dokonywać się będzie etapami i wymagać będzie czasu. Mimo to rok bieżący będzie dla 45-milionowego narodu wietnamskiego przełomowym, zamykającym długi okres rozbicia kraju. Jakie przyniesie to zmiany na mapie politycznej Azji i jak w ich rezultacie wzmocnione zostaną siły pokoju — nie trzeba objaśniać. Dlatego to, co dzieje się w Wietnamie, obserwowane jest w różnych punktach globu ziemskiego.

Indie zwracają obecnie naszą uwagę z innego powodu: **ugruntowania kursu i pozycji Indiry Gandhi.** Przypomnijmy, że latem ub. roku z całą mocą zaatakowały siły prawicy z wyraźnym celem obalenia rządu. Otóż obserwatorzy życia Indii odnotowują z zainteresowaniem pojawienie się na widowni politycznej młodszego syna Indiry Gandhi — Sanjaya. Ostatnio wszedł on do komitetu wykonawczego organizacji młodzieżowej Partii Kongresowej i udziela się publicznie. Wprawdzie zapytany o swą przyszłość polityczną zaprzeczył możliwości zastąpienia z czasem swej matki na stanowisku premiera — jednakże prasa zachodnia nie wyklucza takiej ewentualności.

Sanjay Gandhi udzielił wywiadu amerykańskiemu tygodnikowi „Time", przekonywająco broniąc polityki swej matki. M. in. rzeczowo uzasadnił potrzebę wprowadzenia przed miesiącami stanu wyjątkowego w Indiach i wykazał, jak przyczynił się on do znormalizowania sytuacji wewnętrznej kraju i rozładowania napięcia, które wzmagały siły prawicy w swoim egoistycznym interesie.

Czy więc Sanjay — zastanawia się „Time" — jako trzeci członek rodziny Nehru miałby szansę na premiera rządu?

Sądzimy, że nie warto rozważać zasadności tego pytania. Znacznie istotniejsze jest to, że **przyszłość Indii obserwatorzy łączą z kursem politycznym — wewnętrznym i zagranicznym — Indiry Gandhi, a nie tych ugrupowań, które zmierzały do prawicowego zamachu.**

W. SŁAWSKI

PERSPEKTYWA

Dokończenie ze str. 5

wykorzystanie posiadanych. Ta zmiana metody działania wynika też z tego, że do tej pory kraj nasz rozwijał się w sposób nierównomierny. W wielu dziedzinach, np. w transporcie i łączności, powstały poważne opóźnienia. Dla sprawnego funkcjonowania całości organizmu gospodarczego i społecznego trzeba **wyrównać dysproporcje.** Niezbędne jest więc pełniejsze wykorzystanie posiadanej techniki, poprawa organizacji pracy, lepsze wykorzystanie ludzkich umiejętności, doświadczenia i kwalifikacji.

Uzależnienie jakości życia od jakości pracy wynika właśnie z takiego przewartościowania, bez którego trudno byłoby zrealizować strategiczny cel polityki społeczno-gospodarczej partii: **poprawę warunków życia i pracy całego społeczeństwa.** I dlatego warto sobie o tym przypomnieć w dniu, w którym pójdziemy do wyborów. **21 marca 1976 roku,** głosując na listę FJN musimy być świadomi, że głosujemy za programem poprawy życia, który chcemy osiągnąć innymi, bardziej trudnymi metodami. A możliwość osiągnięcia tego właśnie w taki sposób znamionuje wyższy poziom naszego stanu posiadania.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LISTY

„DWIE KOBIETY I PREZES"

Z dużym zainteresowaniem przeczytaliśmy artykuł ob Zofii Tarnowskiej pt „Dwie kobiety i prezes" dotyczący Lokalnego Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości w Łodzi

Ob Zofia Tarnowska bezkrytycznie poparła jednostronne twierdzenia dwóch kobiet, nikogo prócz siebie nie reprezentujących – bez uprzedniego chociażby zapoznania się z argumentami drugiej strony – prezesa LZWN. Prezes nie rządzi jednoosobowo Zrzeszeniem: wszystkie postanowienia podejmowane są kolegialnie przez Zarząd pod stałą kontrolą Komisji Rewizyjnej, co znajduje swoje odbicie w protokołach zebrań. Prezes tylko reprezentuje wolę siedmioosobowego Zarządu, wybranego przez delegatów członków Zrzeszenia, liczącego ponad tysiąc obywateli m. Łodzi. Autorka nie próbowała także zasięgnąć opinii osób bezstronnych: pracowników Zrzeszenia lub członków Rady Zakładowej. Elementarna zasada prawna: „audiatur et altera pars" została w tym przypadku drastycznie naruszona przez prawnika i dziennikarza.

Obydwie „kobiety" wbrew ustaleniu w artykule, mają już rozwiązany stosunek pracy ze Zrzeszeniem. Przeciwko Janinie Z. toczy się sprawa w Sądzie Rejonowym w Łodzi, Wydział VIII Karny, za Nr VIII Kp 6076. Przeciwko Janinie Z. i Janinie G. solidarnie, będzie wniesione powództwo sądowe o pokrycie strat materialnych spowodowanych biedną, niefachową, bezprawną – bo z przekroczeniem swoich kompetencji, i szkodliwą dla Zrzeszenia działalnością – po zebraniu wszystkich odpowiednich dowodów. Dlatego dopiero po wydaniu prawomocnych orzeczeń, będziemy mogli sprecyzować sposób i formę żądanej satysfakcji za niezgodny z prawdą – artykuł.

Za Komisję Rewizyjną – Przewodnicząca (podpis nieczytelny)

Za Zarząd: Skarbnik, Sekretarz, Członkowie...

(podpisy nieczytelne)

OD AUTORKI: Uznając dokumentację, na której oparłam artykuł, za prawdziwą – zastrzegam sobie prawo powrócenia do tematu.

ZOFIA TARNOWSKA

* * *

„CZY MÓJ SZWAGIER JEST WANDALEM?

W odpowiedzi na list Ewy Ostrowskiej, zamieszczony w rubryce „Proszę o głos!" w numerze 8 „Odgłosów" z 19 lutego 1976 r., uprzejmie informujemy:

1. Sprawa poruszona w liście była przez nas szczegółowo rozpatrywana już wcześniej, wskutek skargi skierowanej do redakcji „Dziennika Popularnego" przez osobę bezpośrednio zainteresowaną tj. Ob. Wojciecha Nikodemskiego. Po wyjaśnieniu wszystkich okoliczności, 13 lutego 1976 r. udzieliliśmy odpowiedzi redakcji, jak również Ob. Nikodemskiemu.

Kaucja na wykonanie remontu mieszkania i zakup nowych urządzeń (zlecone naszej Spółdzielni) została wyliczona orientacyjnie na podstawie kosztorysu robót remontowych i w oparciu o aktualne obecnie ceny kuchni gazowych, zlewozmywaków i sedesów.

Po zakończeniu wszystkich prac kaucja zostanie rozliczona zgodnie z fakturami otrzymanymi z Zakładu Budowlano-Remontowego. Ewentualna nadpłata zostanie wówczas zwrócona lokatorowi.

2. Wyjaśniamy ponadto, że fakt nieodebrania przez administrację od poprzednio zajmowanego mieszkania w żadnym wypadku nie wynikał ze złośliwości pracowników. W okresie grudnia ub. roku i stycznia 1976 r. występowały znaczne trudności w zaopatrzeniu w takie urządzenia jak: kuchnie, zlewozmywaki, baterie itp. W tej sytuacji administracja dążyła do tego, aby lokatorzy zwalniający mieszkania, w miarę możliwości i chęci, pozostawiali w nich urządzenia przeznaczone już do wymiany, ale mogące jeszcze przez jakiś czas być użytkowane przez następnych lokatorów, co w znacznej mierze skróciłoby okres przestojów mieszkań pochodzących z zamiany.

W przypadku jednak, gdy Ob. W. Nikodemski nie wyraził zgody na ich pozostawienie, administracja siedla nie miała podstaw do przedłużania terminu przejęcia kluczy i żądania ponownego zamontowania starych urządzeń. Za spowodowanie takiej sytuacji w stosunku do kierownika osiedla zastosowane zostały sankcje wynikające z regulaminu pracy.

3. Z powyższego wyciągnęliśmy odpowiednie wnioski i wyrażamy przekonanie, że podobny przypadek nie będzie miał już miejsca w żadnej administracji osiedlowej.

4. Dziękujemy jednocześnie redakcji, iż obok notatek krytycznych podaje również wiadomości o sprawnej i różnorodnej działalności naszej spółdzielni w zakresie zaspokajania potrzeb mieszkaniowych członków (m. in. informację o Domu Samotnych przy ulicy Tatrzańskiej).

Mgr STEFAN WYSZYŃSKI
(dyrektor)

PASJE

KONRAD TUROWSKI

SAMOCHÓD JEGO MARZEŃ

– Nawet najbardziej renomowane auta fabryczne nie są tak solidnie wykonane – z podziwem orzekli rzeczoznawcy samochodowi zezwalając na dopuszczenie do ruchu wehikułu **FRANCISZKA WOŹNIAKA.** Te słowa fachowców poczytał sobie za największy komplement. Były przecież wyrazem najwyższego uznania. Sprawiły mu ogromną radość, większą niż urzędowe stwierdzenie, że **„pojazd przedstawiony do oceny spełnia wymagane przepisami warunki bezpieczeństwa".**

Z dumą odbierał w wydziale komunikacji dowód rejestracyjny samochodu. Przyczepienie tablic z numerem **„04-24-IW"** było już tylko formalnym drobiazgiem, który ukoronował 10-letni trud...

Przypadek zrządził, że **Franciszka Woźniaka** spotkałem, gdy jeszcze budował swoje auto. Pewnego popołudnia jechałem z przyjacielem, który kupił używanego „Volkswagena". Chcieliśmy wypróbować na pustej przestrzeni lotniska na Lublinku możliwości „garbusa". Byliśmy na ul. Dubois, gdy silnik nagle przerwał. Auto potoczyło się jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanęło. Na próżno szukaliśmy przyczyn awarii. Mieliśmy już ręce usmarowane po łokcie, jak podszedł do nas mężczyzna w roboczym drelichu i zagadnął w sposób dość typowy dla podobnych okoliczności:

— Co, popsuł się?...

Przyjaciel natychmiast odparł z logiką nie zachęcającą do dalszej konwersacji:

— Jakby się nie popsuł to byśmy tu nie stali...

Ale obcy się nie zraził. Wolno obszedł dookoła „garbusa", dokładnie przyjrzał się silnikowi i skonstatował spokojnie:

— Karoseria stara, jeszcze od modelu „1100" ale silnik prawie nowy — „1300"...

Trafną uwagą wzbudził respekt. Przekonał, że nie jest zwykłym intruzem za jakiego go wzięliśmy w pierwszej chwili. Dał dowód znajomości tajników motoryzacji. Nie był gapiem upatrującym sensacji w cudzym niepowodzeniu. Mógł sensownie pomóc w kłopocie. Od słowa do słowa zawiązała się znajomość, której kamieniem węgielnym było wspólne „przedmuchanie" gaźnika i uruchomienie auta.

Okazało się, że „garbus" jakby umyślnie zatrzymał się tuż przed parterowym domkiem przy ul. Dubois 40. Właściciel posesji widział zza płotu jak się męczymy. Wyszedł pomóc. Wiodła go też ciekawość. Chciał obejrzeć silnik, porównać go ze swoim od „KDF" pierwowozoru „garbusów". Gdy się rozgadaliśmy zaprosił, by pokazać samochód, który budował własnymi rękoma.

Jak do sanktuarium prowadził do drewnianej szopy w końcu podwórza, obok murowanego budynku mieszkalnego. Kiedyś była to zawyczajna komórka, ale powiększył ją do wymiarów wygodnego warsztatu, wyposażył w okna i rozsuwane drzwi.

Wewnątrz uderzał przykładny porządek. Najwięcej miejsca zajmował rysujący się pod plandeką samochód. Gospodarz ściągnął brezent, odsłaniając całkiem pięknie prezentujące się auto sportowe z odkrytym dachem. Karoserja była już pomalowana lakierem w kolorze kremowym. Brakowało tylko foteli, by siąść za kierownicą i ruszyć na przejażdżkę. Silnik łatwo dał się zapalić, pracował rytmicznie...

Długo trwała opowieść konstruktora-amatora, który w prymitywnych warunkach sam zbudował wymarzony samochód. Oglądaliśmy drewniane formy zwane kopytami, widomy dowód nieprawdopodobnego wręcz mozołu. Gładko ociosane powierzchnie idealnie odpowiadały kształtom różnych fragmentów nadwozia. Na tych „kopytach" **Franciszek Woźniak** miesiącami wyklepywał blachę, którą okazyjnie udało mu się kupić w sklepie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Tuszynie. Nie była to typowa blacha karoseryjna, bo prawie dwukrotnie grubsza, przeznaczona na potrzeby wiejskich kowali. Wyklepywanie jej, było najtrudniejszym etapem budowy auta. Wymagało cierpliwości i finezyjnej dokładności. Miliony razy w nią uderzał, by nabrała właściwego kształtu błotnika czy obudowy reflektora. Wybrał młotek kilogramowy. Przekonał się, że cięższy wali zbyt mocno i uszkadza blachę, a lżejszy wydłuża czas trwania żmudnej roboty...

Wyklepane fragmenty nadwozia zespawał ze sobą „na styk" a nie „na zakładki" zwiększające podatność na korozję. Dokładnie więc dopasowywał krawędzie poszczególnych elementów. Milimetr po milimetrze wyrównywał brzegi. Nożyce do cięcia blachy okazały się nieprzydatne. Nie gwarantowały koniecznej precyzji. Zastąpił je pospolitym przecinakiem.

Całe tygodnie polerował powierzchnię papierem ściernym, nim pomalował ceglastą farbą antykorozyjną, a następnie polakierował trzy razy. Dopiero tak przygotowane pudło karoserii zamontował na ramie podwozia i przystąpił do końcowych prac...

Do mieszkania przez te 10 lat przychodził tylko spać. Dnie spędzał w swoim warsztacie. Nawet nie jadł śniadania w domu. Brał ze sobą. Jadł i patrzył na swój samochód, który stawał się coraz bardziej faktem...

Z początku żona próbowała przekonywać, że może lepiej będzie jeśli kupią gotowe auto.

— Takiego jak ja zrobię nie dostaniemy, bo nas nie stać — odpierał jej argumenty.

Dała mu spokój i tylko czasem zaglądała przynosząc jedzenie. Wiedziała, że od roboty przy samochodzie go nie oderwie. Bo jak coś postanowi to musi dopiąć celu, żeby nawet gromy biły!...

Mozolna praca zaowocowała rezultatami, jakich nie osiągają inni amatorzy — konstruktorzy pojazdów samochodowych. Z reguły śpieszno im do własnych „czterech kółek", wybierają więc drogę możliwie najkrótszą. Np. **Marian Kotlicki,** księgowy Aeroklubu Łódzkiego, do budowy swego samochodu, trzeciego z kolei, w znacznej mierze wykorzystał części złomowanych samolotów „Jak-18" i „Junak-3". Dzięki temu budował auto tylko 2,5 roku. Teraz zabrał się do budowy czwartego, które ma być kopią „Fiata 126p" ale z „wieczną" karoserią, bo wykonaną z poliestru i włókna szklanego nie podlegającego korozji. Elementów nadwozia nie wyklepuje z blachy, ale wykleja je na modelu w skali 1 : 1 wyciosanym w styropianie. Jeszcze prostsze i wymagające mniejszego wysiłku są takie „samy" jak konstrukcja **Józefa Siemarskiego** z Wolborza. Samochód, który jeździ z numerem rejestracyjnym **„FP-40-55"** zbudował wykorzystując starego „Volkswagena". By uniknąć wyklepywania blachy, wszystkie elementy, które w oryginale są łagodnie wymodelowane zastąpił płaszczyznami kanciasto załamanymi.

Franciszek Woźniak od początku miał ambicję, by jego samochód wyglądał jak prawdziwy, nie wyróżniał się w tłumie aut produkowanych fabrycznie. A jeżeli już ma zwracać uwagę, to najwyżej swoją wytworną sylwetką kabrioletu. Dlatego nie spieszył się zastępując wyspecjalizowane maszyny własnymi rękoma i najprostszymi narzędziami. Minęło aż dziesięć lat nim dopiął swego. Przyczepienie tablic rejestracyjnych zbiegło się z 54 rocznicą urodzin wytrwałego pasjonata...

* * *

Z zawodu jest stolarzem meblowym. W 1950 roku został rencistą. Mechaniczną piłą rżnął w poprzek deskę, gdy oderwała się zadra i zraniła mu oko. Tak poważnie, że lekarze musieli je wyjąć. Od tej pory całe dnie spędzał w domu. Trochę pomagał żonie w prowadzeniu domu i wychowywaniu czwórki dzieci. Pensja sprzedawczyni w sklepie spożywczym i renta inwalidzka z trudem starczały na utrzymanie rodziny. Zaczął trochę dorabiać wykorzystując swoje zdolności manualne i smykałkę do dłubania. Powiada, że z łatwością potrafi np. przerobić emaliowaną miskę na płat płaskiej blachy a później znów przywrócić jej poprzedni kształt. W czasie okupacji imał się ślusarstwa i kowalstwa. Wykonywał też mostki dentystyczne. Jak było trzeba nauczył się krawiectwa i gorseciarstwa; umie uszyć biustonosz.

Z motoryzacją zetknął się podczas wojny. Gdy tylko Łódź została wyzwolona zgłosił się do wojska. Jako kierowca „Willysa" w 5 Samodzielnym Batalionie Samochodowym dotarł do Głogowa. Otrzymał cztery medale wojenne.

— Prawie dwanaście lat miałem „Junaka" — mówi o historii swojej motoryzacyjnej pasji.

— Kupiłem go potłuczonego, po wypadku. Sam wyremontowałem tak, że nikt by go nie poznał. Jeździliśmy z żoną na wycieczki co niedzielę. Ona też bardzo lubi turystykę. Trwało to tak długo, aż „Junak" mnie porządnie zdenerwował. Bo nie raz się zdarzało, że wracaliśmy do domu przemoknięci do suchej nitki. Motocykl nie dawał przecież żadnej osłony przed deszczem. Sprzedałem go, gdy tylko nadarzyła się okazja kupienia za 8 tys. zł starego „KDF", jednego z tych co były na wyposażeniu Wermachtu. Jakoś przetrwał kilkadziesiat lat w całkiem niezłym stanie. Choć wyprodukowany został w 1943 roku i na pewno swoje przeszedł, to jeszcze był na chodzie. Zachowało się nawet miejsce do zamontowania karabinu maszynowego... I przez to właśnie żona nie chciała nim jeździć. Przypominał jej okupację. Do tego stopnia nie dawała mi spokoju, że wreszcie rozebrałem go na części. Kilka lat leżały w kącie podwórza. Aż pewnego dnia wpadła mi myśl, by niezły jeszcze silnik i solidne podwozie z ramą wykorzystać do budowy całkiem nowego samochodu...

Od tej pory **Franciszek Woźniak** nie mógł uwolnić się od idei skonstruowania pojazdu. Dręczyła go, jak natrętna mucha.

— Pan wie, ile nocy nie przespałem rozmyślając jak zbudować samochód? Oglądałem rozmaite czasopisma wszędzie wypatrując samochodów. Żaden mi się nie podobał dopóki nie natrafiłem na „Renault-Floride". To był wóz moich marzeń! Zachwyciłem się jego wspaniałą, jak na tamte czasy, opływową sylwetką, piękną tapicerką, rozsuwanym dachem... Postanowiłem, że taki samochód muszę sobie zbudować! Wtedy, 10 lat temu, to był chyba najwspanialszy wóz świata.... Myślałem, że już piękniejszych nigdy nie będzie. Zresztą, dla mnie takim został na zawsze...

Nie miał dokumentacji prócz pobieżnego opisu i rysunku w skali 1 : 25. Syn to znalazł w czasopiśmie „Młody Technik". Tyle musiało wystarczyć. Znajomym pokazywał zdjęcie oryginału wycięte z kolorowego tygodnika. Fotografię tylekroć oglądano, że już nie sposób ustalić gdzie ją wówczas zamieszczono. Dziś mało kto pamięta, że firma „Renault" w ogóle takie samochody produkowała. Nie wiadomo ile ich jeździło po polskich drogach, czy jeszcze jakiś egzemplarz się zachował? Dawno wyparły je nowocześniejsze auta...

* * *

Nazwał swój samochód **„Sam-Wo".** Ten skrót ma przypominać, że jest to samochód Woźniaka. Poza tym wykonał go na całkowite podobieństwo „Renault-Floride". Zrobił to tak doskonale, że trzeba fachowca, by zorientował się, że przednia szyba wzięta została od „Warszawy", tylna — od „Moskwicza-408", kolumna kierownicy—od „Skody 1000MB", przednie kierunkowskazy od „Stara", a tylne oraz reflektory od dawnego „Wartburga". Te akurat elementy najbardziej odpowiadały całej kompozycji auta, a sam ich wykonać nie mógł posługując się tylko młotkiem i przecinakiem.

W jakim stopniu **„Sam-Wo"** różni się od swego pierwowzoru jego właściciel nigdy nie miał okazji się przekonać. Ani razu bowiem nie spotkał prawdziwego samochodu „Renault-Floride". Ludzie opowiadali, że pewnie firma francuska zainteresuje się tym niezwykłym przypadkiem zbudowania w prymitywnych warunkach samochodu na wzór produkowanych przez nią kiedyś aut. Asumpt do takich pogłosek dała pewnie wizyta ekipy telewizyjnej, która sfilmowała niezwykły samochód nie szczędząc kolorowej taśmy. Kilkakrotnie nadawany reportaż filmowy minął jednak bez echa. Tyle tylko, że ktoś ze znajomych przyniósł mu stare zdjęcie „Renault-Floride", przypadkiem wykonane przed laty na Międzynarodowych Targach w Poznaniu. Zresztą, **Franciszek Woźniak** nigdy nie liczył na czyjąkolwiek pomoc, ani mu w głowie było zwracać się do bogatej i potężnej firmy „Renault"! Budował samochód dla siebie po to, by nim jeździć z żoną na wycieczki — a nie dla osiągnięcia korzyści czy rozgłosu. Nie poczuł się więc rozczarowany, że swoim przedsięwzięciem wzbudził zainteresowanie tylko najbliższych sąsiadów. Jedni mu życzliwie kibicowali podziwiając upór z jakim dąży do celu inni kręcili wymowne kółka na czole...

* * *

Kilka dni temu wstąpiłem do **Franciszka Woźniaka.** Ciekaw byłem jak służy mu **„Sam-Wo"**, czy spełnia dzięki niemu plany turystyczne?

Właściciel samochodu był w kiepskim nastroju.

— Niestety — usłyszałem na powitanie — **prawie wszystko muszę znów zaczynać od początku. Samochód jest rozbity!...**

Z przejęciem pokazywał pokancerowane nadwozie, niemal spłaszczone na placek.

— Całe szczęście — mówił — **że to taki mocny samochód. Gdyby blacha była cieńsza i wykonanie mniej solidne pewnie nie wyszlibyśmy z życiem ani ja, ani kolega, który siedział obok... ale niech pan patrzy, tu przy błotnikach, najlepiej widać, że blacha zdrowa, korozja jej nie tknęła. To dzięki dobremu spawaniu i zabezpieczeniu.**

13 grudnia jechał z Łodzi do Widawy. Wybrał się ze znajomym po indyki na święta. Miał już niemałe doświadczenia za kierownicą. Przejechał swoim **„Sam-Wo"** w sumie przeszło 20 tys. km. po całym kraju — od Bałtyku do Tatr. Stare opony wyrzucił i założył „Dunlopy". Świetnie się trzymały nawierzchni. Dawno też silnik od „KDF", który się często psuł, zastąpił prawie nowym silnikiem od „Volkswagena-1600". Nic więc dziwnego, że **„Sam-Wo"** łatwo rozwijał szybkość nawet w granicach 160 km. na godzinę wprawiając w szczere zdumienie kierowców wyprzedzanych na drodze „Fiatów 125 p" i innych samochodów. Nadziwić się nie mogli, że kabriolet w stylu retro, jakiego nigdy nie widzieli, z taką energią rwie do przodu. Żaden by pewnie nie uwierzył, że to dzieło domorosłego amatora. **„Sam-Wo"** był tak eleganckim autem, że nawet nowożeńcy jeździli nim do ślubu. Osiem par jechało już nim na czele orszaków weselnych...

Franciszek Woźniak nie jest przesądny, ale feralna trzynastka okazała się pechowa. Jeżeli nie dla niego, to na pewno dla samochodu. Byli już 5 km. od kresu podróży, gdy przy mijaniu traktora z doczepą zdążającego w przeciwnym kierunku, doszło do fatalnego wypadku. Kierowca auta za bardzo zjechał na prawą stronę asfaltowej szosy, koła trafiły na miękkie pobocze, zarzuciło gwałtownie samochodem obracając go w poprzek szosy. Nie mógł już opanować swego pojazdu. **„Sam-Wo"** wpadł na orne pole trzykrotnie koziołkując aż jego przód utknął w betonowej wykładzinie rowu melioracyjnego. W ciągu kilku sekund dziesięcioletni wysiłek zamienił się w kupę złomu, który z trudem udało się przyholować do Łodzi. Kierowca jeszcze musiał zapłacić mandat 200-złotowy za nieostrożną jazdę...

Pasażerowi nic się nie stało, ale **Franciszek Woźniak** tak był obolały, że prawie trzy tygodnie nie mógł wstać z łóżka. Gdy jednak tylko odzyskał siły, pierwsze kroki zaraz skierował do swego warsztatu. Jest zawzięty, nie daje losowi za wygraną.

— Blachę można wyklepać — mówi z zapałem — **bo jest zdrowa, jak dzwon. Na pewno za parę miesięcy znów będę jeździł.**

KAMIŃSKI

Kim był Kazimierz Kamiński? Był aktorem, urodził się w roku 1865. Leon Schiller napisał o nim: „Wszyscy jesteśmy z Kamińskiego. Wszystkim nam otworzył oczy". A Jan Lechoń tak mówił: „Był Kamiński największym aktorem polskim — a może nie tylko polskim".

A co wie o Kazimierzu Kamińskim przeciętny, polski miłośnik teatru? Nie wie nic. Po prostu aktor ten działał, gdy nie było telewizji; zmarł w roku 1928, gdy film był jeszcze na poły jarmarczną rozrywką... Nie przetrwała po nim kolorowa (zagraniczna) legenda, jaka była udziałem Heleny Modrzejewskiej. Coraz mniej ludzi, którzy pamiętają ze sceny Kazimierza Kamińskiego.

Wystawiono mu zatem piękny pomnik książką Zofii Jasińskiej (jest to zresztą praca doktorska) w serii „Żywoty" Państwowego Instytutu Wydawniczego. W serii tej dotychczas ukazały się monografie: „Żywot Osterwy" i „Żywot Modrzejewskiej". W planie są jeszcze m. in. sylwetki Ludwika Solskiego, Stefana Jaracza, Leona Schillera. Nowa piękna seria.

Zofia Jasińska „Żywot Kazimierza Kamińskiego", PIW, cena 70 zł.

MY, Z WARSZAWY

Olgierd Budrewicz powiada często, że podróżowanie po świecie jest jego profesją, a wędrówki po rodzinnym mieście — Warszawie — prywatnym hobby. Budrewicz opublikował kilka poczytnych i popularnych książek o świecie: „Równoleżnik zero", „Pozłacana dżungla", „Karnawał na wulkanie"... Jest autorem trzech tomów żartobliwego przewodnika po Warszawie „Baedeker warszawski", „Sagi warszawskie" i wiele innych warsawianów.

Od wielu lat pozostaje też wierny tematyce polonijnej. Z tego kręgu tematycznego wywodzą się takie książki jak „Spotkania z Polakami" czy „Orzeł na gwiaździstym sztandarze".

Olgierd Budrewicz od trzydziestu lat aktywnie działa jako reporter takich czasopism jak „Przekrój", „Stolica", „Polityka", „Perspektywy". Jest także współautorem głośnego filmu „Homo Varsoviensis". Wydana niedawno przez „Czytelnika" niewielka książeczka „My, z Warszawy" jest wyborem tekstów poświęconych naszej stolicy. Znajdą tu Czytelnicy kilkanaście portretów znanych i wybitnych warszawiaków oraz mini-baedeker warszawski od Starówki począwszy a na nazwach warszawskich ulic kończąc.

Olgierd Budrewicz „My, z Warszawy", Wyd. Czytelnik, cena 20 zł.

PORTRET WARSZAWIANKI

W znakomitej serii PIW „Biblioteka Syrenki" ukazała się nowa książka, jak zawsze w tym cyklu ciekawa i oryginalna. Tym razem w ponad 350-stronicowym tomie zebrano opowiadania znanych pisarzy przedstawiają różne ujęcia typu warszawianki w XIX wieku.

Od opisów skrzętnej, gospodarnej mieszczki w latach czterdziestych (A. Niewiarowski, A. Wieniarski), poprzez zaradne, energiczne dziewczęta z dobrych domów ale także i z półświatka (W. Wolski, J. S. Bogucki), aż do coraz bardziej wyemancypowanej warszawianki, jaką przedstawiają nowele Prusa, Gomulickiego, Sienkiewicza, Gawalewicza, Zapolskiej, Bliźińskiego.

Nowele i szkice wybrał, przygotował do druku, wstępem i posłowiem opatrzył Tomasz Jodełka-Burzecki znany krytyk literacki, autor wielu opracowań i antologii. Antologia „Syrena zawsze zwodnicza" jest bardzo ciekawym dokumentem literackim, choćby z tego względu, że zawiera utwory pisarzy dziś już zapomnianych lub znanych raczej jednostronnie. Jest tu na przykład nowela Włodzimierza Wolskiego, znanego powszechnie tylko z libretta do „Halki" Moniuszki, choć Wolski pisał sporo, także ciekawe powieści i nowele.

Niezależnie jednak od dokumentacyjnych walorów antologii jest to także świetna lektura — proza w „zwyczajnym starym stylu".

„Syrena zawsze zwodnicza". Portret warszawianki w XIX wieku Wyd. PIW, cena 55 zł.

SYBERIA

Syberia — nazwa nie potrzebująca żadnych wyjaśnień. Znana, można śmiało powiedzieć, wszystkim na całym świecie. Wiedzą o niej nie tylko ludzie, którzy tam byli, nie tylko uczeni, nie tylko publicyści — inni także, choćby z książek i z filmów. Syberia splotła się też z dziejami Polski i Polaków, zwłaszcza w półtorawiekowym okresie rozbiorów.

I zasłużyli się Polacy w badaniach Syberii, jej ludów i przyrody. Nie starczyłoby miejsca w tej informacyjnej nocie, żeby choć tylko wymienić ich nazwiska. Nic zatem dziwnego, że w blisko 600-stronicowym dziele Ludwika Bazylowa o Syberii, rozdział „Polacy w dziejach Syberii" jest tak obszerny.

Praca Bazylowa jest publikacją znakomitą. To po prostu zajmująco napisana encyklopedia tego ogromnego obszaru Kraju Rad. Oprócz opisu ziemi, ludzi i dziejów Syberii znajdziemy tu takie rozdziały jak „Pisarze rosyjscy i obcy o Syberii", „Wyprawy eksploracyjne" itp.

Cała książka natomiast dzieli się na rozdziały niejako geograficzne — Syberia Zachodnia, Środkowa, Wschodnia, Daleki Wschód... Ale nie tylko. Przecież Syberia to także Sachalin i Wyspy Kurylskie, Kraj Chabarowski, Jakucja, Bajkał czy Buriacka Republika Autonomiczna.

Tę wprost nieprawdopodobną, różnoraką wielość Syberii zamknął Ludwik Bazylow na blisko 600 stronach swojej znakomitej książki — encyklopedii. Wartość publikacji podnosi na dodatek bogaty serwis zdjęciowy dostarczony przez Agencję Prasową „Nowosti".

Ludwik Bazylow „Syberia", Wiedza Powszechna, cena 45 zł.

PISARZE KRAKOWSCY

Wydawnictwo Literackie opublikowało informator „Pisarze ziemi krakowskiej". Prezentuje on dorobek twórczy pisarzy krakowskich oraz zawiera krótkie noty biograficzne.

Tyle sama informacja o wydawnictwie. A teraz komentarz: każde większe środowisko literackie zadbało już dawno o podobne publikacje. Informatory ma Gdańsk i Opole, Zielona Góra i Poznań... W Łodzi był zamysł takiej publikacji, ale upadł z niewiadomych powodów przed paru laty. Wydano co prawda solidną „Rzecz poetycką — Środowisko", ale — jak tytuł wskazuje — dotyczy ona tylko poetów. Sytuację ratuje Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, która opublikowała dwa małe informatory, ale właściwie są to druki niejako wewnętrzne i o bardzo maleńkich nakładach.

Potrzeba solidnego i kompetentnego informatora nie powinna ulegać żadnym wątpliwościom. Jest to bowiem sprawa informacji na dziś i dokumentacji na przyszłość. Oczywiście w Łodzi taka publikacja powstała. Myślę o „Słowniku pisarzy łódzkich" drukowanym w „Odgłosach" w ciągu ubiegłego roku. Ale rocznik pisma, to jeszcze nie to samo co książka.

„Pisarze Ziemi Krakowskiej", Wyd. Literackie, cena 25 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

TEMAT: RAJCA

Brunon Rajca się obraził. Niestety to prawda. Krakowski felietonista podejrzewany przez nas o poczucie humoru nie „kupił" żartobliwej wyliczanki w „Odgłosach". Przypomnijmy, że żartowaliśmy sobie z felietonów Rajcy, których mniej więcej połowa składała się z litanii nazwisk. Jest to bowiem bardzo skuteczny sposób na zwiększenie popularności tekstów w różnych — w zależności od rodzaju nazwisk — środowiskach.

Sposób nie jest zresztą wcale kompromitujący, tylko po prostu bardzo stary i dziwne, skąd tak stary chwyt zna tak młody autor.

Nie znam oczywiście metryki Brunona Rajcy, ale myślę, że tylko młodzieńczo zadufany autor może na żartobliwą notkę odpowiedzieć tak: **„W Łodzi ukazuje się tygodnik „Odgłosy", który zajmuje się ostatnio moim talentem. Karcą mnie owe „Odgłosy", że nadużywam w felietonach drukowanych w „Życiu Literackim" nazwisk i przez to moja działalność jest podejrzana, bo tradycje tego gatunku są inne. Może trochę przedwczesny to gniew, gdyż nie mam zamiaru postponować nikogo z „Odgłosów". Czy w tej gazecie nie ma ż a d n e g o nazwiska? Szczerze żałuję, bo tracę było nie było t e m a t".**

Kiedy Rajca dorośnie, być może kiedyś na żart i zaczepkę odpowie, tak, jak to czyni w „Kulturze" Hamilton: **„Mencwel (...) napisał, że ja nie myślę. Po długim (dwuletnim) namyśle postanowiłem się przyznać. Tak: nie myślę. Domyślałem się tego od dawna, a teraz mam pewność: nie myślę. A ładnie to tak — nie myśleć? Brzydko. Ale czy felieton to ładny gatunek? Brzydki. A światopogląd felietonowy — ładny? Brzydki, bo płytki. Ano właśnie. Myślę, że nie myślę. Ale mnie jako felietoniście to robić (myśleć) właściwie nie wypada".**

Otóż to. Klasyk współczesnego felietonu reaguje na zaczepki kpiną i żartem. Brunon Rajca (dla mnie jak widać to n a z w i s k o jest t e m a t e m) natomiast intensywnie myśli.

Myśli zatem, że uprawia d z i a ł a l n o ś ć zamiast pisać felietony. Myśli, że ktoś go o coś podejrzewa zamiast rozumieć, że to żart. Myśli, że ktoś go karci...

Ot, dwie szkoły, dwie klasy, choć to samo pokolenie.

A propos pokolenie. W krakowskim „Studencie" znalazłem notkę pt. „Gucia z Krakowa", w której przedstawiciele najmłodszego pokolenia dziennikarskiego piszą o Brunonie Rajcy: **„Znamy taki witz o czymś bardzo rajcownym i o okręcie. Jak to coś przyczepiło się go i wrzeszczało, że płynie. Witz niezbyt może pryncypialny, ale i w przypadku rozmaitych doniesień, anonsów i opinii pryncypialność polega na czym innym — na byciu człowiekiem co nieco dojrzałym, co nieco myślącym i co nieco odpowiedzialnym".**

A te gromkie słowa dlatego, że — jak pisze „Student": **„Brunon Rajca bawi się w wypisywanie pod naszym adresem rozmaitych „dowcipnych" uwag, aluzji i komentarzy".**

No i proszę! Młodsi od Rajcy obrazili się na niego jeszcze bardziej niż Rajca na „Odgłosy". Widać poczucie humoru przychodzi z wiekiem a pryncypialność z wiekiem umyka.

Teraz tylko czekam na najnowszy numer pisemka „Miś". Jeśli tam zaatakują Brunona Rajcę, nie będzie to kulturalna analogia do gówna, które się przyczepiło okrętu, ale wołanie o topór kata.

Tak oto Brunon Rajca stał się t e m a t e m ogólnopolskim. W tym felietonie nazwisko mojego znakomitego kolegi po piórze padło jedenaście razy.

No i na zdrowie. Brunon Rajca wart jest tego. Nie za pryncypialność, nie za poczucie humoru. Za m e t o d ę.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ZADUMA NAD SPODNIAMI

W swym „Pamiętniku współczesnym" w „Kulturze" utyskuje Małachowski na „niedzielność", panoszącą się jako styl zachowań, strojów i języka tak zwanych szerokich mas. Sadzenie się na dobór wyszukanych słów, nawet wypowiadanie ich specyficznym, nienaturalnym akcentem, mającym chyba naśladować spikerską — pożal się Boże — fonogeniczność — oto zjawisko, z którym ciągle spotykamy się na zebraniach, na telewizyjnych ekranach, w radiowych wywiadach a nawet u szwagra na imieninach. To pretensjonalne ściśnięcie jak w gorsecie, to sznurowanie ust, napięte dążenie do wywarcia wrażenia na słuchaczach — przeciwstawia Małachowski lekkości, swobodzie, naturalności gestów i słów. Słusznie, nas też wkurza wtrącanie co chwilę słówka „oczywiście" choć nie ma ono w danym kontekście żadnego sensu, i śmieszy nas gardłowe coś takiego między „e" i „a", że nie wiadomo, czy to „powiem", czy „pawiem". Tylko że do worka ze słusznościami chciałby felietonista „Kultury" wrzucić coś, co nie chce się tam zmieścić i może nie byłoby dobrze, gdyby się zmieściło.

„Wystarczy pójść do byle teatru w powszedni dzień i zobaczyć te stroje, uroczyste jak na pogrzeb albo wręczanie orderów" — pisze Małachowski — „Wystarczy oglądnąć w jakąś sobotę kilkadziesiąt seryjnych warszawskich ślubów wysztafirowanych na wysoki połysk, kosztownych, jedwabno-nylonowo-krepowych, zakończonych kolorowymi zdjęciami u fotografa — wystarczy tego, by popaść w głęboką zadumę". Tę zadumę pisarza mamy rozumieć oczywiście jako zadumę nad strasznomieszczańską głupotą ludzi, którzy do byle teatru ubierają się jak po order, a ślub biorą w kosztownych jedwabiach i krepach. Z czego dalej wynika, że uroczysty strój można od biedy tolerować przy wręczaniu orderów, a już w żadnym razie na warszawskim seryjnym ślubie, choćby był ślubem własnym.

A co wkładać na ślub — dżinsy i trampki? Rozpiąć koszulę i podwinąć do góry, bo gorąco? Dżinsy w teatrze, na ulicy, przy pracy, przy kiosku i na balu? Niedzielne „ściśnięcie" jest sztuczne i pretensjonalne, ale czy poza ściśnięciem nie istnieją już żadne możliwości różnicowania stroju zależnie od okoliczności, po to, żeby te okoliczności wzbogacić uczcić, podkreślić?

Nie chciałbym, żeby mi w eleganckim lokalu podawał do stołu kelner w dżinsach i żeby klarneciście w zespole świecił się spocony biust w rozchełstanej koszuli. Seryjnych warszawskich ślubów udziela pan w czarnym smokingu, chociaż to dla niego nie jest wielkie święto, tylko dla jego klientów. To oni pójdą się fotografować i nie wiem, dlaczego mamy wyszydzać takie ślubne fotografie, dlaczego wykpiwać potrzebę uwznioślania przełomowych momentów życia. Czy lepiej je bagatelizować, sprowadzać wszystko do nieważności, nonszalancji, lipy i mowy-trawy?

Za dużo u nas świąteczności na co dzień, bez żadnych powodów. Panie do pracy przychodzą jak na bal, nigdzie na świecie nie widzi się na ulicach takiej rewii mody, jak w naszych miastach. To jest głupie, to ośmieszajmy. Ale też wszędzie na świecie zobaczycie w teatrach odświętnie ubrany tłum (no, może nie wszędzie, nie znam Ameryki ani kontestacyjnego zachodu Paryżów i Londynów), w Lipsku i w Pradze nie zobaczycie w operze kozaczków i sweterków, jak — z przekory, bo nie z braku bucików i bluzek — u nas. Ślub w dżinsach może mieć w szczególnych wypadkach specyficzny wdzięk, ale ja nie mówię o ludziach, których zawodem jest wdzięk, tylko o masach normalnych śmiertelników.

Jeżeli na wielkim karnawałowym balu zobaczę pana w smokingu, a obok drugiego w beżowej marynarce i czerwonym golfie, to wiem na pewno, że to nie zwycięstwo demokracji pozwoliło uczestniczyć w imprezie komuś, kogo nie stać na strój wieczorowy; wiem na pewno, że to ten drugi pan jest nabitym forsą badylarzem albo bawiącym się członkiem zespołu bitowego, który ma w nosie wszystko, bo jest lepszy przy płaceniu. I cały bal, który miał być czymś wyjątkowym, zasługującym na wyjątkowe przygotowanie się, ulega od razu odwartościowaniu, staje się jeszcze jedną okazyjną potańcówą.

Cenimy swobodę bycia tak samo jak felietonista „Kultury". Cenimy ludzi, którzy swobodni są w dżinsach i w garniturze i w kąpielowych slipach. Którzy odróżniają ślub od zawodów piłkarskich, pracę od spaceru, ulicę od „byle teatru". Którzy umieją i chcą i lubią te różnice podkreślać, a tym samym smakować uroki świata. Krótko: żyć lepiej.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

MAŁA PSZCZOŁA i ZAPAŁKI

Zapałki nosi się w kieszeni, albo trzyma się na jakiejś półeczce przy gazowej kuchni. Zapala się nimi papierosa lub gaz i odkłada się je na miejsce: do kieszeni lub na ich miejsce przy gazowej kuchence. Zapałkom się nie przygląda. Jak sama nazwa wskazuje służą one do zapalania a nie do oglądania. Wprawdzie w komisie można czasem kupić zapałki, na pudełeczku których młoda osoba — najczęściej Japonka — raz jest w negliżu raz bez. Wszystko zależy od punktu widzenia. Patrzysz na pudełeczko pod jednym kątem — panienka jest ubrana. Patrzysz pod innym — gola. Jednakże cena takich zapałek jest niewspółmierna do przyjemności. Zmieniając kąt patrzenia można panienkę z pudełka zapałek rozebrać kilka razy. Na dłuższą metę taka zabawa staje się nudna.

Nasze zapałki służą przede wszystkim do zapalania, choć z tym zapalaniem różnie bywa. Dość często nie udaje się zapalenie zapałki, a czasem zdarzy się znaleźć w pudełku zapałkę zupełnie bez łepka czyli taką, którą do niczego nie służy i tylko udaje zapałkę. Ludzie zbytnio zaabsorbowani różnymi sprawami nie mają czasu oglądać zapałek, ani też pudełek, które te zapałki kryją. Czynność zapalania wykonują mechanicznie. Wystarczy jednak chwila przerwy w normalnym toku zajęć, aby nagle pudełko zapałek stało się... problemem.

Przyszła i na mnie taka chwila. Przyjrzałem się uważnie naklejce. Napis brzmiał: **„Pszczoła owadem pożytecznym".** Rysunek przedstawiał fragment pszczelego plastra. W jednej komórce była pszczółka, w drugiej słoik z napisem: **„MIÓD"**, w trzeciej znów pszczółka. Taką nalepkę wymyśliły **ZPZ Bystrzyca.** Przyglądałem się nalepce pod różnymi kątami, ale nic nie chciało się zmienić. Dwie biedne pszczółki nadal siedziały w plastrowych komórkach, a w trzeciej był słoik z miodem.

Bardzo dawno temu, kiedy byłem młodym człowiekiem, zbierałem znaczki pocztowe. Taka była moda. Znaczki trzeba było zbierać, pokazywać je kolegom i wymieniać dublety na inne. Próbowałem później robić to samo, tłumacząc to znakomitą „lokatą kapitału", ale nie wyszło. Zabrakło czasu. Wiem, że niektórzy dorośli ludzie zbierają znaczki, a nawet zdarzyło mi się spotkać z teorią, która głosi, że filatelistyka zawiera w sobie wielkie walory poznawcze i wychowawcze. Nie przeczę, ale zupełnie nie wiem, co zawiera w sobie filumenistyka, czyli zbieranie naklejek od pudełek z zapałkami? Być może — jak każde hobby — jest zajęciem pożytecznym. Jaki jednak może być pożytek z naklejki, o której tu piszę?

Postanowiłem zapuścić sondę i pierwszym spotkanym znajomym zadałem pytanie: **Co możesz powiedzieć o rysunku widniejącym na tym pudełku od zapałek?**

Iwona S.: **— Jest to schemat reakcji łańcuchowej. Z pszczoły powstaje miód.**

Konrad T.: **— Głupie to jest. Nie masz większych zmartwień.**

Lalka W.: **— Jest to stara prawda, przeciw której nie myślę występować.**

Bogda M.: **— Jedz miód a będziesz zdrowszy!**

Jerzy Rz.: **— Jest to dowcip, którego ja nie rozumiem.**

I Jerzy Rz. wyciągnął swoją paczkę zapałek.

— Oto jest najlepsza etykieta — powiedział.

Na pudełku zapałek widniał tylko napis: **„ZAPAŁKI".** Producent: **ZPZ Sianów.**

— Nie ma tu żadnego dowcipu.

Ale Jerzy K., który się temu przyglądał, popatrzył na moje zapałki i powiedział:

— Nie ma w tym nic dziwnego. Pszczoły dają miód. To wszystko. Ja mam natomiast pudełko zapałek, na których rysunek może budzić pornograficzne skojarzenia.

I pokazał sianoskie zapałki z wielkim czerwonym kołem i gigantyczną zapałką na jego tle.

Włodzio P. był lakoniczny. Popatrzył i powiedział:

— Z dużej pszczoły mały miód.

Istotnie wielkość narysowanych pszczół odpowiadała wielkości słoika z miodem.

Były już zapałki z napisem: **„Dziecko + zapałki = pożar".** Pudełka od zapałek wzywały do walki ze stonką. Informowały, że na **„J"** jest **Jeż.** Doskonale rozumiem, że coś na tym pudełku musi być. Możliwe, że tak trzeba, aby coraz to inna seria miała inne etykietki na pudełkach. Dla filumenistów pożytek to niewątpliwy. Produkowane w ogromnych ilościach zapałki mogą też spełniać pewne funkcje propagandowe, popularyzując takie lub inne hasła. Ale czy nie byłoby znacznie prościej, gdyby każda z zapałczanych fabryk posiadała jedną, ładną i charakterystyczną dla siebie etykietę? To też miałoby funkcję wychowawczą, gdyż każdy korzystający z zapałek wiedziałby, że Sianów robi dobre zapałki, a Bystrzyca złe, albo odwrotnie.

Jeśli jednak już etykiety muszą być różnorodne, to chciałbym prosić tylko o to, aby były one ładne. Troska o coraz to wyższą jakość nie może ominąć ani samych zapałek, ani pudełek, do których się je wkłada.

MARCIN RODAK

SPORT

SPRZECZNOSC UROJONA

Mechanizm tego zjawiska jest następujący. Najpierw jest niepowodzenie w którejś ze sportowych dyscyplin. Gdzieś na międzynarodowej arenie dostajemy tęgie lanie. Zaraz po tym zaczyna się rozdzieranie szat, czyli wielka dyskusja o naszych brakach i niedostatkach. Potem następuje krótka przerwa i zamiast wyników analizy, którą miano przeprowadzić i o których przyrzekano powiadomić opinię publiczną, następuje łomot felietonistów. Licytacja, kto był lepszy, kto wcześniej widział zło i kto ma prawo do krytyki, a kto nie.

Wszyscy są w zasadzie zgodni, że sport należy do sfery zjawisk społecznych, a więc podlega również społecznej ocenie. Ponieważ jednak rezultaty działalności sportowej wyrażają się w widowisku, jakim są zawody, najczęściej z pola widzenia umykają przyczyny, a dyskutuje się o skutkach. Kibice mogą machać lekceważąco ręką, gwizdać i krzyczeć: „PATAŁACHY!". Ludzie podejmujący się pisać o sporcie powinni zapomnieć o emocjach widowiska i dogrzebać się przyczyn niepowodzenia. I wielu tak czyni. Ale to się nie wszystkim podoba.

W jednej z gazet sportowych ukazał się felieton, w którym autor podpisany tylko inicjałami żali się, że „kibice domagają się przede wszystkim informacji: nazwisk, wyników, punktów, rekordów". Ubolewa, że „przepadają za pikantnymi szczegółikami", że inne publikacje spotykają się „ze znacznie mniejszym zainteresowaniem". Felietonista ten twierdzi, że „w ostatnich latach żadna publikacja o sporcie nie stała się bestsellerem".

Przyznaję, że stwierdzenia te czytałam z lekkim zdziwieniem. Ostatnio bowiem ukazało się na półkach księgarskich sporo publikacji o sporcie. Ukazało się i zniknęło. Na przykład: książka Kazimierza Górskiego „Z ławki trenera". „W blasku złotej Nike" ma już drugie wydanie. „Gra o medal" była sprzedawana spod lady. Nawet dość specjalistyczna książka Bogdana Tuszyńskiego „Sprintem przez prasę sportową" długo nie leżała. Inna rzecz, że te książki mają niewielkie nakłady i że mało się o nich pisze. Ale to może i lepiej. Wszyscy znamy dobrze tytuły książek, o których wiele się pisze i mówi, a które po kilku latach można znaleźć w wyprzedaży lub jako nagrody pocieszenia w książkowej loterii.

Kibic podobno lubi informacje, tabelki, wyniki i rekordy. Trudno byłoby oceniać rywalizację sportową tylko ze względu na krój dresów, czy kolor koszulek. Gdyby tak postępowano, to nasi sportowcy przywieźliby z Innsbrucka same olimpijskie tytuły. Podawanie wyników jest niezbędne i aż dziw bierze, że blada nad tym felietonista sportowej gazety. A czy kibic zadowala się tylko tym? Oto, jak podaje B. Tuszyński we wspomnianej już książce, tygodnik „Sportowiec" który nie publikuje tabelek i zestawień, wychodzi w nakładzie 130 tys. egzemplarzy. Katowicki „Sport", też nie tylko tabelki drukujący, ma nakład 210 tysięcy egzemplarzy. „Przegląd Sportowy — tyleż samo. A przecież „Przegląd Sportowy" też nie tylko tabelki drukuje. Skąd więc ten żal? Skąd te dziwaczne pretensje do kibica?

Autor sam nam to zresztą wyjaśnia. Jego zdaniem: „Wysiłek ludzi żyjących dla sportu i ze sportu nie jest doceniany przez odbiorców". I dalej tłumaczy: „Taka sytuacja pociąga uboczne skutki. Za publicystykę sportową biorą się często autorzy przypadkowi". Powraca stary refren, że na sporcie zna się każdy, „podobnie jak na piosence, telewizji i kobietach". Należałoby do tego rejestru dodać jeszcze medycynę, gospodarkę, film i wychowanie wraz z nauczaniem. Ale nie zaciemniajmy obrazu.

Wszystkie dyskusje o sporcie sprowadzają się w gruncie rzeczy do tego samego: do pytania, kto o sporcie może pisać, a kto nie? Wprawdzie do pisania o sporcie nie są potrzebne ani „patenty i licencje", ani też członkostwo Klubu Dziennikarzy Sportowych, ale wara od sportu „ludziom przypadkowym". Ci „przypadkowi" mogą sobie pisać o fabrykach, skomplikowanych zjawiskach społecznych i gospodarczych, o sztuce, kulturze i polityce. O sporcie „bez kwalifikacji ani rusz".

Miałam już okazję napisać przy podobnej dyskusji, że do pisania o jakimkolwiek zjawisku społecznym, politycznym i gospodarczym niezbędna jest znajomość przedmiotu. Pisanie o wielkiej, nowoczesnej fabryce, która jest organizmem stokrotnie bardziej skomplikowanym niż kilka dyscyplin sportowych razem wziętych, wymaga równie solidnego przygotowania jak pisanie o społecznych zjawiskach w sporcie. Nie przeczy to postulatowi specjalizacji wśród dziennikarzy. Czasem jednak dobrze jest, jeśli do zastałego krwiobiegu publicystyki sportowej wejdzie trochę świeżej krwi, jeśli dotrze spojrzenie z boku, inne, nie tak zrutynizowane, jeśli głos zabierają ludzie nie tkwiący w układach. Problematyka sportowa powinna bowiem znajdować się w sferze zainteresowań dziennikarzy zajmujących się problematyką społeczną.

Gorzkie żale sportowego felietonisty z pewnego sportowego dziennika wynikają z ogólnie panującej tendencji. Zwykliśmy o wszystkim niemal pisać „fajno jest", „jest dobrze", a potem gdy coś gdzieś się zawali, zatknie i przyhamuje, wszyscy okazuje się byli mądrzy, wszyscy wszystko wiedzieli, tylko jacyś mityczni „oni" nie pozwalali im o tym pisać. Bardzo to szkodliwy, bo urojony mit.

A kibicom już się wydawało, że po niepowodzeniach w Innsbrucku dojdzie do rzeczowej analizy. Doszło do połajanek. W połajankach ginie istota sprawy. Szkoda.

BOGDA MADEJ

HOBBY

ADAM LEWASZKIEWICZ

PERFIDNY TESTAMENT MILIONERA

1. O TYM, ŻE MODA DYKTUJE NIE TYLKO JAK SIĘ UBRAĆ, ALE TAKŻE CO KOLEKCJONOWAĆ

Ludzie kolekcjonują różne przedmioty. Podobno hobbystą jest co 10 Polak a co 50 ma już zbiór, który można eksponować. Każda kolekcja nie tylko białej lub palnej broni, monet czy zegarów, ale nawet etykiet zapałczanych ma swą wartość. Gdy zwiększa się liczba zainteresowanych daną dziedziną, tym kolekcja, nawet ta „za grosik", nabiera wartości, a cena okazów rośnie. Kiedyś na przykład niewielu było kolekcjonerów białej i palnej broni — szabla z wytwórni Borowskiego kosztowała wtedy od 800 do 1200 zł a pistolet skałkowy co najwyżej 2500 zł. Dziś liczba ludzi zbierających militaria zwiększyła się o tysiące — pociągnęło to za sobą wzrost cen starej broni.

A gdy pewne okazy zbiera tylko jeden człowiek, czy wtedy ta kolekcja jest bez wartości, czy też bezcenna?

To brzmi niewiarygodnie ale moda rządzi również zbieractwem. To co dziś namiętnie kolekcjonują setki ludzi — dawniej było w pogardzie. I te dziedziny zbieractwa, które kiedyś były powszechne — dziś są zapomniane. Nie przywróciła ich nawet moda na retro.

Przed półwieczem nagminnie zbierano znaczki dobroczynne i fiskalne czyli skarbowe. Potem liczba zbierających kurczyła się. W kilka lat po wojnie było w Polsce tylko ośmiu znanych kolekcjonerów znaczków fiskalnych — dziś został tylko jeden. Ostatni. I kto wie, czy pozostałby wierny tej pasji, oparł się modzie, gdyby nie hobbista południowoamerykański i do tego milioner.

2. MILIONER WKRACZA NA SCENĘ I O KATALOGACH DLA ZBIERACZY, ALE PRZED TYM PLAJTUJE FRANCUZ FORBIN.

Hobby czy kolekcjonerstwo, to dla jednych rozrywka dla innych gałąź handlu lub przemysłu, na której nieźle można zarobić. Zwietrzywszy modę obrotni ludzie interesu wydają albumy dla zbieraczy pocztówek, banknotów, monet, klasery do znaczków, finansują publikacje dla hobbystów lub wydawnictwa i katalogi. I to nie od dziś. Czy wiecie, że już w 1890 r., w Lipsku wydawca Sent (który później zaczął się specjalizować w katalogach filatelistycznych) wydał aż 488-stronicowy katalog pocztówek pt. „Podręcznik dla zbieraczy pocztówek".

W wielu państwach wyspecjalizowane firmy takie jak Sent, wydają katalogi znaczków pocztowych. Dla ułatwienia niektóre tego typu wydawnictwa zaopatrywane są w dodatki np. znaczków dobroczynnych lub znaczków skarbowych.

Ostatnie wydanie światowego katalogu znaczków niefilatelistycznych a dokładniej fiskalnych („Cacaloque prix courant de Timbres Fiscaux") miało miejsce w 1915 r. Wydawca Francuz A. Forbin nie dorobił się majątku — choć pamiętamy podówczas znaczki te zbierano powszechnie — a wprost przeciwnie zrobił plajtę.

Od tego czasu nikt nie porwał się na publikacje w której opisanoby wszystkie na świecie znaczki skarbowe przyklejone do podań o zezwolenie na: odstrzał zwierzyny, uzyskanie zezwolenia na zorganizowanie publicznej zabawy, uzyskanie paszportu lub dowodu, lub też pobieranych przy ślubie, urodzinach dziecka, wydawaniu zaświadczeń o posiadaniu mienia, uboju, opłat sądowych, itp. itp.

Tuż po wojnie pewien południowoamerykański milioner postanowił wydaniem światowego katalogu znaczków fiskalnych zaskarbić sobie pamięć, jeżeli nie całej ludzkości to lepszej jej połowy — hobbystów. Próżno odwodzono go od tego pomysłu, nadaremnie wyliczano, iż wydanie takiego wielotomowego katalogu kosztowałoby go minimum od 50 do 150 tys. dolarów. Milioner ku zmartwieniu spadkobierców uparł się, że sfinansuje takie deficytowe przedsięwzięcie pod warunkiem, że na każdym woluminie wielotomowego wydania tego katalogu umieszczone zostanie jego nazwisko i notatka, iż uczyniono to z jego fundacji. A także o ile związki kolekcjonerów zainteresowanych państw dostarczą spis i reprodukcje wydanych w swych krajach tego typu znaczków.

Któż by nie skorzystał z takiej okazji. W wielu krajach zaczęto na gwałt uzupełniać wydane już katalogi. W trakcie kompletowania materiału do publikacji wyszło na jaw, że tylko dwa kraje Polska i Afganistan nie mają opracowanych katalogów. W Afganistanie sprawa jest o tyle skomplikowana, że każdy, kto posiada dowolną ilość ziemi nawet 4 m kw. na targowisku ma prawo wydawania znaczka fiskalnego choćby w rodzaju ostemplowanego sygnetem kawałka papieru.

Komisja Badawcza **Polskiego Związku Filatelistycznego** otrzymawszy propozycję umieszczenia polskich znaczków skarbowych w światowym katalogu, poleciła kilku zbieraczom przeprowadzić badania. Wzięli się raźno do pracy. Im jednak bardziej wgryzali się w temat — tym stawał się rozleglejszy. W końcu doliczyli się, że wydano w Polsce aż 200 tysięcy (!) tego typu znaczków. Ogrom pracy, dziewiczy temat zniechęcał. W końcu po odszukaniu przez polskich kolekcjonerów kilkuset znaczków, ich opisaniu — nadeszła wieść niobowa — zmarł hobbysta — milioner, jedyny wydawca światowego katalogu a z nim odeszła nadzieja na tego typu publikacje.

Na placu boju pozostał tylko jeden, ostatni kolekcjoner łodzianin dnż. **CZESŁAW DANOWSKI,** który społecznie kontynuuje rozpoczętą pracę.

3. KLAUZULA W TESTAMENCIE MILIONERA I O NIEZWYKŁYCH HISTORIACH ZWYKŁEGO SKARBOWEGO ZNACZKA

Inż. Czesława Danowskiego zafascynował temat. I ma ten zbieracz coś z Don Kichota, bo przecież kolekcjonuje to, co nie ma wartości ani rynkowej, ani katalogowej — jak sam mówi zbiera to co inni wyrzucają na śmieci. Trzeba tego ostatniego w Polsce zbieracza znaczków fiskalnych szanować za to, że nie przeraził się ogromu pracy. Z 200 tys. wydanych w kraju znaczków zebrał już i opisał do tej pory ponad 4500.

Dlaczego jest u nas tak dużo tego typu znaczków? Po prostu dlatego, że do 1952 r. wydawać je mogła każda gmina i każde miasto i miasteczko.

Inż. Cz. Danowski ciągle odkrywa nowe znaczki i wpada na niezwykłe ich historie.

Przed wojną znaczki skarbowe sprzedawano w trafikach. Każdy mógł wymienić znaczek skarbowy na pieniądze, a od kioskarza znaczki odkupowało miasto lub później państwo. Cóż za pole do popisu dla fałszerzy. Nic więc dziwnego, że znaczki skarbowe fałszowano, a centrala mieściła się za granicą w Wiedniu i Paryżu. Co dziwniejsze, podrobione znaczki sprzedawano w łódzkim kosku i to nie byle jakim, bo... sądowym. Wiele akt notarialnych weksli uwierzytelnianych w notariacie ofrankowano wtedy fałszywymi znaczkami. O tej historii głośno było w Łodzi w 1932 r.

Wiele znaczków w ogóle z różnych przyczyn nie weszło do obiegu np. znaczek opłaty sądowej z 1924 r. za 25.000 marek polskich. Inflacja była wówczas szybszą niż okres druku znaczków.

W 1952 r. wprowadzono ogólnopolską serię znaczków skarbowych. Te serie zmienia się co jakiś czas. Akta gminne — są aktami krótkiej archiwizacji (5 lat). W 1957 r. upływał okres ich zniszczenia. Na całe szczęście dla ostatniego zbieracza wiele gmin nie miało pieniędzy na zniszczenie akt i można je spenetrować jeszcze dziś.

Większość łódzkich znaczków poszła z dymem lub na przemiał. Ówczesny kierownik pewnej archiwalnej placówki zażądał od zbieracza 20 zł za odbitkę fotograficzną. Inż. Danowski skalkulował — wydano w Polsce 200 tys. znaczków, gdybym za każdą odbitkę miał płacić 20 zł, do społecznej pracy dołożyłbym — bagatela „tylko" 4 miliony złotych.

A prócz dobrych chęci, pasji i dociekliwości miał do zaoferowania tylko własny, wolny po pracy zawodowej czas. To było za mało temu kierownikowi. Akta ze znaczkami oblano benzyną i spalono.

Trzeba być ogromnie życzliwym — by zrozumieć czyjąś pasję. Stary sądowy woźny **Jan Sochański** z Piotrkowa Tryb. i z miłości do rodzinnego miasta, i zwykłej ludzkiej życzliwości wiele niedziel rozpruwał wraz z inżynierem bele akt sądowych przeznaczonych na makulaturę — szukając skarbowych marek, a jedyną jego zapłatą była radość ze znalezienia **najstarszego w Piotrkowie Tryb. znaczka fiskalnego z 1880 r.** Dzięki temu — jego rodzinne miasto jest jedynym w kraju, które ma pełną w tym zakresie dokumentację...

Choć minęły lata od śmierci południowoamerykańskiego milionera-hobbysty niespodziewanie ożyła sprawa publikacji katalogu. Ku ogólnemu zaskoczeniu o wydanie ubiegają się... spadkobiercy. Nie bezinteresownie. Ów milioner uwarunkował bowiem wypłacenie znacznej części spadku od wydania katalogu. Spadkobiercy stają więc na głowie, aby publikacja doszła do skutku — innymi słowy czynią wszystko, by mogli się dobrać do reszty gotówki leżącej w szwajcarskim banku.

4. NAJ... NAJ... NAJ..., CZYLI O TYM JAK HISTORIA OSTEMPLOWAŁA ZNACZKI

Najstarsze na świecie znaczki opłat skarbowych a raczej coś w ich rodzaju, ukazały się około 1820 r. czyli wcześniej o 20 lat niż marki pocztowe. **Najstarszy polski znaczek wydał Magistrat miasta Łodzi w 1860 r.** A jak pobierano wcześniej opłaty przy wnoszeniu podań, odwołań itp? Bardzo pomysłowo. Pisma trzeba było przedkładać w urzędzie na papierze. Inny rodzaj papieru przeznaczony był np. na wnoszenie próśb o wydanie paszportu, jeszcze inny na wpisanie na listę adwokatów itp. Na czerpanym papierze w znaku wodnym wypisana była opłata w kopiejkach lub rublach.

A jeszcze dawniej np. w Rosji za panowania Piotra I każdy kto chciał nosić brodę musiał uiścić opłatę, otrzymując metalowy znaczek upoważniający go do noszenia brody.

Ktoś — kto w ogóle nie interesuje się zbieractwem może zapytać: — Jaki jest sens i potrzeba zbierania tego typu znaczków, opisywania, systematyzowania, a potem publikowania katalogu?

Mógłbym odpowiedzieć i będzie to prawdą? — jest to wycinek obyczajowości. Mógłbym udowodnić, że te badania przydadzą się prawnikom i historykom. Mógłbym także przekonać, że są świadectwem naszej historii, że służyły także w walce i sabotażu, że m. in. do 1942 r. w Łodzi zwanej wówczas Litzmannstadtem wprowadzono je do obiegu sabotując wydanie znaczków niemieckich, by mówił polski napis.

Ale powiem inaczej — te znaczki przywracają życie prawdzie tak powszechnej, że słowa, które o niej mówię stały się sloganami. Wprowadzany do obiegu w niemieckich urzędach znaczek z polskim napisem i herbem miasta, wycofany dopiero w 1942 r. wskutek interwencji gestapo — dowodzi raz jeszcze, że walka z okupantem toczyła się wszędzie.

Albo znaczek kwestarsko-fiskalny **„Łódź — Warszawie"** — nadaje łódzką barwę hasłu z lat pięćdziesiątych **„Cały naród buduje stolicę".**

Znaczki mówią również o sytuacji gospodarczej kraju, o stanie oświaty, opieki nad dziećmi. Popatrzcie tylko na reprodukcje nielicznych spośród tysięcy przedwojennych łódzkich znaczków kwestarskich.

Najlepiej widzi się przeobrażenie miast — a szczególnie Łodzi, gdy patrzy się na stare przedwojenne lub wydane tuż po wojnie pocztówki.

Dzisiejsza młodzież zna głód tylko z opowiadań, a spotyka się z nim tylko oglądając wojenne kartki żywnościowe. Zbliżanie historii, uczenia się jej z pocztówek, znaczków, kartek żywnościowych jest wielką, czasem nie docenianą siłą modnego dziś zjawiska — rozkwitu hobby. To zjawisko mówi również o dzisiejszej sytuacji gospodarczej kraju — głodni, zmęczeni, ubodzy nie są zbieraczami — hobby, masowe zbieractwo jest charakterystycznym zjawiskiem krajów bogatych.

I to wszystko lub wiele z tego odczytać można ze światowego katalogu znaczków fiskalnych — hobbysta we Francji, Anglii, Hiszpanii czy Indonezji. I będzie to zasługą w dużej mierze łódzkiego, ostatniego kolekcjonera inżyniera **Czesława Danowskiego.**

RECENZJE

BOGDAN MAZAN

Enklawy Łodzi i REGIONU

Przygotowany przez Wydawnictwo Łódzkie zbiór Andrzeja Makowieckiego „Enklawa przy ulicy Wschodniej" zapowiada w pierwszej chwili przemieszanie egzotyki z codziennością. Nie spierając się o hybrydyczność tego, co autor zwie reportażem, przyznać trzeba, że zmetaforyzowany motyw enklawy (wyosobnionego człowieka, autonomicznego niepowszedniością miejsca bądź środowiska) dostarczył wartościowego „napędu" dla reporterskiego pióra.

Struktura tematyczna zbioru układa się w kilka pasm. Dominuje bohater zbiorowy i problematyka mikrośrodowisk. Miasteczko Wieruszów przyciąga uwagę przez awans społeczny i w mniejszym stopniu, co zmusza do refleksji, kulturalny — w czym konflikty wyrosłe z przeżytków tradycji mają swój udział („Matka profesorów"). Kiedy indziej centrum zainteresowania reportera — detektywa staje się „sycylijska" szajka złodziejaszków ze wsi Marchewki, grabiąca z gospodarskim rozmysłem pociągi pod semaforem („Komu radość z ospałych pociągów"). Niespodzianie ukazał się przy tej okazji inny gang — urzędniczy, który zręcznie zatuszował wynikłe z kradzieży niedobory materiałowe. — „Taki pozorny bałagan, to już wyższa szkoła jazdy. W takim bałaganie cwaniak wyjdzie na swoje nawet bez pośrednictwa kolei, która wiecze się ospale przez opustoszałe Marchewki". W urokliwym „Portrecie dzielnicy czerwonej" (Widzewa) są enklawy sentymentalne, skrojone na miarę uczuciowych autochtonów, którzy intymnym „kocham" bronią się przed przeprowadzką do innej dzielnicy. „Księży Młyn", to żywy piękny skansen, ukryty przed oczami przechodnia. Księży Młyn, jeśli ktoś ma trochę wyobraźni, może być miasteczkiem z bajki Andersena. Sztuczne kwiecie w półotwartych oknach, koty drzemiące na wyłożonych derkami parapetach, ludzie, którzy chodzą powoli i spokojnie i mają dla siebie trochę uśmiechu". Grupa reportaży środowiskowych przedstawia też nieukochane sprawy Łodzi i regionu. Poszukiwania „czystej" ludzkiej nędzy, „wynikającej z autentycznej niemożności", zilustrowane w tytułowej „Enklawie przy ulicy Wschodniej", uprzytamniają istnienie ciekawszych socjologicznie objawów biedy „z wyboru" (minimalizmu potrzeb, lenistwa), pozorowanej, czy tzw. „biedy ambitnej". Obrazek „Na Bałutach wielkie poruszenie" rewiduje utrwaloną historycznie niesławę Bałut. Chyba uprzedzenia wobec tej dzielnicy usuwają się z wolna wraz z idącymi pod rozbiórkę enklawami starego budownictwa.

Pośród wyodrębnionych z otoczenia jednostkowych bohaterów książki niewiele jest figur papierowych, znamiennych dla „fałszywego reportażu". Większość to ludzie żywi. „Droga pod słońce" dokumentuje niewdzięczność cywilizacyjnej misji wioskowego nauczyciela — reportera, który przeciwstawia się ciśnieniu woli zbiorowej, by w końcu ją przełamać. Drugi wiejski Judym („Człowiek, który przyjechał zbawić wieś"), cierpiętnik a jednocześnie nonkonformista i w sumie bliski nam człowiek, przez właściwe ludzkiej naturze przywary, z mozołem godnym sprawy dobija się swych racji. Relację o jego starciach z opinią publiczną uplastyczniają fragmenty niby-pamiętnika wplecione w narrację odautorską. W myśl zasady, że wzloty lepiej tłumaczą się same niż upadki, demitologizacja idola przebiega niemal jak proces poszlakowy („Powrót Freda"). Obciążenie materiałem dowodowym daje się tu czytelnikowi we znaki. Dokumentacja faktograficzna korzystniej spełnia swą poglądową rolę w pozostałych reportażach. Lista zagrabionych przez gang z Marchewki przedmiotów (dwa kartony ryb mrożonych, trzy kartony szprotek w oleju, znaczna ilość zup ogonowych, wózki ręczne, beczka karbidu, bujane fotele, gwoździe budowlane itd.) daje równocześnie sposobność do uśmiechu, jak i do refleksji nad europeizującym się chłopskim bytowaniem.

Interwencyjną część zbioru Makowieckiego inspirują zagadnienia do przemyślenia i rozwiązania. „Krawat" stanowi próbę głębszego ogarnięcia motywów samobójstwa znerwicowanego nastolatka, którego tragiczna decyzja okazuje się zdeterminowaną łańcuchem przeoczonych w oficjalnym śledztwie przyczyn. Miejsce łatwej fascynacji zajmie w tym wypadku autentyczny niepokój reportera, przypieczętowany wymowną ciszą w zakończeniu. Można by z autorem dyskutować, choćby nad diagnozą o nieodwracalnym podupadaniu jazzu atakowanego przez „łatwiejszą" muzykę, a spospolitowanego przez komercjalizm („Kto was słucha saksofony?"). Łatwiej zgodzić się ze spostrzeżeniem, że nad postępującą dewastacją łódzkich zabytków pracują pospołu szabrownicy i wandale oraz niesumienni i opieszali w wypełnianiu obowiązków („Prywatka u Scheiblera"). Wykaz drażliwych spraw uzupełnia, pobudzone klinicznym, społeczne rozpoznanie przyczyn i następstw narkotyzowania się młodzieży („Nie ma smokingów dla ambasady").

Makowiecki zaprasza czytelnika do aktywnego uczestnictwa w lekturze. Nie ma w tej zachęcie do współudziału i współtroski protekcjonalnej dydaktyki. „Trzeba znać chłopów pracujących pół dnia na roli, a drugie pół w fabrykach Łodzi i Pabianic. Przyjedź, zobacz jak oni żyją!" („Droga pod słońce"). „Nie uśmiechaj się! Wieruszów nie rości sobie pretensji do wielkich zakładów, a przecież odznacza się jakąś niezwykłą zapobiegliwością — nie tyle pasją, co troską, nie snobizmem a uczciwą świadomością własnych potrzeb" („Matka profesorów"). Ostrze niektórych polemik i interwencyjnych wycieczek, upostaciowane w kontrastowo stylizowanych bądź puentowanych obserwacjach, jakby stępiało: jedne bolączki zostały zlikwidowane, inne uległy wymianie. Zwyczajne to dezaktualizowanie się reportażowej twórczości, pozostającej w następstwie tegoż w sferze dokumentu bądź literatury. Póki co „Enklawa orzy ulicy Wschodniej" staje się jedną z kronik naszych czasów — powodów do dumy, zastanowienia i obywatelskiej troski. Autora nurtuje dodatkowo świadomość pewnych ograniczeń w wykonawstwie samego przedsięwzięcia. „...Szablon reporterski polega na wychwalaniu i wyolbrzymianiu osiągnięć przemysłowych, sławieniu nowych osiedli i utyskiwaniu (to można robić bezpiecznie) na kulturę". („Na Bałutach wielkie poruszenie"). Jak długo ów szablon uwrażliwia, nie zaskiepia się w odzwierciedlaniu pozytywów, tak długo skutecznie spełnia społeczną funkcję. Dość wyraźnie wybija się w kilku reportażach nienadążanie przemian kulturalnych za rozwojem cywilizacyjnym. Zmodernizowany barbarzyńca dewastuje pamiątki („Prywatka u Scheiblera"), konsumuje — z braku ambitniejszych — małowartościowe produkty kultury („Kto was słucha saksofony?"), bądź po prostu łaknie, a pozostaje nie nasyconym. Uświadomienie sobie powyższego, choćby za sprawą „Enklawy przy ulicy Wschodniej" — to wstępny etap humanizowania się na powrót.

Andrzej Makowiecki, „Enklawa przy ulicy Wschodniej", Łódź 1976 r.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

„WYCHODZĘ ZIMNY..."

Zestawienie „Wnętrza" Maurycego Maeterlincka z „Warszawianką" Stanisława Wyspiańskiego jest „dziełem" Tadeusza Pawlikowskiego, dyrektora teatru krakowskiego (1893—1899), a potem lwowskiego (1900—1906). Już przed prapremierą „Warszawianki" (1898), która stała się debiutem scenicznym St. Wyspiańskiego zastanawiał się T. Pawlikowski nad połączeniem sztuki M. Maeterlincka z „Warszawianką" w jednym wieczorze teatralnym. „Później atoli — pisał Adam Grzymała-Siedlecki — mógł się przekonać (Tadeusz Pawlikowski), że „Wnętrze" raczej odstraszy publiczność, należy szukać utworu czy utworów bardziej popularnych". Takimi utworami były wówczas „Wspomnienie" Bohdana Ronikiera i „Noc w Belwederze" Adama Staszczyka. Dopiero po latach, we Lwowie (1901) powrócił T. Pawlikowski do pierwotnego zamysłu i na afiszu obok „Warszawianki" St. Wyspiańskiego pojawił się M. Maeterlinck.

Zestawienie „Wnętrza" z „Warszawianką" w przedstawieniu Jerzego Grzegorzewskiego stanowić więc może ukłon w stronę tradycji (byłoby to przewrotne), może także stanowić tradycyjne (!) „szukanie" analogii wymowy etycznej w obu tych utworach, albowiem problematyka etyczna i procesy psychologiczne z nią związane decydują w propozycjach J. Grzegorzewskiego o rozwiązaniach interpretacyjnych, reżyserskich i aktorskich. Owe rozwiązania interpretacyjne to tylko jeden z kluczy, którymi J. Grzegorzewski „szyfruje" kod swego przedstawienia. Innym kluczem miała być jednorodna kompozycja obrazu scenicznego, która wyrasta przecież, raz ze St. Wyspiańskiego, z jego teatru, dwa z J. Grzegorzewskiego — artysty plastyka, scenografa. Zarówno we „Wnętrzu", jak i w „Warszawiance" scena została podzielona na dwie części, część przednią i część tylną. Elementem dzielącym jest ogromne okno wsparte o dwie kolumny, białe, utrzymane w klasycznej linii architektury XIX-wiecznej. We „Wnętrzu" „obserwujemy" ludzi za szybą, jak pod kloszem laboratoryjnym; w „Warszawiance", „uczestniczymy" w ludzkim nieszczęściu. Ale J. Grzegorzewski zaaktywizował u St. Wyspiańskiego i drugi plan za oknem, który jest odbiciem rzeczywistości, innym istnieniem, lustrem, wreszcie... czym jeszcze (?)

Akcja „Wnętrza" jest powolna, toczy się spokojnie, sennie, w półmroku. Światło jest tylko za oknem, tam, gdzie jeszcze nie wkroczyło nieszczęście. Ów kontrast między powolnym biegiem wydarzeń a nieuchronnym tragizmem — to walor spektaklu, duża wiedza o życiu, którą przekazać mogą tylko aktorzy (Włodzimierz Skoczylas i Maciej Małek), świadomi swego warsztatu i kondensacji materiału literackiego.

Nurt psychologiczny dominuje w propozycjach aktorskich w „Warszawiance", która stała się sztuką o ludzkiej tragedii i „delikatności uczuć". Kontrast pomiędzy nastrojem wyczekiwania, niepokojem o kochanego człowieka i problemem dziejowego posłannictwa — to główny nurt przedstawienia J. Grzegorzewskiego. Wyrazem tych koncepcji są propozycje aktorskie Ewy Mirowskiej (Maria), Barbary Marszałek (Anna) i Ryszarda Sobolewskiego (Chłopicki). Ileż tutaj bogactwa w geście i w ruchu. Przykładem może być doskonały finał Ewy Mirowskiej, która zaprezentowała najwyższy kunszt, wydłużając niemą scenę do granic wytrzymałości. Ufała swemu warsztatowi i bogatej indywidualności — wygrała z czasem, z widzem... Jednak różnorodność wypowiedzi pozawerbalnych doprowadziła Jerzego Grzegorzewskiego do przejaskrawień wieloznaczeniowych. Cóż bowiem znaczyć mają dwa fortepiany przed i za oknem, co znaczą równoczesne gesty „odchylań" się Marii i Anny siedzących przy fortepianie. A może jest to tylko kwestia wrażliwości.

Zbyt duża ilość układów wieloznacznych wywołuje stan zniecierpliwienia intelektualnego, które nie pobudza, lecz otępia. I chyba wiele słuszności miał widz, który wychodząc ze spektaklu „Wnętrza" i „Warszawianki" powiedział: „wychodzę zimny, nieporuszony, jakby nic się nie stało, a może rzeczywiście nic się nie stało...?".

Maurycy Maeterlinck „Wnętrze", przekład: Zygmunt Sarnecki, Stanisław Wyspiański „Warszawianka", reżyseria i scenografia: Jerzy Grzegorzewski, premiera na scenie Teatru im. S. Jaracza 6 marca 1976 roku.

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

LITERATURA DLA NAJMŁODSZYCH

1.

Zbiorek dwudziestu siedmiu prościutkich wierszyków Aleksandra Rymkiewicza stanowi swego rodzaju kompozycję. Sześcio- siedmioletni odbiorca, bo dla niego „Zimowa sikoreczka" jest przeznaczona, słucha monologów swych rówieśników, wygłaszanych na tle zmieniającej się wedle kolejnych pór roku przyrody. I tak np. wiersz tytułowy otwiera „cykl zimowy", z kolei oglądamy „Przedwiośnie w Białowieży". „Marcowy potok" i „Górski deszcz", by następnie wysłuchać „Czerwcowych życzeń", składanych dzieciom na zakończenie roku szkolnego, po czym zamknąć lekturę „jesiennym" wierszykiem „Pięć pytań".

W trakcie czytania odwiedzamy również zielony Śląsk i morskie wybrzeże. Walory tych wierszy — to ich rytmika i tempo, jak również tak lubiane przez dzieci powtórzenia i efekty dźwiękonaśladowcze („Dwie zimy", „Śnieg — warszawiak", „Leśnik"). Od całości tomiku odbiegają nieco dwa utwory może wprawdzie nieco trudniejsze i wymagające ze strony małolatka pewnego zastanowienia się, ale też i warte zwrócenia specjalnej uwagi szkolaków („Szkoła nasza to nasz sąd" i „Nasz śpiewnik"). Cenne i pożądane uzupełnienie tekstów poetyckich stanowią ilustracje. Rysunki Barbary Pawlikowskiej przyciągają wzrok barwną, jaskrawą plamą, wydaje się jednak, iż „anatomia", którą nam zaprezentowano, jest trochę ryzykowna (rachityczny chłopiec na s. 27, dłonie dzieci na ss. 30, 43, 63).

2.

„Opowieści z lechickich pól" to rzecz wielce amatorska. Myślę, iż charakter ich najlepiej określa sam autor, gdy pisze w zakończeniu: „Opowiedziałem wam wiele dziwów, bajałem o tym, co było i czego nie było, o tym, co mogło być, i o tym, czego nie mogło. Opowiedziałem i o zdarzeniach pradawnych, o których napisali coś skryby, i o tych, o których nic nie znalazłem ani w starych papierzyskach, ani w opowieściach uczonych kopigarnków. Ale i te bajdy, niby to zmyślone, nie są tak bardzo zmyślone, jakby ktoś bez zastanowienia sądził. Jest w nich prawda zostawiona przez pamięć pokoleń".

Piotrowski sięga tu do czasów prehistorycznych, opowiada o zwyczajach obyczajach Słowian, terenem akcji czyniąc Śląsk, Opole, Szczecin i Łęczycę, Wrocławskie, Opatowskie i nadbużański Drohiczyn. „Bajda" o wędrówce Darzbora i Radogosta po ziemi łęczyckiej wspomina o powstaniu Łodzi i Radogoszczy, opowieść o władycce Parsęcie i pięknej Wodawicie, żyjących w czasach panowania „polańskiego knezia Miszki" wydaje się oparta na motywie legendy o Wandzie, co skoczyła do Wisły.

Autor „Doli i niedoli diabła Boruty" wprowadza nas również w bogaty, fantastyczny świat słowiańskiej mitologii. Niemal bowiem w każdej opowieści wyzierają utopce, płanetniki, zmory, wodniki i wodnice, przypołudnice, kikimory, dziwożony, stukacze, cioty, chlewniki i kłobuki: obok nich mówi się o bóstwach tak czczonych jak Świetowid, Swarożyc Trzygłów, Dziedzielują Belin.

Splot baśni z prawdą w koncepcji Piotrowskiego wciąga i urzeka specyficznym wdziękiem, a w lekturze uderzają akcenty pacyfistyczne, wyraźne w opowieści o zielu czartopłochu i dzielnym Janysku, pochwała Dobra (historia o lekowniku Olbym) i odwieczne ludzkie marzenia o szczęściu (opowieść o Sobótce).

Te „bajędy", nasycone umiejętnie archaizmami, powodują zamierzony niewątpliwie przez autora dystans czasowy między tekstem a odbiorcą, dystans tym większy, iż w książce nie zamieszczono słowniczka wyrazów staropolskich; a szkoda, ponieważ wielu językowych kłopotów nie jest w stanie rozwiązać nawet „Podręczny słownik dawnej polszczyzny" Stef ia Reczka! Na marginesie należy dodać, iż stylizacja nie uprawnia jednak: autora do użycia niełądnego, choć współcześnie niestety rozpanoszonego „Jak raz" (s. 42). Książkę wydano ładnie i starannie (sztywne okładki), a niezwykle trafnym jej dopełnieniem stały się „udziwnione" biało-czarne ilustracje Wacława Kondka, będące obecnie także i rodzajem wspomnienia po niedawno zmarłym artyście.

3.

Nowa powieść Ewy Ostrowskiej klimatem przypomina historię króla Gucia i króla Maciusia. Jest to piękna, oparta na tekście znanej kołysanki, opowieść o prawie do marzeń i szczęścia każdego z nas. Marzenia są zresztą realne, bo „jeśli się bardzo pragnie, można dostać kawałeczek nieba i prawdziwą gwiazdkę" (s. 129). Po raz wtóry wygłasza tu pisarka swoje credo, iż zdarza się niekiedy, że ludzie „są ot, tak sobie, bez żadnego powodu, zwyczajnie szczęśliwi". W wyczarowanym przez Ostrowską świecie do tego szczęścia, a nawet do zwykłego, codziennego życia nieodzowne stają się kwiaty, płonący ogień na kominku, śpiewy w kominie i melodia strumyka, echo, tęcza, a także pluszowy miś patrzący wiernie szklanymi oczkami i — kto wie? — chyba nawet umiejący mówić.

W książce umiejętnie i przekonywająco spleciono motywy powieści Janusza Korczaka, baśni Andersena, utworów Milne'a i Saint-Exupery'ego; zadźwięczała tu również strofa staffowska. Rzecz dzieje się w dziwnym królestwie, którego władca nie chce być ani trochę dostojny, więc sprzedaje swoje insygnia władzy na rynku, sam sobie pierze wizytowe koszule w deszczówce. Perła wśród kucharek, inteligentna i sympatyczna Pelasia w niezwykle bezpośredni sposób traktuje mieszkańców Cukrowego Państwa z ministrami i królem włącznie, a dziewczynka z Pierwszej Przygody nosi wstążki w szkocka krate i łowickie paski.

„Czary to bardzo ważna rzecz w życiu" — stwierdza z przekonaniem Ostrowska. Cóż z tego jednak, kiedy „Dorośli zwykle zapominają, czego pragnęli i co potrafili robić, gdy byli dziećmi"; na szczęście „Są i tacy dorośli, którzy nie zapominają". Myślę, iż autorka „Tortu urodzinowego" dedykowała tę powieść zarówno dzieciom, jak i tym właśnie dorosłym, którzy nie zapominają i tęsknią do „pięknych snów dzieciństwa". Interesujące też zapewne będą jej następne literackie propozycje.

Powieść owa nie pozbawiona jest wszakże pewnej dozy ironii, a także ataku na baśń tradycyjną. Przyszły Król Cukrowy nienawidzi przecież Jasia Małgosi oraz wszystkich innych szlachetnych bohaterów bajek. Społeczeństwo potrafi być bezwzględne i okrutne (s. 28—29). Czarne Postaci czuwają, a baśni należy koniecznie trochę dopomóc.

Książka ozdobiona została ilustracjami, wykonanymi płynną i udaną kreską Witolda Kalińskiego, napisana ładnym, miejscami niemal poetyckim językiem, na którego tle tym bardziej przykro rażą takie zwroty, jak np.: „zachwycał się sam nad sobą" (s. 12), „pójdę, gdzie oczy poniosą" (s. 29), „wylosowałem na sąsiada" (s. 48), „Prawdziwe królewne" (s. 71), „Wszędzie gdzie nie spojrzeć" (s. 82), „dotknął ją" (s. 93).

4.

„Siedem stron naszego świata", książka spółki autorskiej Wojciech Fiwek — Konrad Frejdlich, to bez wątpienia dobra robota: dowcipna, pomysłowa, zgrabnie skonstruowana, podana lekko. A przecież dość łatwo mogła się okazać robotą chybioną. Dlaczego?

Wiele razy pokazywano nam już w powieściach życie mieszkańców nowo powstałych bloków, w których wre życie wśród zawodowej i nieustannej krzątaniny dorosłych równolegle obok (wysuniętej nieco na plan pierwszy) chodzącej do szkoły i wypełniającej obowiązki domowe młodzieży — by sięgnąć choćby do najbliższych nam, bo łódzkich, utworów: „Tajemnicy zielonej pieczęci" Ożogowskiej, czy „Koncertu marzeń" H. Chrościelewskiej. Znamy również żyjące się ze sobą grupy dzieci, które chciałyby „coś, gdzieś, jakoś, dlaczegoś..." i znamy wreszcie, w schemat już przechodzącą, literacką postać dozorcy, będącego postrachem podwórza. Nie chce oczywiście przez to powiedzieć, że utwór dwóch panów F jest powieścią od innych lepszą. To powieść po prostu jeszcze inna i to jest jej plusem.

Gromadkę uczniów z bloku przy ulicy Polnej poznajemy w trakcie przeprowadzki do nowych mieszkań, na podwórzu, gdzie wbrew stwierdzeniu Pawła, iż „nie będzie tutaj życia", to „życie" — z woli autorów — rozkwita coraz atrakcyjniej. Oto już w pierwszym rozdziale ginie pamiątkowy samowar Lucka i rower Maćka, oto dalej Jacek skacze do głębokiego dołu „bez wyjścia", winda ulega awarii, oczywiście, w najmniej odpowiedniej chwili. Następnie bierzemy udział w konkursie marszu na szczudłach (własnoręcznie zrobionych, a ukrytych potem przez pana Maciejkę) oraz w wystawie psów rasowych, w wyniku której pies Jolki, Lord, zostaje — według określenia Jacka — „dyplomatą", odwiedzamy tor kolarski, poznajemy nowych przybyszów, Witka i Czarka, dowiadujemy się o przyjeździe cyrku, uczestniczymy w założeniu teatru, w wypadku na strychu, wywiadówce i zaginięciu Grażyny, wreszcie w niespodziewanej a przymusowej poniekąd podróży w wagonie na bocznicy i ujęciu chuliganów. Przygoda rozsnuwa się z przygody, co sprawia, iż książka już od pierwszych stronic utrzymuje małego czytelnika w napięciu, tym bardziej że autorzy nie wszystkie skomplikowane sprawy wyjaśniają natychmiast. Nie wszystkie je zresztą potrafimy rozwikłać sobie sami. Czemu np. ma służyć nieżyczliwy wobec dzieci stosunek dozorcy?, czyżby podkreśleniu jego autorytetu?, chyba nie, bo napisy na klatce schodowej podrywają ten autorytet wystarczająco, a przemiana pana Maciejki nie dokonuje się w sposób jaskrawy, lecz jest czymś naturalnym wobec postawy dzieci w czasie jego choroby. Nie to jest jednak w tej książce najważniejsze.

Wydaje się, że powieść trafnie ukazuje młodzież współczesną, pomysłową, zaradną, pracowitą i przedsiębiorczą, obarczoną nowymi obowiązkami wobec zajęć zawodowych obydwojga rodziców, tradycyjnie już łaknącą przyjaźni i cierpiącą z powodu odsunięcia od gromady (Czarek), a jednocześnie nie sprawiającą wcale wrażenia ideałków, uczących się świetnie i sprawujących się nienagannie (wywiadówka i sprawa Grażyny, historia „zdobycia" roweru Witka). Nieodparcie przy tym nasuwa się tu myśl: jakże daleko — na szczęście — został już za nami świat czynszówek i oficyn, ponurych podwórzy-studni, smutny świat „Wilczął z czarnych podwórzy" i „Bajeczek z podwóreczek".

Powieść Fiwka i Frejdlicha, pełną pogody mimo różnych kłopotów małych bohaterów, zamyka finał optymistyczny, a zamierzenie jej twórców, by odzwierciedlić świat zainteresowań współczesnego malolatka, udaje się całkowicie, choć bieg wydarzeń nie wykracza w zasadzie poza podwórze i plac Pod Ladą, skąd właśnie prowadzą drogi „we świat". A jakiż on jest? Na to pytanie odpowiadają słowa piosenki:

„Bo piąta strona to przygoda,
Jakiej nie zaznał dotąd nikt,
Fantazją zwie się szósta strona,
Daleko zajdziesz, gdy ją masz,
A gdy odwagę jeszcze dodasz,
Naszego świata poznasz twarz".

Zatem przygoda, fantazja i odwaga, ale jeszcze koniecznie i przyjaźń.

Książka została napisana ładną polszczyzną, choć autorzy nie ustrzegli się potknięć w rodzaju: „pod dom zajechała limuzyna" (s. 117), czy „weźmiesz się porządnie za fizykę" (s. 170), i dlaczego „szlauch" a nie „wąż", i czy „rajfle" nie mają polskiego odpowiednika?, i kto wskoczył na stół, przewracając kałamarz, kot Kleks czy dozorca Maciejko (s. 8)... Dodatkowe walory powieść tą zawdzięcza pomysłowym ilustracjom Stanisława Ibisa-Gratkowskiego. Jak się więc rzekło — „Siedem stron naszego świata" jest lekką, atrakcyjną, zapewniającą półtorej godziny rozrywki lekturą, ale rozrywce wyłącznie bynajmniej nie służy, zabierze bowiem kilka minut na refleksje i przemyślenia, a w szkole podstawowej być może dostarczy materiału do dyskusji nad ciekawymi postaciami młodych bohaterów.

Aleksander Rymkiewicz: Zimowa sikoreczka, Łódź 1975, ss. 69.

Włodzimierz Piotrowski: Opowieści z lechickich pól. Łódź 1975, ss. 131.

Ewa Ostrowska: O królu cukrowym, marcepanowej królewnie piernikowym paziu i kucharce Pelasi. Łódź 1975, ss. 132

Wojciech Fiwek, Konrad Frejdlich: Siedem stron naszego świata. Łódź 1976, ss. 217.

magazyn

ŁÓDZKI „ART”

Piotrkowska 86. Tu, gdzie mamy księgarnię „Światowid” i Salon Sztuki Współczesnej. Gdzie mieści się klub „Plastyka” i gdzie w podwórzu można odnaleźć biuro Związku Polskich Artystów Plastyków — Okręgu w Łodzi. To właśnie tu, na pierwszym piętrze frontowego budynku znajdują się Łódzkie Zakłady Artystyczne „ART”. Ich działalność gospodarcza i jednocześnie upowszechnieniowa w zakresie kultury plastycznej, to przede wszystkim sprzedaż dzieł sztuki, wydajna produkcja pomocniczej pracowni ceramicznej i wszelkiego rodzaju usługi plastyczne, a więc: projektowanie wnętrz, projektowanie i urządzanie wystaw i ekspozycji, projektowanie w zakresie grafiki użytkowej (etykiety, znaki firmowe, katalogi, prospekty itd...), projektowanie form przemysłowych, pomników i mozaiki ceramicznej do architektury wnętrz jak i elewacji zewnętrznych, wreszcie projektowanie i realizacja malarstwa ściennego i reklamowego, wszelkiego typu prace konserwatorskie — itd... itp.

Sprzedaż prowadzona przez Łódzkie Zakłady Artystyczne „ART” obejmuje przedmioty sztuki współczesnej wykonane przez łódzkich artystów plastyków, a także artystów plastyków z całej Polski. Są to obrazy, rzeźby wolno-stojące, grafika artystyczna i inne... W roku 1975 sprzedaż dzieł sztuki (łączenie z Targami Tkaniny Artystycznej) przyniosła 8.942 tys. zł. na zaplanowane 5 milionów. I w ogóle pomiędzy planami finansowymi Zakładów a wykonaniem są znaczne różnice. W tym samym roku, na zaplanowane 31.500 tys. zł. w dziale usług plastycznych wykonane zostały prace na sumę 40.540 tys. zł. Za cały rok 1975 na planowany zysk w wysokości 1,5 mln zł. odprowadzono 3,5 mln.

— Łódzki „ART”, to zakłady o charakterze wzorcowym — mówi dyrektor Zakładów **Zdzisław Baranowski** — W interesującym nas roku ubiegłym współpracowało z nami 490 artystów plastyków, przejęliśmy i zrealizowaliśmy 1592 zleceń. Komisja Artystyczna Zakładów odbyła 246 posiedzeń, na których rozpatrzono 2.814 spraw. Średnio na jednego pracownika w dziale usług przypadało 318 spraw, a chodzi tu o pełne opracowanie prawne, ekonomiczne i merytoryczne zleceń. W pionie handlu, poza Salonem Sztuki Współczesnej, prowadziliśmy, wspólnie z Sekcją Grafiki i przy pomocy naszej Koleżanki **Anny Stańskiej** — Małą Galerię Grafiki, jak i Galerię Rzeźby Plenerowej i tu również przy pomocy Sekcji Rzeźby i artysty rzeźbiarza Kolegi Michała Gałkiewicza. Celowo wyróżniam tych dwoje ludzi, bowiem ich pomoc, w tym przypadku niezbędna, jest o tyle wartościowa, że ofiarowana Zakładom społecznie. Sprzedaliśmy 230 grafik za kwotę 615.138 tys. złotych i 16 rzeźb na sumę 1.729.803 złote. W ramach Targów Tkaniny Artystycznej osiągnęliśmy sukces sprzedając 31 tkanin na ogólną sumę 2.122 tys. złotych.

— Jakie działania szczególnie złożyły się na wyniki przekroczenia planu? — pytam dyrektora Baranowskiego.

— Szczególnie ważne dla naszego miasta. Były to prace projektowe Łodzi-Centrum, realizacja prac plastycznych na rzecz Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, dekoracja miasta oraz zakładów pracy z okazji VII Zjazdu PZPR, i zakończenie realizacji Pomnika Czynów Rewolucyjnych...

Wystarczy. Myślę, że powyższe dane świadczą o niezbędności Łódzkich Zakładów Artystycznych „ART”. I cieszy zaplanowane na rok bieżący zorganizowanie Delegatury Zakładów w Sieradzu obok już istniejącej w Radomiu. I chociaż nie będzie w tym roku Targów Tkaniny Artystycznej, nie braknie innego rodzaju konkursów i targów... (jak wiemy, Targi Tkaniny Artystycznej odbywać się będą co trzy lata — łącznie z Międzynarodowym Triennale Tkaniny Artystycznej.) Dodajmy tu także, że Zakłady przejęły na siebie organizację różnego rodzaju konkursów, giełd i aukcji od Związku Artystów Plastyków w Łodzi. Tym samym, za pośrednictwem swoich Zakładów Artystycznych, łódzkie środowisko artystów plastyków wyraża swój współudział w rozwoju naszego miasta. Fakt więc, że mamy do czynienia z Zakładami o charakterze wzorcowym w skali Polski, jest spowodowany prężnością łódzkiego środowiska artystów plastyków, co nam, łodzianom, daje powód do prawdziwej dumy. Jesteśmy miastem ludzi czynu pod każdym względem. To w naszym mieście stanie także Pomnik Kobiety Matki — symbol pokoju i miłości, szacunku i zwycięstwa idei, w walce o którą Łódź ma najpiękniejsze i najtrwalsze tradycje. Udział organizacyjnie nad powstaniem tego Pomnika poprzedzonego konkursem także będą miały Łódzkie Zakłady Artystyczne „ART”.

— Ma pan wielki powód do dumy — mówię na zakończenie wizyty w skromnym gabinecie dyrektora Baranowskiego — skoro kieruje pan najlepszymi tego rodzaju Zakładami w kraju.

— O tak, jestem dumny, ale najbardziej z ludzi, którzy tu ze mną pracują. To ich zasługą jest tak duża wydajność Zakładów. Pracujemy w trudnych warunkach lokalowych, lecz pracujemy dobrze i żadne kłopoty nie są w stanie załamać towarzyszącej nam w pracy atmosfery przyjaźni i zaufania.

— A czyją zasługą jest tak przyjazna atmosfera?

— Każdego z nas.

A. W. MIKOŁAJEWSKI

GAZETA W DOMU

W styczniu tego roku upłynęło równo pięćdziesiąt lat od chwili pierwszego publicznego pokazu telewizyjnego. Człowiekiem, który dokonał epokowego wynalazku telewizji był Szkot, John Logie Baird. W ciągu pół wieku swego istnienia telewizja wywiera coraz bardziej przemożny wpływ na nasze życie jako źródło informacji, rozrywki, narzędzie edukacji, wychowania i kształtowania opinii.

Wadą telewizji jest to, że widzowie muszą siedzieć przed telewizorem w określonym czasie i miejscu jeśli chcą oglądać określony program. Konieczność ta niejednokrotnie ujemnie wpływa na sposób spędzania przez nas wolnego czasu. Nowe możliwości w tej dziedzinie otwiera przed nami rozwój techniki umożliwiający zapisywanie programów na taśmie lub płycie. Programy takie można potem dowolnie odtwarzać i kasować. Co więcej, rzeczą szczególnie atrakcyjna jest to, że podczas nagrywania programu z telewizora można jednocześnie oglądać inny program emitowany na innym kanale.

Zapisu na płycie dokonuje się przy pomocy „igły optycznej” pracującej na zasadzie wykorzystania promieni laserowych. Zapis na wideomagnetofonie dokonywany jest, podobnie jak na zwykłym magnetofonie, na taśmie, przy pomocy specjalnej głowicy elektromagnetycznej.

Telewizja kasetowa, której wróży się największą przyszłość, jest już obecnie wykorzystywana dla celów nauczania. Wielu specjalistów uważa ją, na przykład, za wyśmienite wprost narzędzie do nauki języków obcych.

Słynne domy mody, jak choćby paryski salon Madame Claude — Helene Neff, rozsyłają zarejestrowane na taśmach pokazy najnowszych kolekcji do współpracujących z nimi salonów na całym świecie. Również dla wykorzystania w telewizji kasetowej przeznaczone są specjalne filmy instruktażowe dla młodych matek. Oto kilka pierwszych z brzegu przykładów ilustrujących zastosowanie telewizji kasetowej już obecnie.

Inną, rewelacyjną możliwością wykorzystania telewizji jest system, który można nazwać „domową gazetą”. System ten pracuje na zasadzie wykorzystywania krótkich przerw pomiędzy ciągiem impulsów, z których tworzone są obrazy przez nas oglądane. W czasie tych, dotychczas martwych przerw, emituje się inne, specjalne impulsy, które są zapisywane przez odpowiednio do tego celu zbudowaną przystawkę i przy jej pomocy mogą być później odczytywane. Na przykład, w Wielkiej Brytanii przystawka taka kosztuje około 100 funtów, a system „domowej gazety” planuje się tam uruchomić pod koniec bieżącego roku. Podobny system instalują także Japończycy.

„Domowa gazeta” zawierać może informacje dotyczące różnych tematów, takich jak prognozy pogody, najważniejsze wiadomości, ceny akcji, itp. Planuje się rozbudowanie systemu w taki sposób, aby każdego ranka telewidz otrzymywał 30-stronicową gazetę z najbardziej aktualnymi i uaktualnianymi na bieżąco informacjami. Przewracanie kartek w takiej gazecie następowałoby za naciśnięciem specjalnego guzika. Oczywiście, wybrane pozycje mogłyby być również zapisywane na taśmie a nawet — uwaga! — drukowane na papierze przez coś w rodzaju kserografu. Wystarczy tylko, aby telewidz wybrał sobie odpowiednią pozycję, nacisnął guzik z numerem strony i ze specjalnego otworu wysunie się po kilku sekundach zadrukowana kolumna gazety.

Jak zwykle, w tej miłej wizji (a właściwie już rzeczywistości) jest jeden szkopuł: jak na razie, koszt odpowiednich urządzeń jest stosunkowo wysoki. Dlatego też, jeszcze chyba dość długo będziemy musieli cierpliwie wstawać wcześnie rano i pędzić do kiosku, aby zdążyć kupić swoją ulubioną gazetę codzienną.

M. G.

POJEDYNEK

ZDZISŁAW MARZEC

Komisarz Iron był nie mniej znany od porucznika Hafta. Haft dysponował młodością i fizyczną tężyzną, Iron był starszy. Niestety los rzucił ich do przeciwnych obozów. Szło o rzeczy duże na kolei. Czy dać priorytet sprawom nadbudowy, czy zacząć od uporządkowania bazy? Czy pokazać światu, że my to także Europa i to nie tam gdzieś hen na kulturowych rubieżach, czy też zająć się skromniejszym, acz równie ważnym porządkowaniem własnego podwórka? Konkretnie chodziło o informacje i ubikacje.

Jedni, których rzecznikiem był porucznik Haft, uważali, że stan naszych kolejowych ubikacji (w niektórych sferach zwanych kiblami) budzi tak fatalne skojarzenia, że należy wytężyć wszystkie siły, aby tę żałosną sytuację jak najszybciej poprawić.

Inni, którym przewodził komisarz Iron twierdzili, że problem ubikacji owszem istnieje, ale ważniejsza jest sprawa informacji, tj. właściwego oznakowania na stacjach miejsc, w których można dowiedzieć się o ruchu pociągów, ale i także na przykład o usytuowaniu kolejowych WC. Co nam po ubikacjach, głosili, jeśli nikt nie będzie wiedział gdzie one są. A ponieważ podróżnymi bywają również cudzoziemcy zaproponowali oznaczenie wymienionych miejsc informacyjnych zrozumiale dla wszystkich, to znaczy stosując napis Information. Brzmiało to po europejsku.

Niestety nie było jedności. Były natomiast spory. Zwolennicy obydwu idei zwalczali się zażarcie. Rozumie się, że przede wszystkim zwalczali się liderzy obydwu grup.

Wielki Iron stosował metodę odczytów. Lecz tylko do pewnego momentu. Właśnie gdy któregoś dnia wysiadł z pociągu w miasteczku Z, aby odczytem „O przewadze informacji nad ubikacją” przyciągnąć nowe rzesze zwolenników po raz pierwszy spotkał się z niepowodzeniem. Już na dworcu powitał go wrogo milczący tłum, nad którym trzepotały liczne transparenty o jednakowo lakonicznej treści „Non Iron”!

Ludzie o średniej inteligencji mogliby przypuszczać, że jest to jakaś spóźniona reklama wyrobów przemysłu włókienniczego, lecz komisarz wiedział, co hasło to oznacza-ło naprawdę. Jego tutaj nie chcieli!

Wielki Iron przeżuwając porażkę nie bez racji domyślił się, że była to robota porucznika Hafta. Postanowił rozprawić się z nim ostatecznie. W swej długoletniej karierze poznał wiele metod odbierania przeciwnikowi argumentów. Jedną z nich zdecydował się wykorzystać.

Z sobie tylko wiadomych źródeł dowiedział się o tych kilku chwilach poobiedniej drzemki, w czasie której porucznik Haft w samotności regenerował swe siły. W jedno z takich popołudni Iron przydybał Hafta. Precyzyjnie wycelował broń w śpiącego rywala i... właśnie w tym momencie ułomność dała znać o sobie. Iron nacisnął na cyngiel raz, nacisnął drugi, nacisnął po trzykroć, lecz skutku nie było. To wtedy wydarzył się ten słynny i później szeroko opisywany błąd Wielkiego Irona. Zapomniał on, że przecież już od piętnastu lat nie zabiera nabojów do swego wiernego rewolweru. W ten sposób geniusz wielkodusznie dawał szanse swoim przeciwnikom. Tym razem szansa przerosła geniusza.

Haft budząc się szybko zorientował się w grze przeciwnika. Chciałeś mnie wyłączyć z zabawy — zadrwił okrutnie i obserwował, jak Iron bezradnie szamoce się ze spluwą. Następnie związał go i rzucił w kąt swymi zregenerowanymi ramionami.

O dalsze losy Irona nie powinniśmy się niepokoić. Nawet jeśli w pojedynku tym poniósł szwank. Jego idea bowiem — idea napisów Information powszechnie zwyciężyła. Wystarczy choćby i dziś pojechać kawałek pociągiem. Napisy Information mamy na każdej stacji. Z „kiblami” nadal bardzo różnie bywa.

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ: JACEK BROMSKI

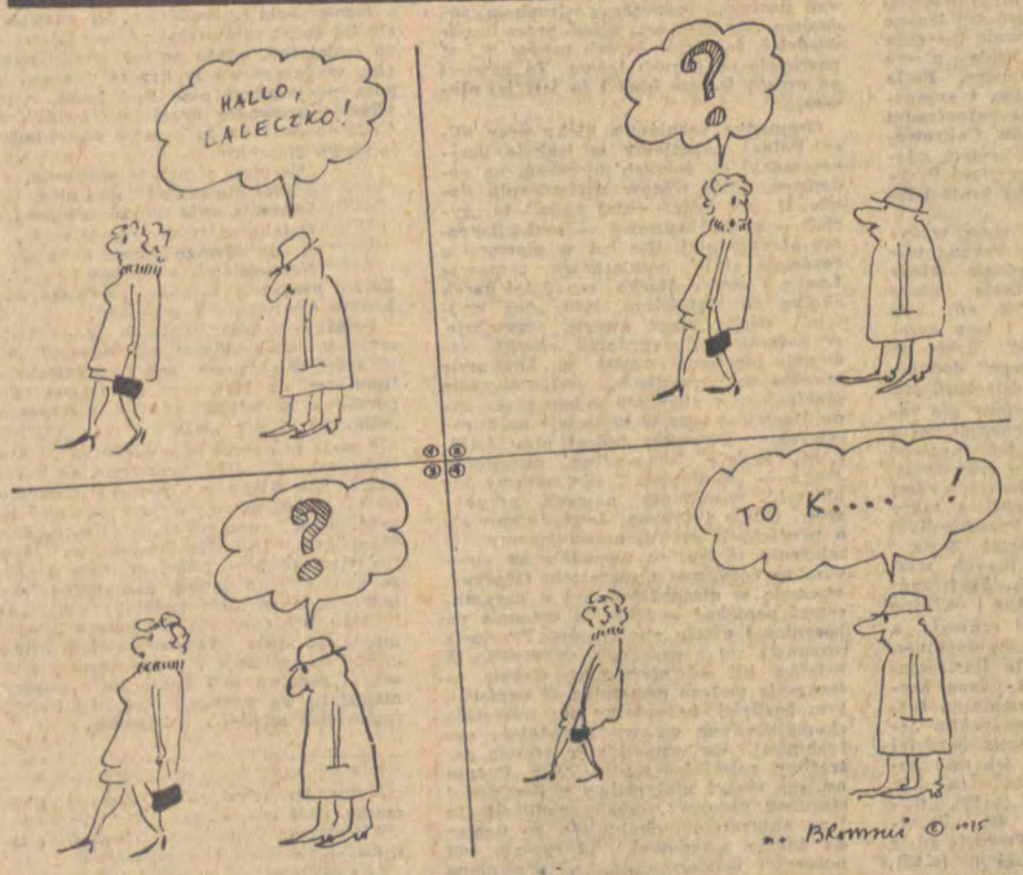

MAŁE KINO

Najlepsze te małe kina
G.I.G.

EKSPOZYCJA POD WĄSEM

Jeszcze w bieżącym półroczu odwiedzi nasze sioła i miasta wielka objazdowa wystawa pt. „Wąs w polskim filmie historycznym”. Wystawa przypomni wąsy już użyte oraz udowodni, iż stosowany wąs w odpowiednim filmie jest zjawiskiem artystycznym. Całość ekspozycji podzielona zostanie na dwa zasadnicze działy. Dział pierwszy reprezentować będą wąsy, spod których wypowiedziano myśli o charakterze bezwzględnie postępowym lub postępowym jak na ów okres dziejów. Dział drugi skupi wąsy omyłkowe, przyklejone na skutek niedopatrzenia Tadeuszowi Kościuszce lub po prostu gołowąsom czy białogłowom. Równocześnie drogą plebiscytu wybrana zostanie para najpopularniejszych wąsów. Wąsy te przyklejone do dobrego aktora, zagrają raz jeszcze w specjalnie dla nich nakręconym barwnym filmie z naszej ciekawej przeszłości.

FAŁSZYWA INTYMNOŚĆ

W Skandynawii rozpoczęto masową produkcję jednoosobowych kin panoramicznych, przeznaczonych dla jednostek wstydliwych, które pragną jednak, zadając gwałt swojej naturze, obejrzeć film pornograficzny. Ostatnio zaobserwowano tam wieloosobową grupę Spółdzielców z Końskiego, którzy przez nieporozumienie językowe i oszczędność, usiłowali rozgościć się w takim kinie.

SNY I POTĘGA

W przedszkolu im. Ofiar Zacofania Średniowiecza Janek K. z grupy wcześniaków miał w czasie drzemki popołudniowej sny, których powstydzić mógłby się nawet dojrzały osobnik. Wezwano panią reżyser z TV. Pani reżyser z TV dokonała porównania snów Janka K. ze snami znanych jej dojrzałych jednostek. Sny Janka K. wykazały większą samodzielność, wdzięk i wyobraźnię i w przyszłości mogą posłużyć jako podkładka do scenariusza programu rozrywkowego. Tymczasem pochwalony przez panią reżyser TV chłopiec śpi jeszcze częściej i ładniej.

MRUGANIE Z TORONTO

Pewien naukowiec filmowy z Toronto odkrył, że gdyby wszyscy widzowie filmowi mrugali na sali kinowej w jednym rytmie, można by było zaoszczędzić sporo taśmy filmowej marnującej się w momencie, gdy powieka jest opuszczona. Przewiduje on, iż w kinach przyszłości, specjalny urzędnik, zwany Mrugałą, czuwać będzie nad prawidłowym mruganiem. Po oświadczeniu powyższego naukowiec filmowy zamrugał do nas z Toronto.

NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Gajowy z Borów Tulskich był mimowolnym świadkiem, jak w jego rejonie pewien niedźwiedź zanieczyścił naturalne środowisko. Zaalarmowana natychmiast drużyna harcerska z trudem i niechęcią usunęła skutki zanieczyszczenia. Gajowy, który jest kinomanem obliczył, iż zanieczyszczenie wielokrotnie przekraczało rozmiar biletu kinowego na film panoramiczny.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-14, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” Zam. 552. R-11. Nr indeksu 26762.